

POLITYKA W LESIE

ZYGMUNT BARTKIEWICZ

# POLITYKA W LESIE

WYBÓR NOWEL



TŁOČNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ  
PARYŻ — POZNĄŃ — WILNO — ZAKOPANE





83322

SKŁADY GŁÓWNE:

„THE POLISH BOOK IMPORTING C-o., INC.” — NEW-YORK  
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, Sp. Akc.” — KATOWICE

1925

K-46/78/89673

POLITYKA W LESIE

Ledwo czepiając się ostremi pazurkami suchej, spękanej kory, stoczyła się z sosny, i w dwóch skokach dopadła tego złocistego przedmiotu, co oświetlony skośnym promieniem słonecznym zwabił ją z wysokości, soczystym pozorem. Rzecz bez wartości — zeszłoroczna szyszka! I znowu trzask cichutki, pazurki pobiegły po korze, a zmurszałego gniazda dziedziczka już do swego mieszkania wsunęła się pośpiesznie, jakby ze wstydem, że pozwoliła się zwieść szyszce pospolitej, ona, której nigdy nie zwiodła pusta buczyna, ani orzech spleśniały we środku nie zmanił.

Tylko co się ukryła, gdy ze szczytu sosny na miękkich, cichych skrzydłach zsunął się szpieg leśny — dudek. Ani zbiegliwy, ani mądry, jak uczą ludzkie przysłowia, rzadki tchórz przytem, nic jednak jego bacności nie ujdzie, to też już stoi nad szyszką, czub nastroszył, rozważa:

— Coś w tem jest, coś jest. Ale co?

— Ni-iic, ni-iic! — krzyczą czajki nad lasem, ale u nich wszystko jest — nic. Bez zastanowienia ptaki, i zawsze rade, byle tylko gorzej nie było.



Ale dudek polityk, lubi dociekać. Już skubnął szyszkę, odskoczył, boć nie śpi lichy, i znów się nad nią zadumał. Ani spostrzegł, że z pod leśnego korzenia wysunął się zbójca, zamarł, grzbiet wygiął, dał susa...

— Ra-rra-rra-tuj! — zaszamotał się ptak, ale pyszczek łasicy w gardło mu się wpił, opadły skrzydła, zwinął się czubek, i już wlecze zbój, gdy nagle, wpół ciała, chłodem śmiertelnym przejęły go kły...

— Ni-iic! — wrzeszczą czajki.

Gdzie radość życia, tam śmierć pospolite zjawisko. Dzieciół ani na chwilę nie przerwał roboty, pnie się na niezdarnych nogach ku górze, i stuka. Od świtu do zmroku tylko sprawą pożywienia zajęty — cóż go śmierć dudka może obchodzić, kiedy on mięsa nie jada?

— Ja, pani łaskawa, tylko robaczki. Niech mię od zabójstwa Bóg broni.

A strojna żoła pochyliła główkę, pół skrzeczy, pół wzdycha:

— Ach, jakież pan nudny, mój panie dzieciół!

— Precz nierządnicę — wychyliła się z dziupli stara baletnica, wiewiórka: — Precz! bo hańbisz to drzewo uczciwe.

— Złodziej wiewiórka: jajka ptakom wypija! — wrzasnęły sroki, i już do oczów.

A obok brzmi — ku-ku — wolnej miłości, bez matki obowiązków i dzwonią lubieżne śmiechy synogarlic-dewotek, i cieszy się las, a nad nim zawieszony rabuś kwili rzewnie a słodko, bo i on dobrze rozu-

mie korzyść słów miękkich, serdecznych, obok uczuć drapieżnych.

Lis przeciągnął się, ziewnął, obwąchał martwego dudka starannie, ale znać odczuł niemiłe wrażenie, bo wzniosł wargi i jakby splunął, potem niedbale nosem go trącił, i znowu poddał badaniom, aż pysk niechętnie otrząsnął, i z pewnem zadowoleniem spojrzał na żółtawy kłębuszek łasiczki. Przysiadł opodał, i zcicha a dźwięcznie naszczekiwać począł.

Z pod kamienistego złomu wychylił się płaski, ostry łeb lizki, i przypadł do ziemi. Zlekka się uniósł, drgnęły postawione uszy, a delikatne nozdrza chwytają powietrze. Cała moc leśnych zapachów uderzyła w nie, ale czy wśród nich niema człowieka? Nie idzie? — Nie. — Może dalej ukryty? Węch latem zawodzi, więc sunie, jak wąż, kształt czerwonawy, hyc! od krzaka do krzaka, zwodną kitą ciśnie, i już o staję, biały pysk wyziera z jałowców i wietrzy.

Ostrożność nie zawadzi, bo mądry on jest: on i lisim głosem odezwać się umie, tak jęknąć serdecznie potrafi, jak lutowy załotnik, a dławionego zająca udaje, kiep — zając! Czasem, niby kokosz, gda-cze, to jak prosię kwiczy, a wszystkie zna głosy, wszystkie dla ucha lisiego pokusy. On i zapach miłosny przyprawić potrafi.

Jeszcze chwilę wsłuchiwała się lizka w męża haukanie, jakiś szmer ją uderzył, sprawdziła przyczynę, chyłkiem sunęła do nory i dziatwę wywiodła. Troje ich było: dwie córeczki i synek; z poddarte-mi kittkami, skamląc, ruszyły żwawo do ojca, już



w łasiczkę się wpiły, targając jej wątłe futerko, i siebie przy sposobności za puszyste okrycia.

— Dzielne lisy z nich będą! — zdawała radować się matka.

Do gotowego nie sztuka. Ten lis dopiero, co sam podejdzie podstępnie, zadusi słabszego, przed silnym ukryć się umie... — ideały życiowe wszczepiał lis ojciec, ucząc, jak się chwyta zwierzynę, jak dusi. Nie gmatwał pojęć obowiązkiem miłości dla kur, kaczek, indyków, bo każde stworzenie tylko o tyle ma rację bytu na świecie, o ile posiada mięso jadalne.

A przykład — dudek: zapach niemiły, więc ptak darmożjad w lesie. Wystrzegać się dudków należy, oszczędzać sobie straconych zachodów.

I ciekawy ptaszek pozostał wzgardzony. Są takie życia, co na nic, a i śmierć niepotrzebna nikomu.

Wpobliżu lisiej nory, między dwiema sosnami a bukiem, imćpan borsuk miał piękne mieszkanie. Kilka długich chodów podziemnych wiodło do komnat sklepionych, zbudowanych przemyślnie, aby chłód zimowy do nich nie sięgał, i nie odkryły złe oczy człowiecze borsuczego zacisza.

Od lat, z pokolenia na pokolenie, szła nora spuścizną, złe, dobre dzieje przetrwała, a gdy lekkomyślny potomek się zjawiał, i zaniedbał dziedzizny, zawsze zdarzało się tak, że jego następcą ładem, składem, miłością, złe umiał naprawić, nie ustając w zabiegach.

I trwało schronisko oddawna, i mocne, jak wszyst-

ko, co ma przeszłość za sobą, a nie zbudowane z dzisiaj na jutro, dla nieznanych przybyszów, jak te leśnych tchórzów kryjówki albo nory lisie, czy gniazda puchaczów, gdzie byle zuchwały włóczęga, z obcych lasów przybyły, nie uznający praw żadnych, przeszłości, pamiątek, wciśnie się z rodziną, jeszcze kły na gospodarza wyszczerzy.

— Własność to kradzież! — jakby człowiek powiedział, a potem wydrwił, ośmieszył, i dlatego niedosyć jest kochać jamę ojczystą, ale trzeba mieć jeszcze silne kły i pazury.

Borsuk jegomość miał jedno i drugie, ale szczwany był lis, jego sąsiad. Zdawna już przyjrzał sobie borsuczą sadybę.

— W sam raz dla mnie mieszkanie... — pomyślał, i leśny włóczęga, który miejsca w żadnej jamie nie zagrzał, zawsze chciwy na cudze, upatrzył sobie w bliskości, pod karpą bylejaką norę i w niej się z towarzyszką osiedlił, a myślał: do czasu, póki borsuka nie wygryzie z dziedzictwa.

Niebardzo był rad temu sąsiedztwu stary jaźwiec, z dziadów tutaj osiadły, bo choć się nie wynosił nad inne zwierzęta, zawsze jednak o tem pamiętał, że od możliwych niedźwiedzi ród swój wywodzi i z lisem, psiego gatunku, wątpliwych związków krwi synem nie chciał się kumać.

Borsuk to borsuk, taki był ojciec, taki był dziad, a lis nigdy nie może być pewny, czy to psie pokrewieństwo nie ujawni się kiedy w potomku o kudłach srokatych, obok innych właściwości stworzenia. któ-



re znikczemniało oddawna, w wyrobniczej służbie u ludzi.

Niebardzo tedy było po myśli siwemu jegomości to nowe sąsiedztwo, ale choć zwysoka, był zawsze dla żółtego przybysza uprzejmym, a gdy o wieczornym zmroku dwaj sąsiedzi wyruszali na codzienną wyprawę, i lis warknął „dzień dobry“, wnet mu borsuk „dobry dzień“ odchrząknął. Ale nic więcej, mimo zabiegów, i choć nieraz lis przywarował, na-przód się cisnął, potem kitę zgrabnie odwinął, i dziwne skoki wyprawiał, zapraszając starego na harce, sadlisty, nieruchawy, tylko łysy pysk uniósł od ziemi, skośnemi oczyma brzydko go zmierzył i szedł dalej, zlekka kołysząc wypasione krzyże.

Dwie sąsiadki zdawały się trwać w nieco zażyłszych stosunkach, a choć zamiłowana w porządku i czystości borsuczyna, mówiąc ludzkim językiem, uważała liskę za „flądrę“, choć liszka, po słabości, z szerści oblaźła i chuda patrzyła ze wstrętem na bezwstydne sadło gospodyni rządnej, obie matki łączyła wspólna troska o dzieci, a z nią duma i radość, co uczucia, nieznane ojcom rodziny, myszkującym zazwyczaj daleko od gniazda, i dalekim od właściwych płci słabej tkliwości.

Chwalały też swoją dziatwę wzajemnie. Liszka przysiadła układnie, a skromnie kitką okoliwszy stopki, mrużyła szarozielone oczęta, w zachwycie nad niezdarnem potomstwem, wylegującym się w słońcu.

— Prześliczne, a jakie żwawe!... sarenki milusie!

A mama-borsuk, patrząc na płasy brudasów lisiątek, rechtała z lubością, zapewne w te słowa:

— Ach bardzo... bardzo... I tyle w nich rasy, godności, a czyściutkie to to...

Przeło trwałby mile dwóch rodzin stosunek, jak trwa, w tymże stopniu szczerości, u wyższych ustrojów, gdyby nie lisie zaborcze zakusy, które stary jaźwiec przeczuwał. Jakby wiedząc o tem, że radość posiadania, choćby ciężkim trudem zdobyta, zwykle jest zgubna, bo źle widzi ją sąsiad, aż zniszczy choćby przemocą rabunku.

Lis dążył do celu swoich zamierzeń, jednak ostrożnie, bo twarde a przykre, choć zpańska hodowane starannie, miał borsuk pazury, zaś on, choć uzębiony zjadliwie, wolał działać na pewno podstępem, niż odwadze zawdzięczać wątpliwe następstwa szczerej rozprawy. Taki był ojciec, taki dziad, taki już lisi gatunek, a i lis ma swoje uszanowane tradycje, zwłaszcza gdy chodzi o lubej skóry całość.

Aż przyszła jesień. Gwarem zabrzmiały lasy i wody. Szumnemi gromadami pociągnęły już szpaki. Ruszyły za dalekie granice, pozostawiając za sobą westchnienia i nieskalaną opinię, obłudni świętoszkowie — bociany, za niemi klucz żórawi zahuczał. Wśród kaczek niepokój: do wód zagranicznych im pilno, ale mężowie zapewne w kraju zostaną. Na oparzeliskach będzie im ciepło i dobrze. Tak, tak, tak! i już zbierają się do podróży płochy cyranki, strojne podgorzałki, a z niemi i szara krzyżówka. Wnet ruszą przepiórki, dobrobytem zmęczone, cięż-



kim tłuszczem oblane, a potem ubogi, ale wrażliwy na chłody, polny śpiewak pociągnie.

Jesień... Zadumał się lis.

Szczęśliwy, komu ciepło i niegłodno w chacie pod zimę! Ale bez zabiegów i bez troski nic. Wiedział o tem borsuk-jegomość, i jąkę opatrywał starannie; przykro mu jednak było niezmiernie, gdy, z częstych jesiennych wędrówek powracając do domu, z brukwią, rzepą, jabłkami, czy grzybem smakowitym, już u wejścia zastawał psotę dotkliwą. To zdechłego kreta do jamy ktoś wrzucił, to wszystkie włoży zasypał liśćmi, a po nich przykrą ciecz rozlał, aż ścisnęło się serce borsucze, boć przecie wiadomo, że niema zwierza na świecie, któryby czyścić tak dalece, jako borsuk, miłował.

Nigdy tego nie było. Kto to mógł zrobić? — i stary wodził skośnemi oczyma zpodełba, aż wzrok na lisie siedzącym opodał zatrzymał. Ale lisek obłudnie stroskaną miał minę, i głowę odwracał, bo drżały mu wargi w zwykłym uśmiechu, gdy komu dzieje się krzywda lub szkoda...

Sapał jaźwiec znękany, i jąkę oczyszczał, co z trudem mu szło, bo wiekowy już był, i tuszy dość znacznej, jak zawsze, ku zimie, ale na nic robota, bo niech tylko na chwilę wyruszył, znowu te same przykrości, za powrotem, miał w domu.

Pierzchły znośne z lisią rodziną stosunki, i zaczęła się walka. Od szarego brzasku do zmroku szły od nory ujadania dobrze już podrosłych lisiątek,

a nocą odbywały się harce na sklepieniu borsuczem. Stary spadł z ciała, jejmość osłabła, a młode wychylić się nawet nie mogły, tak szydzono dotkliwie z ich ojców, wyśmiewając nawet całą niedźwiedzią rodzinę, gdy zaś który z wyrostków, osaczony przez zjadliwą hołotę, przewinał się nakrzyż, srogimi pazurami zagroził, jeszcze głośniejszy jazgot się wzmaczał: wyśmiewano pazury. Żaden jednak do nich zbliżyć się nie śmiał.

Trwała borsucza zgryzota, aż nadszedł kres ostateczny czelności, lisiego bezwstydu.

Miał stary tuż przy jamie kilka kamieni — pamiętek, mógłby je na pazurach policzyć, gdyby umiał rachować, ale bez tego pamiętał je dobrze i kochał, począwszy od głazu, który, dla niepoznaki, szersze wejście zamykał, ciężkim trudem, a poświęceniem praojca zdobyty. Stary, zmurszały przetrwał burze niejedną, i nad inne kamienie sercu borsuka był miły, wreszcie dla bezpieczeństwa potrzebny.

Wracał pewnego zmroku znękany siwiec z wypraw, nosem tylko, ze zwyczaju, po ziemi myszkował, bo niepokoje go jadły, i oto, gdy do swego podziemia się zbliżył, ryknął żałośnie nieborsuczym głosem. Głaz z ziemi wydarty, rozrzucone kamienie-pamiętki, a na nich wyraz wymownej pogardy, obfite, a przykre ślady brutalności lisiej.

Rzewnie smutno było tego wieczora w izbie borsuczej. Stary wprost rady nie widział, bo zostać nie sposób, a jakże wynosić się z jamy na zimę? Jakże



nową jamę ryć, kiedy śpiączka, po niedźwiedziach dziedziczna, już znużone członki ogarnia?

— Co robić? Wyszedł, po dniu bezsennym, przed zmrokiem, ale już go zgiełk czuwających rabusiów powitał:

— Precz z jamy, precz z lasu! Równość, wolność, precz z jamy! Darmozjadzie, ospalcze, krew naszą byś wypił! — zawodziła zgraja, i wrzało w lesie a wrzało bez zastanowienia, rozwagi. Jazgot donośny trwał do wieczora, ze świtem wstał znówu, aż nagle, coś rabuś zawietrzył i, jakby nożem ciał, ci-sza zaległa.

Sunęły lisy do nory, tuląc się do siebie. Zamarły w zielonym blasku zawsze niespokojne oczy, nastawione uszy zastygły, i tylko stary, szczwany polityk kłapie zębami.

Idą ludzie, a z nimi psy... Bliżej a bliżej... Śmierć idzie z ludźmi...

Na drzewach zamilkły głosy, dołem tylko, po suchych liściach szmer zrzadka przeleci. Na dnie pieńków spróchniałych zaparły się kuny, tupnął krasny jelen, i ruszył jak wicher, chmara kwiczołów wleciała z jałowców, w gałęziach kaliny cietrzew załopotał skrzydłami. Po krzaczach, gniazdach, ziemnych kryjówkach serca łomocą, i tylko sikorka wita ludzi wesołym świergotem. — Ni-iic, ni-iic! — krzyczą czajki, bo nie grozi im nic.

Czarne, pokraczne, ale zwinne pieski wdarły się do jamy borsuczej. Człowiek, który, prawem kadu-

ka, las wziął w posiadanie, a w nim wszystkie stworzenia za własność uważał, ucho do ziemi przyłożył, i wiódł za psim głosem, a gdy już harkot walki usłyszał, wpiły się w ziemię łopaty. Poczęły odwa-lać jej bryły czarne, włóknem przerosłe. Głębiej i głębiej w życiodawczą próchnicę.

Nagle — bij! zabij! — ukazały się siwe kłęby borsucze, na nich psy wżarte. Jeden już własnymi wnętrznościami nogi opłatał — nie puścił.

— Bij!! — tłuka łopaty po krzyżach, po łbach, ale życie, jakby szponami czepia się ofiar. Już łeb zwisnął, tułów drga jeszcze, padają ciosy, ale nagle znów paszcza rozwiera... Zgrzytnęło żelazo po kości, mózg już wytrysnął — żyją jeszcze pazury.

— Kwardego żywota bestyja! — rośnie w ludziach zaciętość, nurzają w drgających trzewiach drągi, łopaty, mordują z lubością pomsty spełnionej, za ciężkie krzywdy.

Aż koniec ponurej przemocy. Dymiąca miazga krwi, sinych jelit i tłuszczu, a w niej psie pyski zmar-twiałe rozewrzeć się nie mogą, bo w zaciekłości kurcz szczęki zacisnął.

— Godne psy! — Dianka, Karuś i Niemój.

Na okrwawionych narzędziach zmęczeni ludzie się wsparli i, radzi ze siebie, hej! dumni nawet, chwala własną zasługę zaprawienia zwierząt do mordy.

— Ale — siedem ich było... gdzie jeden? — krzyk niepokoju odezwał się nagle.

— A siedem... — i wzmaga się zamęt, żal, przekleństwa, rozkazy. Tymczasem okrwawiony bor-





suk już w głębie parowu się stoczył i zaszył w krze-  
gęste. Oj, bije serce.

Lisy, zwarte w gromadkę, dzień przetrwały bez  
ruchu, snu, jadła, wieczorem dopiero, pod noc, wy-  
sunął się stary i chłonał chwilę powietrze. Kitą za-  
winał, w las prysnął i — jechał, jakgdyby miał sfo-  
rę ogarów na karku. Za nim liszka wypełzła i, sunąc  
na brzuchu, zwróciła ku łące, na znane, bezpieczne  
prześmyki, a lisięta podyndały za dnia, w rozmaite  
strony, gdzie komu po myśli. Tak się rozstała ro-  
dzina.

I zapanował spokój pod dwiema sosnami i bukiem.  
Dopiero o wiosnie, o wczesnej, gdy mróz zaledwie  
zwolnił ziemię z twardego uścisku, zjawił się chudy,  
podkasany zwierz siwy, z czarnymi po łbie pręgami,  
i w zapadłej, zburzonej jamie borsuczej dawnych  
chodów szukał, dzień, dwa, a potem jął się ziemnej  
roboty.

Kwardego żywota bestyja!

Ż Y W O T Y





*Milszy mi jeden kamień  
dawnego cmentarza, niż nowe,  
z betonu kolumny.*

Ledwie że na brzaski okrzyknęło się ptactwo, ledwie rozmroczył żdziebło niebokrag, a z wilgnej szarości świt wymknął i wejrzał do komnatki poprzez serca okiennic, już ci nie doleżał starosta. Gdy zaś pierwsze pomyślenie dziękczynne Panu Bogu posłał i westchnął a ziewnął, jakby kto właśnie wierzeje odmykał, ktoś mu żałośliwie odjęknął, i już pies, stary zwajca, przeżąc trzaskające krzyże, szedł, *ex officio*, z pozdrowieniem ku niemu. Zaś jego-  
mość krzesał ogieniek, a gdy rozbłysło, medytował chwilę nad synem, jak co dnia, myśl pierwszą siał w stronę zgryzoty: — gdzież-ci się obraca?

Wnet dźwignął się raźnie, oblókł kitaje *et con-sequenter*, wdział szarawary z kuczbaju, zaczęm grubawe, jałowicze skórznie i ruszył do sądka, gdzie wody było po wręby. Tedy już piesek pod łożę się kwapił, ile że bywał przykry jegomość, gdy sprawiał poranne ablucje.

Niedłuzko, a już ziewnął senny pacholec, przy okiennicach niesporo coś gmerał, a gdy się starosta na dobre rozparskał, aż siał deszczem srebrzystym wokoło, wraz światłość poranna padła na izbę. Te-



dy, jeśli ciekawość, to i mogłeś obaczyć, że prócz łoża, a krzyża, ruszniczki, splecionej harapem, wypelzłej skórki borsuczej, więcej nic zgoła w izbie nie było.

Ano, trafilby się człowieczyna przyglupi, nie zrozumiałby zgoła z owej *simplicitatis* kształtu godności, jako że taki, gdy jeno zoczy u kogo barwiane cholewy, już go panem być mieni, a wnet i — gołota, gdy w cycowym chadza kabacie, albo słome w buciskach rad nosi.

T a n d e m starosta otrząchnął się z wody, sito-wiate wąsiska garścią przegarnął, oblókł się w giezło bieluchne, na co, od chłódków porannych, w bekieszę, liskami podbitą. Zaczem prostej roboty bu-kowy różaniec zdjął z krzyża, wdział ciepłą kapuze na łeb podgolony, jakoż i podręczny bizuniek pod pachą, gdyby kaśliwa gadzina, się zwiesza. I owo, gotów jegomość, a piesek podle podryguje radośnie, jakby mu kto mendel roków ze sztywnego zdjął karku.

Na poranne, stary, idzie modlitwy, wszakci i na sprawy doczesnego żywota baczne ma oko: wraz pachółka zdybał w podsieniu i już go za *crimen* jakowyś ujadł harapem, a ów tak boleściwie zawrzasał, że wnet na gospodarskiem przedworzu sporo zakrzatnęli się ludzie. Każdy czegoś się imał, za czemś każdy gdzieś biegał, jako że wstał już, musi, jegomość, boć nie zpróżna chłop krzyczy.

P o s t a d m o n i t i o n e m bizuniek w kieszeń zasunął i podniósł oczy ku siwym obłokom, kędy na

smutki szarego świtania już rumieńczyk wychynał. Zaś od widnokregu biegła chybko tarcza słoneczna, jakby przysłoniona trocha, jakby w zawojek obłoczny spowita, co, wiadomo, odmiany nieomylnie znaki.

Ale snadź nie po myśli była jegomości odmiana, bo coś niepolitycznie o jakiejś psiej funkcji przymrukał, rekolligował się wnetki, ziarno różańca przesunął.

Ze słowami modlitwy Pańskiej ku stajence zmierz. Pozdrowienie już począł, raz wraz tylko błysnie oczyma, zaś co nie do rzeczy, nie do ładu obaczy, i n e m e m o r i a karbuje. Zdarzy się, że nim febra potrząchnie, wtedy *extra* się w piersi uderzy, *de noviter* pozdrowienie zaczyna.

Idzie zwolna, zda się, bez szmeru, ale gdy blisko, już go stary źrebiec przeczuje, górnij się wyniesie, maluchne uszki nasroży kolisto i zarży, jakby tchnieniem potężnem w organy uderzył.

Już, za jego przewodem, cienkogłóśne kobyłki się ozwą, roześmieją rzeżko, dźwiękliwie, a tu już i żróbki, jak te dzwonki śpiżowe. A gdy już w odrzwiach starosta, jakże to zatańcują koniska, a tupot, a łańcuchów brząkanie, a tu i ówdzie pokwiki, że to, z wielkiej uciechy, stadnik sięga pobok zębami, zaś stary siwiec, drygant bojowy, szeroko zadem okracza. Aż do ziemi przysiąda — przysiąda, miecie ogonem, rwie się przodem z uwięzi.

A tuż — słowa kornej modlitwy:

— Zdrowaś Maryja... między niewiastami... — i już jeno w pacierzowym szepcie wasy mu się stro-



sza, a choć i wielka lubość wzbiera na owe radoście, ani okiem w stronę koni nie wiedzie. Mierzy równymi krokami stajenkę, kędy środkiem, między rzędami wdzięcznego stworzenia, szlak jasny, ślad dawny, wytarty na olchowych tarcicach.

Zaś przyjdzie chwila, gdy głośniejszym westchnięciem jego-  
mość:

— Kyrje elejson!... — przystanie na krótko, głowę w kajaniu pochyli i pocznie z wielką pokorą:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie...

Gdy zaś pół różańca przesunie, litanijkę spełni, pojrzy bacznie po stajni i —

— Hej!... — jakby palnął z króci-cy, a wnet ludzie stajenni do kolan przypadną, kalwakator do ręki się schyli.

Furmańczyk stanie z sakwą przesypanego solą jęczmienia opodal, i dziw wtedy, że stajni nie rozniosą koniska, takie owej chwili *l a r u m* uczynią.

Tedy znakiem krzyża ludzki pan swoją czeladkę przeżegna, wszystkich za głowy uściśnie. Zaczem sięgnie do sakwy, sypko-złocistego ziarna ujmie przygarście i żrebcowi pierwsze, a gdy zbierze z ochotą, znów jegomość rękę zanurzy — i naści — boć to stary bitewny towarzyszy, personat, co u szyi na srebrnym łańcuszku indygenat z Arabije nosi. Zaś takiemu we wszystkim — *h o n o r e s*, jako że przednia cnota tylko z krwi godnej bierze początek, rzadkim jeno trafunkiem pośledniejsze pochodzenie wyniesie, często nawet ludzkiej ujdzie uwagi, jako ów cenny kamień w nikczemnej oprawie.

Owóz do stadnej matki jegomość się zbliży, co przed laty była, jak mleko, świeżo zdojone, a dziś już na nią gęsto spadła tatarka. I pojrzy klaczka na niego owemi jakby żdziebko kosemi oczyma, czarne chrapki zafurkoczą jej zlekka, a z niepokojów rado-snych drzączka pobiegnie po siartce.

Wnet zemle zębami, nie uрони ziarnka, a potem miękką gębą chwyta starostę za pętlice, za knefle na ramieniu łeb suchy mu złoży i trwa chwilę w zadumie, zaczem się jakby ze zbytnej tkliwości otrząchnie, kopytem niecierpliwie uderzy.—Idź-że jegomość!

A zaś podle syn starej dropiatej, po prawym siedmiogrodzkim sekielu, drze podkową tarcicę, za nim dębi się drygant skrawo-złoty, pod usarza sposobny, zaś takiego w oczach płomienia, że i lubo i straszno, a tuż grzeczny turczyn, na dziw, tak cudnej maści, że, zda się, spływa po nim fala złocista.

Owóz i do nich starosta z pełną garścią i sercem wezbranem, a potem już i do pośledniejszych. Kędy żmudzki grubo-płaski kleperek, silnie grzywiasty, rozpartego zadu, kędy człapak jegomości, wytrzymały podolak, w melankolji pogrążon, a tuż dwa, sarniej kości, tatarskie bachmaty — przednie ciekun-y. Nie opuści jegomość żadnego, nawet i dzybate-mu główaczowi, co pod hajduka z listami, garść jęczmienia podniesie i dwom starym woźnikom, jako że też lby hakowate ku niemu podźwigną; nie przeoczy łykawego wałaszka, ani klaczki włogawej, tylko owe przeoryny ominie, kędy z pod arkana świeżo,



nieotargane jeszcze cztery wronie tabuńce wparły chwosty w pośladki, ozierają się krwawo.

Niby owi ludzie obcego serca, obcego zwyczaju, których ni papką, ni solą, ni dobrem słowem, ni żadną ugodą nie zniewolisz ku sobie.

A tu już i żróbki: pleśniwe, myszate i krase, cisa-we i sroki, szczęśliwa *j u v e n t u s* bez troski. I już gziwy niektóry, choć jeszcze w schodki ogonek, a grzywa w szczotkę. Nieforemne to jeszcze i nie-wiada co z tego, wždy każdemu już z czarnych ślep-ków rodowa cnota wyziera.

Zaś w ciemnem ustronnem zakąciu, jak potrzeba i zwyczaj, siedzą łowne ptaszyny.

Ot-że na przedzie smagły, długawy krzeczot-sokolik, pręgowany falisto. Na żółtych szponiastych nogach się rozparł, i *i m p e r i o s e* spoziera, unoszo-ny zdawna, ćwik sprawny, co i czapli dosięgnie, i na kozicę się ciśnie. Ot-że kobuzik, jakby go kto putrem niebieskawym przyprószył, ot-że para rarogów, co *r a r a e s a v e s* — zbójców brunatnych, krwawoznaczonych, a i Kubaś, modrawy krogulec, podskakuje na dłużcu u drażka, co go zwa berło. Zaś młode jastrząbki, niećwiczone jeszcze, do kupy się zwały, a choć kwilą żałośnie, spoglądają bez trwogi i hardzie, aż dziw skąd w małej ptaszynie takowa *dignitas*, jakiej w człeku niektórym zgoła nie uświadczysz.

A gdy już każde żyjące pańskim okiem oglądnie starosta, zali ma wszelką wygodę ku swojej potrzebie, zali mu nie krzywda w tej służbie, pojrzy wtedy

po stajni, jak szeroka i długa, a wielka lubość w nim wzbierze, żeć jako ojciec owego stworzenia, zaczem i duma, jako że bliska sentymentów pokrewność, spłynie ciepłą falą na duszę.

I ze starczego pochylenia tęgie bary rozprostuje starosta i pojrzy w on żywot własny, co jak kryształowe naczynie bez skazy, a po niem blaski tęczowe z krwi, złota: rycerskiej glorii światłolite wspominki, szczodre ofiary *p r o p a t r i a i b o n a* zdobyczne *p r o d o m o*.

I taki pod ową chwilę się wyda, gdy głowę górnę wyniesie, jako ów ptak posiwiały — białozór, co przódzi piersią uderzy, zanim sięgnie szponami.

Sięgał ci sięgał po dobro starosta, ale krwią tylko płacił za złoto. Toć niebyle ów Kircholm, a Kłuszyn, a Smoleńsk, a Trzcianna, toć niebyle darunek pod usarją sto koni, własne zaciągi, pół wieku na służbie ojczyzny. Niebyle, niebyle... i już sobolubna *m a j e s t a s* piersi rozpięra, duszę bierze w niewolę.

Aleć ukorzy się wrychle jegomość, bo owo, bardzo niecierpliwy jest Pan Bóg, gdy się człek zbytnia pychą wynosi. Wnet mu syna Michała na myśl przywiedzie, co dwa lata, jak ruszył na pierwsze bitewne okazje, i ni śladu za nim, a słych rozmaity...

— Żyw, czyli zabit? Zali z cnotą, bez plamy? — ciężka troska łeb siwy pochyli, drżące palce zmacają różaniec.

— Toć, mocny Boże, przecie jednak, i *s i n e s u c c e s s o r e*, z rodu ostatni... Toć jakże?...



I z myślą zamariał w udręce ruszy jegomość pokornie do dworu zpowrotem.

\*

\*

\*

Nierychliwy jest Pan Bóg, jak wiadomo, ludziom i n o p p r e s s i o n e będącym, aleć ulitował się przecie, gdy spojrział zwysoka, a postrzegł, że jegomość starosta, człek godny, obserwant, kollator, z wielkiej żalości schnie i czernieje, jak owo płonne drzewo, gdy już zdawna żywie bez kwiatu. Zaś wejrzał Bóg w p a c t a, niedotrzymane przez panów bojarów, szczęśliwą zesłał wiktoryą, zaczem c o n c l u s u m: niechże wraca starość.

Ano, jakoś pod jesień hetman zwinął obozy.

Nie kupno, nie strojno, nie w sakabantach, dydykach, a złotych czołdarach, jeno samoczwart, bez splendecy zgoła, zato huczno, buńczuczno jadzie pan Michał z moskiewskiej potrzeby, zatykockim gościńcem od Narwi.

Nie na galę u dworu, nie na harc przedbitewny, tedy przyodzian modeste: w łosiową kurtę, w buty, z juchty grubo wyprawne, a u boku kręta czeczuga na podpiętych rapciach. Ale mina za katy, wąs wgórze się jeży, brew namarszczona, a kuczma bramowana sobolem, aże leci z czuba.

Pstrok pod nim siarczysty; łbem miota, cugle wydiera, to do piersi gębę spienioną przytuli, to się

górnę wyniesie, kopytami tłucze zwysoka, a działy ogon na dwie pędzie od się.

Pobok człapią dwa charty, od miłego przypadku.

Rozśpiewana dusza w panu Michale, a myśl jako lazur, i śmieją się usta do ludzi, do wszelkiego stworzenia, do drzewin, do zbóż, a niechno drogą dziewczucha się trafi, a niechno i gładka, już ci, zda się, nie dosiedzi na koniu starość. Jakoż bywa i tak...

A wtyle ciągnie obozik: dwaj pocztowi i pachol podręczny na tłustogniadych, dobrych; zdobyczne konie prowadzą, powiązane grzecznie, w ochędóstwie, jak trzeba.

Jest tego dobra kilkoro, garbonose to wszystko, lby niosą w niebo, a drepcą jakoś cale z obcą fantazją, zaś za ową kupą, cztery bure kałmuki wloką wporęcz ładowne pękate wozisko, skórą starownie podbite i z budą, wzorzystym kilimem odzianą. Za wozem, oczywiście, węborek się tłucze.

Spieka i parno, a że to już schodzi pod wieczór, tnie gad rozmaity, dojada, parska ją koniska, ogonami chlaszczą.

I wraz hukną pocztowi:

Wyjrzyj, dziewczko, za góry.  
Czy nie jedzie pan który?

A pacholec dyszkantem wspomóż:

— Jada, jada panowie,  
Nieboszczyka bratowie.  
— Po czymżeś ich poznała,  
Żeś ich braćmi nazwała?



— Po konikach, po wronych,  
Po siodełkach czerwonych.  
— Witaj, witaj, bratowa,  
Nieboszczyka katowa.  
Gdzieś nam brata podziła?

T a n d e m, z wielką pasją:

Wyjechali za lasy  
I tam darli z niej pasy.

I z nimi starościc, ale co insze:

Czy pamiętasz, psie, ultaju,  
Coś mnie obiecował  
W zeszłym roku, przy ruczaju,  
Gdyś ze mną nocował?

Zaś znów takie m o m e n t u m, że cichość. Każdy ze swemi myślami w rozmowie, i sunie obozik powoli, jakby ustaje; to rozciągnie się nieco, to zewrze. Jedna przed nim droga, jasna, daleka, zaś bokami różności, a już ci borów najgęściej.

A tu aż straszno niektórym w owej czarności, gdy górą zemkną się gałęzie sklepisto i nieba nie widać; wždy jakże lubo, gdy zagnała jasność wychynie i owe złociste, a zielone, a białe poletka. Ówdzie szczerk żółty, ówdzie woda, w światłolitych blaskach jarząca.

Zaś mokrzadła pociągną smugami, olchowe kępy, podmokłe bajury, krętami strugami przejęte, a dalej, na wzgórkach, jakby z owej pustki, chaty, ku sobie, na urady się zeszły. Nad niemi bocieniec na straży.

Jeszcze ze dwa stają, a już i widno, jak na małych spłachetkach, w fali złocistej, u košby, zwijają się ludzie; owo śpiew ich doleciał, oczy przysłonili od słońca.

— Jadzie pan z wojny.

I znowu pola dalekie, lasy gaiste, ciemne dąbrowy, bagna, poletka, alie wieś znowu, i raźniej na duszy i koniom na zdrowie.

Zcicha ludzie zawodzą, wóz skrzypi, tłucze się tupot miarowy, z czego jakby granie żałosliwe, tęskniące.

Błogo w myśli pana Michała.

A w piersiach taka przestronność, jakby wielkie tam izbisko, kędy huczy wesele. Boć i jakże inaczej, kiedy pierwsze w życiu nad wrogiem zwycięstwa, dobra zdobyczne, koniska, że nie znajdzie się gańca, zaś owa w domu uciecha, zaś słodkie wczasy, zaś ona — kochana...

I huknie starościc i utnie z kopyta, aż rozjęknie bity gościniec, jakby kto pod ziemią uderzył we dzwony.

Szarpną się za nim konie powodne, zachybocze wóz, zatłucze, zazgrzyta, jako ów stary, co to rad zrzędzi na junaćką ochotę, a pociągnąć go jeno, zawsze pośpieszy, nie wydoła nigdy.

Ano — za godziną godzina, sępi się niebo, zmierzch idzie, zaś do domu spory kęs drogi: da Bóg na świtanie.

Przecż-że troska siadła na czole?



\*  
\*                      \*

Jakoż dobrze już w dzień, gdy jegomość spełnił poranne modlitwy, i gdy mu pacholek wniósł do świetliczki dzieżkę piwnej polewki, zaprawionej rześcicie śmietaną, zgiełk jakiś na podwórzu się podniósł.

Nie lubił tego jegomość, aby doznał w jedzeniu przeszkody, jako że ową funkcją w osobliwszej miał pieczy, wszakci jednak gość to mógł być wczesny albo podróżny, t a n d e m przystęknął i ruszył na ganek.

Gość, oczywiście, bo na koniu, zgola nieznanym, rwie ktoś skokiem do dworu. Koń dobry...

Jeszcze bliżej, już wyparł za wrota, nagle zachwiał się stary, ręką serca chciał sięgać.

— Mi-cha!... — jakby się w piersiach zerwało.

Synał cisnął się z konia, przypadł do nóg staroście; ów roztrzęsionymi rękami go chwycił za ramiona, za głowę, w poruszeniu, nie do rzeczy bełkotał; przemógł się wrychle, rzekł twardo:

— Bywaj mi, synu! — lecz nie uradził... zatrzęsły się wąsiska, a łzy wielkie z oczów się rwały na głowę synową.

Zaczem z alkierzyka i pani matka wybiegła, sucha starowinka w niobach, szlarczkach.

— Bóg żywy... Michałek! — i już we troje się splekli i porykiwał starościc, aż ci się wkońcu, jak dziecko, rozchlipał.

A tu już i służba bliżej przymknęła: o e c o n o m u s, włodarz, pisarze, klucznik i ludzie stajenni, służebne panny i kmiecie, a wielogłośnie g a u d i u m, we wsi od końca do końca, pobiegło:

— Panicz przyjechał... Złota, srybła pełne woziska!

Już i szafarka w kredensiku się krząta, biegają dziewczki, bosc pięty dudnią; ta już niesie kapłona, owa grzybki z podruny, inna przypiekane małdrzyki, osuszki, kołacze, kmin kandyzowany na stole zastawia, już i potykutał jegomość do sklepiu pod ręką, boć wojakowi trza wina, zaś pani matka daremnie się głowi, jaką to kaszkę lubi synalek, zali gradową, zali tatarczaną?

Gdy owe przygotowania tak trwają, jegomość bacznie lubego gościa oziera. Wypatruje roztropnie, bo owóz, że z wojny powrócił, a w zdrowiu, toć łaska Boża, łaska widoma i szczęście, ale co w duszy, co w pomyśleniu, czyż to można wskroś przejrzeć człowieka? I zali z honorem, zali z cnotą powrócił?... Trwożliwa myśl dręczy starostę.

Ale przecie wnet się to wyda, co tam jest w sercu i jakie p r i n c i p i a; toć jegomość statysta, w całym województwie był znany, toć z urzędu sądził i godził, a p r i v a t i m i waśń umiał rozniecić, jeśli p r o b o n o. Juźci zna się na ludziach.

Ano, chyłkiem, ostrożnie sięgnął w myśli synowe, gdy spełnili czarki.

— Miniasty jakiś tarancik ten twój nowy koniczek, ale jakby ździebko obdłużny.



— Gdzie zaś tam, ojciec! W samą miarę uroda.  
— Dla mnie obdłużny... — powtórzył ostro starosta.

A wnet jejmość wtrąciła:

— Długawy on jest, ale na oko, wždy, krótki się widzi.

Zaś starosta do syna:

— Waszeć snadź w obozach przepomniął, jakie m o r e s syn ojcu powinien...

Odsapnął, i znów począł spokojnie:

— Tedy d i x i, że koń nieco przydługi, ale kształt zgoła nie ujmuje cnoty. Koń, widzę, pięknej rotundy, a i w skoku się umie pokazać... Tak... owóz...

Żuł jeszcze gorycz jegomość i trawił ją w sobie, deliberując nad hardym responsem, ale po chwili zwrócił siwe oczy na syna, jakby z pytaniem, o czemże była rozmowa.

— Właśnie... tedy — przydługi... Tedy w owej materji... W jakimże wieku?

— Kły mu ledwo ruszyły.

— W samej porze, znaczy. I jakże go masz? Kupiłeś, czy jak?

Błysnął zębami starościc.

— A małoż to owego dobra Moskwa przywiedli?

— Pytam — q u o m o d o go masz?

— Toć zprosta... Patrzę, koń pod nim prawy, a że to już było w popłochu, tedy ruszyłem naskos: kusa rada, od siebie zawinał, zabieżałem mu też. T a n d e m ciąłem z p r i m y przez łeb i z obrotu—sztychem...

— I zaś?

— Zaś obmacałem go trocha, czy klejnocików nie wiezie. Krócić miał blachmalowa, demeszkowej roboty, tom wziął, zaś pstrosza na powód i owa...

— A miałże ci nieboraczek aby krzyżyk na sobie? — Pani matce jakby trocha markotno.

— Miał srebrny, ale niechże z nim idzie na sądy i świadczy, bo urody był całę pogańskiej.

Popił winem pan Michał, odetchnął starosta, boć przecie chłopak honorowie się sprawił. I z całej mowy to widno i z animuszów rycerskich, że nicby contra ordinem equestrem nie uczynił zgoła; aniby bezbronnego nie ubił, ani śpiącemu konia nie zabrał, ani kupczenia dla zysków się jał, co haniebne są rzeczy.

— Chwalaż Ci, Panie, i zato!

I już, i n i l l o f e r v o r e, że to wspomniął własne wojenki, pytał syna o różne przygody, o starszych dowiadował towarzyszków, dziwując się wielce, że umarł ten, ów.

— Toć miał z osiemdziesiąt.

— A cóż, owa, osiemdziesiąt? Im kot starszy, tem ci ogon twardszy...

— Wždy tylko u kotów takie q u a l i t a t e s.

— Baj, baju... — i rozanimował się wielce, gęsto spijał kusztyki starej małmazji, przekasywał sobie, a drepcąc po komnatce, d e p o l i t i c i s już poczał dyskursy, ile że czasy były burzliwe, a ludzi godnych, pono, przybrakło. Nagle spojrzał przez szybki.

— A na podwórku czyjeż koniska?



— Moje.

Zaśmiał się stary radośnie.

— Toć, mości synu, z obozem cię widzę... — i za głowę go ścisnął.

— Jest trochę dobra. Nie splendory owo. Kobierczyków tam parę, sorok soboli. Czucha niedźwiedzia, dla ojca jegomości — do ramienia się schylił — no i konisków, suponuję, niezgorszych kilkoro. Zbroiczki conieco na wózk, ano.... — potknął się ździebko.

— Pójdźmyż obaczyć.

Raj dla starosty. A że to końskie rzeczy rozumiał i żaden usterk bystrym jego oczom nie uszedł, tedy okazało się wnet, że ów prześladowaty, tamten mdłej gęby, inszy w krzyżu nieduży, albo ogon źle prezentuje, a ówdzie tyle cnoty, co w szczygłe sadła. I nawet się pstrokowi dostało, że to szkapa tarantowota a dziewczka piegowata jednej są przyjemności, aż utrudził się stary i przysiadł pod lamusem na kłodzie.

— Ergo... gałgaństwo.

Nie obruszył się cale pan Michał, pokornego był serca, a coś w myślach wazący, tak wszystkiemu przyświadczał, tak ci zachodził, a motał i kluczył, jakby chciał uwagę starosty odwrócić, czy odwlec jakieś m o m e n t u m.

Aleć, jak bywa, przy owych zachodach coś porwał głową i czujność jegomości obudził. Stary pojrzał raz, drugi zpodębła, a dawny lęk go za serce

uścisnął, bo cości synalek mataczy, a w owej udanej pokorze jakoweś przykryctwo się widzi.

Tedy znowu ruszył do koni, każdego z ludzi przepytał, dreptał, ozierał się wkoło, aliści, jakby przecuciem wiedziony, ruszył pewnie do woza.

— Amen! — jęknął starościc.

A tu jegomość, ledwie brzeg kilima odchylił, jak się nie ciśnie, jakby weń kto drobnym ołowiem z arkabuza plnął.

I jakby mowę mu odjęło, wąsiska jakoś dziwnie odstały i coś w starym głucho rozwalkło. Symulował jednak spokojność i rzekł zcicha, chrapliwie:

— Wziąć to ze dworu!

I wraz, gdy ludzie w przerażeniu zamarli i nie ruszyli się nikt:

— Precz! — grzmotnął.

Jakby wichur zamiotłał pacholkiem, do koni go cisnął. Migiem wodze w garść zebrał, jakby płomień ożgnął kałmuki. Ze skoku w chomaty się wparły, a wozisko głucho rozjękło, bo, jako żywe, w tak gwałtownych nie było okazjach.

Ale tejże chwili wspomniął starosta, że przed laty, przed wielu, tak samo z potrzeby powracał, wiózł ci jasną Niemkinie.

I jeszcze więcej rozsierdział.

— Zamtuz wasze chciałeś uczynić tu, w gnieździe pocziwem.

Aleć znów wspomniął, że przed laty, przed wielu, to samo rzekł rodzic do niego.

Tedy się zaciął, spluwając.



Z własnego konceptu dobrze się sprawił pana Michałowy pacholek, bo niebogę żółtemu łyżkowi w miasteczku zdał pod opiekę, kilka talarów mu obiecawszy za dobre staranie, poczem zpowrotem się przywłókł, a rad mu był wielce starościc, gdy z pomyślną wieścią się zjawił, za co obdarzył hon e s t e. Zaś pod wieczór do miasta się kopnął, powrócił radosny.

Bo choć to ją po swojemu miłował, nie to żeby wiernie, boć nie do rzeczy w dwudziestu leciech czas trwonić na wierne kochanie, żywot jednakby oddał za tę lubą Czerkieskę, co oczy miała biesowe, a zęby — kiep wilk.

— Niemasz takiej drugiej we świecie — w miłosnym ferworze starościc powiadał, ale niechno tylko mu furknął białogłowski inderak, trzepotało w nim serce i nie umiał uskromić wigoru. Tu zaś furkały mu gęsto, że to służby niewieściej, różnych córek, siostrzanek, było in plurale we dworze, a między gładszemi już zrazu, od chwili powrotu, powstał niepokój — ów wewnętrzny rozgardjasz, kiedy to serce, zda się, ucieka...

Zaczem nie upłynął i tydzień, a już bieganie po sadzie o zmroku, szepty, chichotki, ów zgiekł przyciszony, a pełen miłosnej lubości.

Dziwno pani matce z tem było i deliberował starosta, co oto przeszkadza, kie licha maci spokój

w domostwie, aliści w tym czasie, gdy się już dziewczęce zawrozenia poczęły a nocne szlochy, jako że zawsze z gorącości afektów taka c o n s e q u e n t i a, cości wyśledził, spenetrował jegomość, z czego wysnuł konkluzję: trzeba syna ożenić.

Z konjunktji się to pani matce nie do rzeczy widziało, boć niby co ma jedno z drugim do siebie, ale aż w rączyny plasnęła z uciechy, zaś przekonała się wrychle, jaki to przenikliwy sens w jegomości.

Przekonała-ć się wrychle, ale już bardzo żałośnie.

Bo niedługo, może we cztery niedziele, najmilsza panna służebna, Teklusia, do nóg jej padła ze łzami, a gniewna żałość ścisnęła jejmość za serce, boć to już wiadomo, w jakim grzechu się kaja.

— Któż cię przywiódł do tego?

Jeszcze mocniej panna jej nogi objęła i lamentem rozjękła.

— Któż, pytam... — aż nagle bolesne przeczucie:

— Tyś to nocką po sadzie biegała?

— Zali-ż ja jedna... — i wyznała o sprawcy.

Legła pani matka krzyżem w kaplicy na noc. Świtkiem ją bez czucia naleźli.

A jegomość starosta pisarzowi rozkazał rege-strzyk ukrzywdzonych sporządzić, wzorzysty rańtuszek na klepisku rozłożył, pana syna przywołał i paradnym bizunem za Teklusię, za Tercię, za dwie Zofki, Ulinę, p r o m e m o r i a po dziesięć.

Zaś bił boleściwie, boć to sobie wspominał, że przed laty, przed wielu, na tym samym rańtuszk— za te same przewiny...



\*  
\* \*

Nikt temu *contra* nie rzeknie, że jużci dolo-  
rosi są baty, choćby ze wszelkim respektem na  
adziamskim kobiercu, ale gdy się jeno pan Michał  
z owej impresji otrząchnął, wnetby dawny *impul-*  
*sus* odzyskał, gdyby nie utrapienie, co wstało na  
ciche, rzewne pani matki żale.

Owe żale niemowne, a szarpiące do bólu, gdy jeno  
spojrzeć w te oczy pobladłe, a tak nade wszystkie  
kochane.

I oto, jakby coś w twardym junaku rozpękło, jak-  
by się gorące łyzy wewnętrzne polały, a tu ani się przed  
kim wyjawić, ani uzalić. T a n d e m hardy łeb  
zwiesił i tak ze dwie niedziele się błakał.

Raz tylko, i z wielkiej już melankolji, do dawnej  
faworki dojechał, zaś ani spojrzał na inne, co z prze-  
korności, ciągle na oczach, kieckami mu trzęsły,  
i sobą bujały, już zgoła nie wiedząc, jakiego zażyć  
sposobu, aby zgasłe afekta rozniecić w paniczu *de*  
*novo*.

Aż ci w owej żalości, że bez pokuty, zgoła rady  
nie widząc, umyślił tak czy owak sprawić *finem*  
*amoris* z miłośnicą jedyną, zaczął do nóg pani  
matce padnie i zgodzi się na owe małżeńskie *pro-*  
*jecta*.

Jakby się odrodził, a gdy zastały pstrok uciał  
żartko z kopyta i nie w bramkę, lecz pobok z owe-  
go impetu przesadził, a wydarł się w skoku, jeno

grudy rozprysły — zakotłowała radość w sercu  
młodzieńcem, że oto spełnia z najgorętszych senty-  
mentów ofiarę.

I skokiem pan Michał z miasteczka powrócił i jak-  
że radosny, jakby w nim serca przyrosło.

Takie już cudne oczy pewnej mieszczki napotkał,  
o jakich, jak żywie, nie marzył.

W noc nie spał, a świtkiem gnał już do miasta —  
oszałał...

Cudne były bo cudne, aleć aniby ich dopatrzył  
starościc, gdyby nań mile nie spojrzały pierwsze.  
Gdy zaś w nich lubą, wymowną komplacencją wy-  
czytał, aż zamróz po nim pobieżał, i oto rzekł sobie:  
niechajże śmierć potem, byle raz owe oczy spoj-  
rzały, a zbliśka, z miłosną wdzięcznością, byle raz  
owe dłońki bieluchne szyję mu oplotły.

Rozgorzał. A choć sam eksperjencji niewielkiej,  
toć przecie gdy dwoje *in flore aetatis*, dwie  
szczerze ochoty ku sobie, a bies trzeci, wierny zdra-  
dnej białogłowy sojusznik, wspomaga, toć zawždy  
jeden niechybny *effectus*. Tedy nie dziw, że  
ano pan Michał szczęścia bliskość zrozumiał, gdy  
już w zapatrzeniu jejmości jarzyło kochanie.

Zaczem przez pacholka kartelusze pobiegły, za-  
uszniczki, manele...

Zaczem i czucha niedźwiedzia, ojcowca, dla wiel-  
ce mościwego pana i przyjaciela, małżonka...

Aleć nie tak snadnie wypadło, jak snadnie się zda-  
ło, bo chocia pan Michał żadnej nie zaniedbał *occa-*  
*sionem*, aby sławetnemu gospodarzowi żywot



umilić, czy to darunkiem, czy in respect o, żółty łyżeczek wnet s e n s u m owych honorów zmiarkował i cnotki żoninej strzegł pilnie.

A choć bardzo politycznie ową funkcją sprawował, zmierzył go sobie starościc ze szczerem; ów-że jeszcze niżej się kłaniał, nie wiedząc, na czym gościa usadzić, ani na mgnienie nie opuścił kompanji. Że to był dyskret, obserwant, tedy nie ważył się w niczem tak godnej personie uchybić.

Zadufany był w sobie, szydlawie się w duchu uśmiechał.

I trwało ci, trwało — przydługo.

Aż rozjuszył się imćpan starościc i począł snuć zuchwałę zamysły. Aż utrudził się łyżeczek, że to miał w handlu przeszkodę.

I jakoś szczerzej sobie w oczy spojrzeli i w dusze, a gdy pan Michał zbytnią konfidencją już zawział i, za nic go sobie nie ważąc, coraz miłośniej przy jejmości się ślaniał, ów niecierpliwe słowo mu rzucił, niby ogniem na proch.

Ano, ciął go szablą przez pysk.

Ano, — łyżczkowie się zbiegli, z sukursem.

\*  
\*  
\*

Ślaniającą się, drżącą staruszkę wyniosły dziad tuli, ot że rodzic i matka, a przed nimi na zboczonym wezgłowiu jedyny syn kona. I jeno charkot przedśmiertny, chrypliwe jęki — zmagania z okrut-

na przemocą, a w owe odgłosy bije szept nieustanny, bólem przebrany:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej!

W izbie wielkiej a mrocznej mdle światło kaganka się błąka, półblaskami miota, czasem kątów dosięgnie, gdzie ludzie kupą się zwarli, tam chybnie po głowach, twarze z mroków dobędzie, kędy groza oczy rozwarła, a usta szepcą zimne pacierzowe wyrazy.

Wraz zatańcują krwawe migoty po ścianie, po złocistej ramie pobiegna: z ciemnego portretu, jakby żywa, twarz ludzka patrzy twardo i chłodno na wnukową mękę, na synowe bóle.

Zwolna odetchnienie się wznosi, rośnie, zamiera, a gdy konający rozjęknie, jakby krzykiem ostatnim życie już żegnał, jęk w zmartwiałe od bólu dwa serca uderzy, ocknie w nich czucie. Groza padnie na myśli, głowy pochyli... i znów odetchnienie zwolna się wznosi, rośnie, zamiera...

Aż długa chwila cichości podeszła. Osunęła się z ramion staruszka, dziad nasłuchuje — nie słyszy. Lud zamarł — wielkim głosem zajęczał.

I już jęk wybiegł za ściany, w bliską chatę uderzył, rozległ się w niej, przybrał wnet mocy, rozelkany przez pola się niósł, gdy uderzył weń tętent i zgiełk.

W blasku rozwichrzonych płomieni, w kłębiących się dymach, tłum ludzi przekotłował na koniach, wparł na podwórzec, z łoskotem runął u dworu.



Wnet izba rozgorzała jasnością, a z wichrem, z gromadą ludzi rozgrzanych, dyszących, wbiegł człek czarny, chuderlawy, i przypadł do łóżka.

W pół odetchnienia piersi ustały, wpatrzyły się oczy i nagle w myślach zabiegała skierka nadziei, gdy medyk z leżącego bez ruchu zdjął ręce i głową zlekka poruszył.

— Żywie... Żyw, żyw... — przeleciało po ciżbie i znów ścichły oddechy, jeno sporzej zabiły serca.

Wnet coś ludziom przykazał; ciężkie łoże na środek dźwignęli, w głowach stanął z pełgającym kaganem pacholek. Człek niepozorny zawinał rękawy i wątlami rękami dobadywał się krzywdy w rozroślej piersi pana Michała. Zaczem obmył i rozwarł zaskrzepłą ranę na głowie, ale snadź niedobre sprawy mu się widziały, bo przysiadł i jakby zadumał się chwilę — jakby nie wiedział, czemu dać początek.

Zaś się otrząchnął, o topolową pytał żywicę, zali się w apteczce nie najdzie; ze świeżą tłustością kazał starownie wymieszać, zaczem cedułkę napisał, na duch kazał słać i po instrumenta sięgnął do pudra.

T a n d e m bardzo zgrabnie głowę ogolił i jał się swych praktyk pomocnych, a tak snadnie i sporo to spełniał, że gdyby nie smutne m o m e n t u m, luboć byłoby patrzeć. Gdy zasie, co spleatane, zaszył nicią baranią, potłuczenia jesionowemi listkami dla chłodu, a sadłem niedźwiedziem dla mocy opatrzył, płócienkami wielce kunsztownie powiązał, — odetchnął

i spojrzął na pana starostę; ów znowu na niego z trwożnem pytaniem:

— Wyżyje?

— Mało nadziei... — i bezradnie ręce rozłożył.

A starosta tak ci ruszył do niego, jakby go chciał w garściach zadławić, upamiętał się jednak, zaś fizyk dodał po chwili:

— Krwi siła go uszło, skroń przerabana... — i dobrej nocy życzył staroście, bo choć procederent, wždy był człek polityczny.

Za kapotę go jeszcze ułapił starosta.

— Może Bóg — jednak...

Na co szydliwie zaśmiał się fizyk:

— Pocóż więc, waszmość, wzywasz ludzkiej pomocy?

I wysunął się chylem.

\* \* \*

Może i wedle nauki, cale pan fizyk nie chybił, aleć o tem nie myślał, że prawa śmierci dla każdego inaksze, zaś zgoła przepomniął, że krzepka młodość — uzdrowicielka cudowna i ona-ć to skleja łby na szczęt potłuczone, gdy starowina nauka coś podrwi głową, lub niewładne opuści ręce.

To pewna, że nie do rzeczy się pokwapił ze śmiertelnym wyrokiem, ale, choć zadufany w swoje d o c t r i n a e, uradował się z serca, gdy już nazajutrz pan Michał przytomność odzyskał, z czego już owa droga nadzieja, że na mózgu był cale bez szwanku.



A choć sroga febrisa przyszła pod wieczór i w niej starościc znowu odurzał, jużci, jak raz rozetlała otucha, każdy dzień utwierdzał ją w mocy.

Już po tygodniu, jakby uśmiech się po twarzy pana Michałowej przewinał, gdy spojrzał na lube rozrzwnione matczyisko.

A gdy drugi dzień miał się na schyłku, jużci wyschłe rączyny pan starościc utulił i pogadywał mało-wiele z rodzicem i oto już zdrowiał i krzepnął z każdą godziną, a kiedyś pod wieczór kazał przywołać zaufanego pachółka, sam z nim pozostał i cości uradzali ze sobą. W jakiej materji, nikt o tem nie wiedział, ale urady taki był skutek, że pachółek o brzasku siadł na bachmata i ruszył we światy. Powiadali, że kupę zabijaków gromadzi, czegoż bo nie powiedzą?

Aleć i tu coś przewąchał starosta, bo go osadził w zamczystym lamusie, do czasu.

Owo zbiegły cztery niedziele, i już o kijeku pan Michał po komnatkach suwał, gdy poczęły się szepety jegomości z jejmością, aż radość zatliła w oczach staruszki, ożywiła się wielce, zakrzatnęła po izbach. Zasię dobył starosta ze schówki odświętny żupanik i kontusz tabinowy, przednim bławatem podszyty, a jejmość hatłaszy. Landarzysko stajenni wywlekli, w lejc czwórka tak w maści, jak cnocie bez skazy i, tylko ziemia rozjękła, pojechali gdzieści.

Jeszcze dni kilka, a zanim pan Michał wydobrzeał, już jegomość tak ruszył konceptem, tak się sprawnie zawinał, że jakby niespodzianie pan stolnik z jej-

mością i gładką córą się zjawił. Wraz zrękowiny odbyli.

Trochę mdłej była jejmościanka urody, pan Michał zgola inklinacji do małżeńskich sakramentów nie żywił, aleć jakże się oprzeć, jakże odmówić tym błagającym pani matki oczom, co wyplakały łez tyle.

Zaczem i weselisko, a w wielkim pośpiechu...

Ano i życie pobiegło, z odmiany, a choć tam zrazu i nie w smak była starościcowi ckliwa małżeńska potrawka po antypastach, choć tam burzyło w nim dawne potrochu, ano klamka zapadła, tak sobie rozumiał. Zrzadka tylko gorące wspominki na pamięć przywodząc, nigdy nic nie zamyślał contra fidem małżeńskiej.

Ano życie lata liczyło: po dwóch córach syn upragniony się rodził i ostał — jedynak, jako że zdawna w tym rodzie, z boskich wyroków, był takowy porządek. T a n d e m przywarł starościc całem sercem do swojej jejmości.

W stadku też się wiodło niezgorzej: taranty naschwał, po owym pstroku siarczystym, w całem województwie były wiadome, a dwa wielkiej ceny hiszpańskie dzianety przybyły z facjendy, zaś tylko w stajni starosty smutny się c a s u s przydarzył: padł ci żrebiec dawny, bojowy.

Za nim niedłuzko, przy porannych modlitwach ja-



kaś nagle słabość ogarnęła staruszka, wsparł się u przeoryny i zwolna, bez męki, ustało w nim serce.

Tedy i starościnie, pani babce szczęśliwej, złożyli w krzyż rączki.

Zaczem wojna podeszła i ruszył pan Michał na różne okazje, które propria virtute et consilio wspierał, krwie a żywota nie szczędząc. Bóg mu jednak zdrowie salwował, a król jegomość, zważywszy, że już jako bene meritus się liczy, ojcowe starostwo za nim ad vitae tempora utwierdził.

I tak owo darzyło się wszystko, a w zbożnej myśli, w obserwacji polskiego zwyczaju syn jedynak podrastał, szedł w ojca i w dziada.

Sechł z wiekiem starosta, ale mocy nie tracił, trwając w animuszach rycerskich i rodowej fantazji, gdy zaś znacznie w leciech mu zeszło, a już ździebko się ku ziemi nachylił i wysechł, jak trzaska — osierdział, rodowej substancji strzegł pilnie i kochał koniska.

## U ZAPOMNIANEJ STRUGI



Nad rzeczką, której nazwa zapomniana od wieku  
wyłoniła się dopiero z ludzkiej pamięci w dni wojny,  
wstał z czarnej, nocnej głębi twardy, skuty mrozem  
dzień.

Zaledwie ośliznął się blaskiem po dalekiej, kościel-  
nej wieżycy i na korony starych drzew spojrzął,  
jakby przedewszystkiem wdzięki życia — wiarę  
i przeszłość pozdrawiał, a po ziemi nie rozejrzał się  
jeszcze, co przyniosła, co zabrała noc, gdy już buch-  
nęła jasność od pola, tu—tam. Nagle zwałił się łoskot  
i roztlukł, w szybkim turkotaniu rozsypał. I znów  
od skraju podniebia, z blaskiem zerwał się grom, po-  
nad ziemią mroczną, cichą gnał, aż do lasu dosięgnął,  
w każde drzewo uderzył i każde odjękło.

Wraz, nisko, u leśnego podnóża zabiegały świa-  
telka, jak żywe, i długim, równym szeregiem okna  
rozbłysły, zastygły w martwocie bezruchu. Ode-  
zwały się głosy, jeszcze jakby półsenne, niepewne,  
a może z nocy strwożone. Padło pierwsze przekleń-  
stwo, ostrym jękiem się wydarł czuwający ból  
ludzki.

Na buro-szarem pustkowiu wyłonił się z mroków  
kształt ciemny, długi — pociąg rozświetlony okna-



mi. Już białe ściany się znaczą, a na nich wielkie, czerwone krzyże. Gdzieś tam u końca odemknęły się drzwi, buchnął kłęb siwej pary, a w nim postać kobieca i głos dźwięczny, radosny. Zeskoczyła „siostra“, zaśmiała się do jasnego dnia, jak śmieje się zawsze do ludzi, do rzeczy, do umarłych, do żywych. Zawsze szczęściem płonąca, różowa, bezkrasna w nieczułej głupocie, podkasana, opięta, jakby przemocą wtłoczona w skórzany futerał — panienka, z k r e s t a.

Wnet odpowiedział jej głos, podbiegł ktoś śpiesznie, dźwięknęły w ukłonie ostrogi i potoczyła się wartko rozmowa, pełna śmiechu, świergotu, przepojona życiową radością, pragnieniem użycia wezbrana, kipiąca... I zerwała się nagle, gdy z okna wagonu padł wyraz namaszczonej powagą, dostojny:

— C z a j !

I poniósł się przez zwarte ludzkie gromadki, na wszystkich ustach zawisnął, aż odpowiedziało mu echo, od końca do końca pociągu, jedno echo radosne.

— C z a j — c z a j !

Aż dobiegło białych, wielkich namiotów, gdzie w bezwładzie nocnej gorączki, bólem sprężeni usłyszeli je ranni i jakby prąd życia i mocy jasnym płomieniem ulgi, dobrej nadziei przeniknął poszarpane ich ciała.

Przywstał ze słomianego barłogu żołnierz i jęknął nagłym bólem szarpnięty. Lecz tejże chwili twarz brodatą, ponurą jak zbrodnia, rozświetlił

dziwną pogodą uśmiech dziecięcy, na widok sanitariusza polskiego, zdającego się w kłębach pary jakimś lubem, nieziemskim zjawiskiem.

— C z a j... b r a t c y... — szepnął z wysiłkiem.

Coś nim targnęło, zaszamotał się nagle i, jakby niewidzialną mocą pchnięty, dziwnie jakoś pochylił się na bok, palcami zlekka poruszył, jakby coś chwycił i ustał i — minęła go kolej.

A tuż, obok, chciwie wysunęły się ręce czarne, zaskoruzłe we krwi i błocie, utuliły jasny, szafirowy, jak niebo garnuszek. Dalej inne, roztrzęsione, słabe osunęły się nagle i patrzą oczy błagalnie. A tam poi z łyżeczki rannego towarzysza, niby tkliwa piastunka ostrożnie ją niesie do ust, bólem skrzywionych, i niby chore dziecko zachęca:

— Pij, pij, gołąbeczku, to przecie herbata. Bardzo dobra herbata i cukru w niej du-użo, a ty lubisz — wiadomo.

Ani poznać człowieka, który jeszcze wczoraj, oszalały w poczuciu swej władzy, prawem krwi przelanej za — ciebie, roztargał ci dobro, w bezmyślnej złości po polach rozrzucił, w ciszę chat wiejskich z bagnietem się wdzierał...

I oto, nagle poraziła go kula niemiecka, a polskie serca wzięły w opiekę i jakże wzruszone każdym serdecznym wyrazem...

Inny tu człowiek. Gdy w śmiertelnej niemocy się chyli i szepce zsiniałymi ustami, że on dotąd nie znał Polaków, nie wiedział...



\* \* \*

Jak ów zabiegliwy rolnik, co przed wschodem się ocknie i, zanim pierwsze blaski zejda na ziemię, już sposobione dzwoni narzędzie, a wraz gdy jasność dnia spłynie, leżą martwym rzędem pokosy — tak żniwo śmierci, w stukocie karabinów, o mrokach świtu poczęte, już z pierwszym promieniem dnia zbudzonego niesie pilny swój zbiór.

Od pola bitwy, od krwawej strugi dudni wóz sanitarny, rźnie ostro, naprzelaj, po twardej grudzie podoryw, tu się zaprze, tam skoczy, wielkim głosem rozjęknie, znów kołami na wysokim zawrociu uderzy, aż konie przystaną, w niepokoju spojrzą za siebie i wraz targną na równą drożynę. Nagle żołdat je szarpnie przed „punktem“, z kozła spadną z łoskotem buciska.

— Ej! — połącz!

Skoczył żywo, z serdeczną ochotą, sanitariusz z polskiej „siódemki“, ciężkiej płachty odchylił i spojrzał w dymiące oparami krwi świeżej wnętrze.

— Raz, dwa, cztery, sześć, dziesięć... Hej — chłopcy!

Umiejętne, ostrożne ręce sięgają między zwalone, pojeżdżające kłęby ciał ludzkich i coraz to pyta się ktoś:

— Jak ciebie brać?

— Ja panie, w żywot.

— Mnie, w nogi od granata odprysło.

— Oj, boli, boli!...

— A ty?

— Pan! Dokończ ty mnie.

I na światło wysuwa się zwolna łachman obłocony, stężały, a w nim twarz ludzka sina, spalona, oślizła, a tem straszna, że krwi na niej ani śladu, tylko świeżo wymyte doczysta, dwa martwe oczodoły — patrzą.

Osunął się łachman na nosze, otulili go koldra wschodnią, jaskrawą, kwiatami dzikiej barwy znaczoną, ale aż ręce niosące z przerażenia zmartwiały, gdy zerwał się człowiek, zakołysał wielką żalością targany, rozpacznie głowę ogarnął:

— Za s z c z o o n m e n e s o ł n c e z a b r a u ? ...  
z a s z c z o — i dla rąk błędnych szukał oparcia i, jakby rozekłanym śpiewem ojczyzny, zawodził:

— Z a s z c z o , d o b r y l u d i ? ... Z a s z c z o ?

A jednostajnie, boleśnie, jak pogrzebowe wzywania, za nim i przed nim:

— H o s p o d i , B o ż e ... H o s p o d i , B o ż e ...  
P o m i ł u j !

Głucho w mroźnym powietrzu głos ginie, bez echa odchodzi, a tam z ponurego wozu osunął się na nosze człowiek krwią ociekły, podarty, usta szeroko otworzył, jakby się zbierał z ostatnim wysiłkiem, i nagle szarpnął za polskie serca swój, rodzimy ból:

— O Jezu !

I tak się zdawało, że wzniósł się górnym jękiem ponad wszystkie ludzkie cierpienia Polskiej Męki głos. Jeden w nim wyraz, rwący się z piersi rozbi-



tej, a tyle rozpacz, beznadziejnych żalów i tak wiele — przeszłości.

Bo nie masz pono kraju na świecie, od ziemi dalekiej, gorącej, po zimne skały północy, przepastne syberyjskie bory, gdzieby nie rozległ się ów jęk trwogi śmiertelnej... nie masz pono narodu, któryby tego krzyku żałości, zmagającego się z twardą bezlitosną dolą polskiego żołnierza, nie słyszał.

Od wieków po ziemi się wlecze, gdzie wojna, gdzie męka, bezsilne rozpaczne — o Jezu!

Ale widać, mało w niem jeszcze żałości, bo nie sięga wysoko, nie wymodliło niczego od twardej doli — niewoli.

\*  
\*      \*

Głębiej w dzień, głębiej w okopy śmierć sięga i głębiej zasuwały się ręce w ciemne wnętrza bud, krzyżemznaczonych. Gdzie na ośmiu w nich miejsce, po trzydziestu bywa, jak snopy, zwalonych w pośpiechu. Górą w kłębach ciała jęk się kotłuje, a spodem w martwej ciszy często już człowiek.

Gdy zaś dzień bladej wczesna, przedwieczorna szarość ogarnie, walka mocy przybiera: gęściej tłuka i warczą bojowe narzędzia, jakby pracy żal było dnia, który już schodzi.

Lecz śmierć zwawiej kładzie, niż zbieracz nadaży. Dudnią wozy w pośpiechu, cały ich szereg krętą koleją od płonącego horyzontu, przez martwe pola, a tu mdleją ręce z wysiłku i miejsca już braknie. Aż

przyszła chwila: gdzie kłaść, dokąd znosić? zaś wozy podeszły i kręgiem szerokim wielki jęk ludzki rozkołysał się — wzbiera, nisko nad ziemią, o twardą grudę się tłucze, to nagle się skłębi, gdy świeża fala podejdzie, pieśnią bólu uderzy. To znów jednostajny, żałobny, jak głosy dzwonów cerkiewnych, gdy z żalem ponurej, beznadziejnej modlitwy się zleją i płyną w dalekie bezkresy, gdzie już nikt ich nie słyszy.

Na jednych noszach dwóch wnieśli: ten z brzoza zgruchotane ma nogi, drugi w białych kłębach opatrunku głowę spowitą, tedy ból do bólu złożyli, obok nóg głowę, zaczęli spojrzeć po namiocie sanitariusz bezradny, bo to byli ostatni, dla których ledwo znalazło się miejsce. Do urzędnika, świecącego zdrowiem i złotym blaskiem zasługi, się zwrócił:

— A reszta?

— Poczekaj.

— Żle opatrzeni... na mrozie.

— To trudno... Jak komu sądzone...

I fatalista ręce rozłożył, chwilę pomyślał, spojrzawszy po zbitej gromadzie leżących, i do najbliższego z rannych się zbliżył:

— Ciebie jak zwać?

— Fiedotow Archip, Aleksieicz.

— Drużyna?

— Trzydziesta szósta.

— Rota?

— Trzecia.

— A raniomy ty — gdzie?



— Ot, palce... Cztery palce zniosło.

— Znaczy że lekko. Won, uchodi!

Dźwignął się ranny, spojrzał bolesnemi oczami, a tam już z drugim rozmowa:

— Ty kto?

— Omielniuk Tierentij, Siergiejew syn—drużyna...

— Raniony?

— W piersi.

— Nawylot?

— Nie-e, ale...

— Nu, pusta twoja rzecz... Wstań-ka!

Zachrząszczały zmarzłe gałgany i jakby ból w nim zaskrzypiał, a gdy z barłogu się podniósł, kurcz go chwycił za usta. Chwilę mocował się z nim, aż wezbrał z głębi skowytom:

— Wasze bła-rod... — i znów ścięły się szczęki.

— Nu, nu,—nieczewo klanczit'... Uchodi, gawariat. Na oniemiałego sanitariusza spojrzał zwysoka, z pobłażliwym uśmiechem.

— Ot i oczyściły się dwa miejsca dla pana, a tu jeszcze połowę można ich przebrać.

— Nie mogę... — głos w nim się złamał.

— Nu-u... serce rozkisiło... E-ech, P a l i a k i. Nigdy wy nie dobiejecie się swego; bardzo już miękki wy naród.

Lży, jak dwie skry płomieniste, w oczach młodych błysły, zacisnęły się ręce, lecz już tamten żył mu zdrowia dobrego, zawrócił, pozostawiając

bez rady, bez władzy, serdecznych uczuć ofiarę, na nocną pracę, w ponurym baraku.

Kędy, za drzwiami zbита gromada się tłoczy, zawodzi:

— Ej, pan! — miłyj, pusti.

A za chwilę już wyje, rozżarta:

— Ach ty — niechrist — parszywy Palak!

Zaś tobie, bracie, Polska się marzy, droga ojczyzna. Powiadasz, że ci ją odda — ich lud.

\* \* \*

A skoro świt, zjawia się tu doktor — urzędnik, spojrzy z jakimś krzywym, nieszczerym uśmiechem w stronę ślaniającego się sanitariusza i do „siostry“ radosnej, jak zorza wiosenna, się zwróci:

— K a k p o c z i w a l i, s i e s t r i c a ?

Potem spojrzy po zwałach żółtobrudnych gałganów i kołder zielono-kwiecistych, gdzie ciężkie opary krwi, potu, oddechów, ciepłemi smugami nawisły, w nocnej ciszy zastygłe, i pochodzi kolejną, odchyła szmaty krwią przepojone, szuka życia w człowieku.

I czeka, aż zamierające tętno pochwyci, czasem ledwo za niem myślą nadaży, niekiedy z uczuciem niemilem cofnie rękę od ciała zimnego.

Dwóch wtedy szybko podejdzie i nosze rażno podźwigna, spory kęs drogi poniosą, gdzie u strugi, zdeptana młoda choina, a stare matki świecą białemi ranami.



Tam złożą trupa i sprawnie zedrą z niego rządowe gałgany. Na nagiem, zmożonem ciele zostanie tylko krzyż duży miedziany na sznurku i, rana — co własne. Ktoś westchnie: E-ech — bratcy! — ktoś zaklnie i zepchną w dołek, z krawędzi, aż twarda ziemia odjęknie. Potem czapkę, jak zwyczaj, położą na oczy.

Zamarzłą grudą przyrzucą i — naści, cud-bohaterze — pochówek.

Dzień nowy wstaje; od pola, od krwawej strugi, wóz dudni, jęk konie pogan. Obowiązek śpi jeszcze; czuwa polskie marzenie.

„Marzenie ojców i dziadów“.

P A P U G A



Na jasnej linii horyzontu pustkowia podniósł się cień ludzki. Bliżej i bliżej, szerokim piaszczystym wydmuchem, kędy gdzie niegdzie kępiasty, zwichrzony jałowiec, na straży, a zrzadka sosny skarłale, gałęzistymi spodami strzegące nędzy żywota. Bliżej i bliżej — chłop idzie. W zrudziałej czapie baraniej, w odświeżonej kapocie, z której słońce już dawno kolor wymyślny wypilo, strojąc ją wzamian w barwy złotawe.

Na kosturze się wspierał, w sakwie niósł bochen chleba.

Chłop, jakich wielu po drogach, zaś ta jedna i to niezbyt rzadka osobliwość w nim była, że na nogę utykał, przetrąconą w kolanie, snadź ladajako zrośniętą, przed laty.

Ale szedł sporo, raz po raz czapkę poprawił, garścią po czole przesunął, jakby w myślach niósł troskę, i brnął w siwych kłębach piachu, wlokąc za sobą ciężkie nożyisko — przekleństwo życia.

Toć po Błonie, za Błonie, het, po sam Mszczonów, Nadarzyn, któż go bo nie znał, a każdy:

— Ho — ho!

— Co, niby?



— Ho, ho! Chłop-kuternoga od Boga znaczony. Wiadomo...

Zaś, w Żabiej woli, skąd z dworskich czworaków ród swój wywodził, człek stary a mądry — Michał Gaśta, tak o nim powiadał:

— Chłop szkódny, ale przecie boski znak na nim. Niby, jak ta wiecha u drogi, że tędy jechać niebardzo przepiecznie.

A kumy, wiedzące przymawiały — do słowa:

— Oj, nie ujadzie w niego, nie — nie. Tyla z niego uświadczy, co wilkiem zaorze.

Gdyby jednak kto spytał — co zrobił? dlaczego tak źle o nim myślano? — nikt zgola odpowiedziby nie znalazł, nie wiedział. Jak bywa, gdy krzywda głupstwa ludzkiego, czy złości do człowieka przystanie na zawsze, jak i cnota niektóra, bez początku i skutku.

Już-ci dziwne to było, a może i złego pojęcia przyczyna, że chłop nigdzie miejsca nie zasiedział na długo, nagle z obowiązku się zrywał, choćby mu najlepiej się działo, i precz stronami wędrował, innej doli — odmiany szukając. Ale, zła sława szła jego śladem, na wyprzódki biegła:

— A nie bywał tam, u was — Papuga?

Bo i takie dziwne przezwisko włókł wszędzie za sobą, jak swoją ułomność, chłop cichy, zająkliwy, niezdara...

— Pa... pa... ga... ga... ga...: — tak w sobie bełkotał zanim słowo wymówił.

Musi z tego i poszło przezwisko.

I, ono to pono-ć—przezvisko, najwięcej bolało, jak zawsze, gdy człowiek zgryzoty rozumem ogarnąć nie może.

Owym rozumem, co gdy ktoś dobrej wiary do niego się zwróci, zastanowi się zrazu, zaczem ręce rozłoży bezradnie:

— Cóż ja ci, bracie kochany, pomogę, kiej sam tego nie pojme.

\* \* \*

Aż ci już bardzo rozjedli się ludzie i poczęli ciąć kupą, jak owe robactwo, gdy dojrzy miejsce bolące.

I już mu życie było niemiłe, ale toć-by Pana Boga obraził i duszę wydał na męki. Tedy złe myśli odżegnał, oblekł kapotę odświętną, tę samą i wnet, jakby żalność z serca mu zeszła, gdy się przed ołtarzem rozciągnął, kędy Pan Jezus ździebko pochyłoną główką ku niemu spozierał, ani chybi, rozumiał, że chłop korzy się, czeka łaski zmiłowania, błaga głosu Pańskiego.

Ale wiadomo, nie taki tam znowu mowny Pan Jezus...

I, jak się należało, poczciwie, z ojcowskiego nazwania — Capiga, jak w tabeli pisało — Capiga.

Tedy nie dosłuchał się głosu, ale błoga spokojność nań zeszła, że już nie ma się na co oglądać, lecz z boskich darów jednym „palicom“ zaufać, a lichoby się zdało, żeby zaś dziesięcioro nie wyżywiły chłopca z drobiazgiem. Byle dalej od bliskich.



Zaczem i ruszył, i oto na drodze. Przed nocą się zebrał, noc przeszedł, a tu już słońce wysoko i pali. Całą moc wyssie z człowieka, chwilami aż mroczy i w głowie mać, zaś trzeba myśli zbierać do kupy — gdzie? poco? — aż sporzej kroku chłop podda, byle od ludzi, co mu takie cudackie wymyślili przewisko.

— Papuga!

I chłop splunie w kurzawę.

Ale myśl nie odleci; już zasiadła pod czapą i — swoje:

— I żebyś to, ciemny człowieku, choć wiedział, co znaczy takie wyzwisko? Możebyś się odgryźć potrafił, zasłonił, coś radził... A tak, ino cierpieć a cierpieć, jak od owego choróbska, co to ssie, dręczy, bez żadnego sposobu, bo ani wiadomo, w czym jego złość siedzi?

— Papuga!

Zaś litanją chłop pocznie, i tu znów myśli odmiana:

— Toć może i niegorszy ów naród, tylko mu głupstwo na zdradzie. Toć bliski, toć swój, jak ta ziemia, gdzie człowiek się rodził, a tu coraz dalej od łąk Żabiwolskich, co właśnie rozpachniały się teraz coraz dalej od strugi, od chłodnej dąbrowy...

Chwilę zastanowił się, ustał.

I dokąd-że idzie? Dokąd, od ziemi czarnej, dorodnej i gdzie go te szlaki piaszczyste zawiodą, kiedy bokami taka chuda ozima, a ówdzie blade żdźbła owsa, co ledwo z ziemi wyrzały ku słońcu, już omdlały z pragnienia.

— Spoli na nic... — spojrzysz Capiga po smutnych poletkach i westchnie, boć we krwi niepokój o losy każdego posiewu.

Lecz wnet żałość się ocknie:

— A niech-ta se spoli — niech ich wytraci... — i kroku przysporzy, bo oto las chłodny, rzeźwiący ciemnieje. Tam skiba chleba i jeszcze szmat drogi, zaś szczęśliwą może odmiana — obowiązek we dworze.

— Już się ta do roboty przyłoży Capiga... Nie powstydzi się — nie...

Zaś od zachodu wiaterek wilgny, ciepławy po- ciąga, falę pyłu pogania, wraz zakotłuje, w wielki lej skreśli i spodem poderwie, aże chłopem obróci.

Nie nowina — wiatr w oczy.

\*  
\*      \*

U dworskiego obejścia zamedytował się chwilę, jakby zbierał z siłami, bo zdrożony był bardzo, laź ledwo, a raz po raz, jakby ciemność mu na oczy schodziła. Toć idzie od świtu.

Siadł u przyrówka.

Zaczem, gdy raźniej odetchnął, spojrzął po sobie. Zwolna zezuł buciska, wytrząsnął. Brzegiem kapoty pył z nich otrzepał. Obficie w garść splunął i wytarł cholewy.

— Ano...

Zdjął czapę i włosy przygładził, że to przecie



dworsko służywał, korzystać pierwszego wrażenia rozumiał.

Ruszył żwawo w obejście.

— Doma pa... pa... pan dziedzic?

Parobek folwarczny spojrzał ku niemu senneimi oczami niechętnie, od czapy do bucisków wzrokiem przemierzył, snadź pomiarkował, że swój człowiek, bo już się bez odpowiedzi wzgardliwie odwrócił. Nagle, jakby coś wspomniał, jeszcze raz bystrzej w twarz jego spojrzał, zabłyśły mu oczy i gębę w szerokim uśmiechu otworzył.

— Papuga!

Jakże to się chłop w miejscu obrócił, jakby kto warem w oczy mu chlusnął, wnetki wyparł za bramę; już go piach siwo-płowym obłokiem otulił.

Zaś parobek rzechotał:

— Wej — wej — Kulos, Papuga. Kaj ześ tu załazł, kwaterunku se szukać? Ady — go, chłopoki, — — Papuga!

I w mig dziatwa ochocza wybieżała z przydrożnych czworaków, a widząc bezbronного człowieka, śmiesznie wlokącego bezsilną nogę za sobą, rozgorzała w radości:

— Ady go kulasa! — i żwawo sypnęły się za nim kamienie.

— Ady — go... Bukiet! Na tu — na, Cucka...

— Ha, ha, — ha, — uciko... Patrzta ino, jak to kulos uciko.

— Haż go, sam, — Bukiet, — ady go! haż, — haż!

Aż, gdzieś, na rozdrożu chłop zwinął się, padł;

do zmroku w słonecznej splekocie przeleżał, gdy zeszała nań rosa żywiąca i zbudziła myśl w bólu zakrzepłą.

Dźwignął się, powlókł, jak zwierzę, kiedy już niemoc chwili śmiertelnej nań zejdzie. Z siły ostatkiem wtedy się zbiera i pełźnie w zaciszne schronisko, jakby obawiając się ostać ludziom na oczach.

Szedł chwilę i osłabł, a gdy mąt oczy przysłonił, osunął się w kępę przydrożną. Otuliły go liście, tchnące chłodną świeżością, i tak mu się zdało, że ktoś w ręce pocziwe ujął jego głowę osłabłą.

— Naści, Capiga: namordowałeś się dość — tu se odpoczniesz. Wej, niedaleczko i krzyżyk nad toba, zaś wierzba głowiasta — chłopska drzewina. Tu ci folga się patrzy. Układź się, układź, Capiga.

\* \* \*

Nie zpróżna wiaterek od zachodu pociągał, jakby swej woli próbował; nocą sił przybrał, szerzej nieba ogarnął i przygnał chmurę świtaniem. Gdy zaś nad wioską szeroko zaległa, jakby jeszcze mrokami nasiąkła, zadumała się chwilę w cichości.

W cichości lud w niebo wzniosł oczy, w cichości zamarły listki omdlałe, i snadź zaważyła u Boga molidłtwa bez głosu.

Het, jak okiem doleci, zakurzyło się pole, ruszył deszcz falą, od południa śmigał, aż kipiało w przegonach.

Lubowała sobie ziemia w odmianie, i wraz ruszył lud sporzej, zakrzętał się w polu, pochyliły się ba-



by w redlinach, gospodarze wylegli na miedze, spoglądali po swoim, po cudzem, pogwarzając sobie:

— Napila się ziemia, dowoli napila.

I jakby tkliwszy zdawał się lud, gdy z duszy zesła mu troska. I jakby w nim myśli pocziwiej przybrało, a serca przyrosło.

Wnet, bez wezwania, gromadą się zeszli pod krzyż u drogi, — dziękować. Zaś, ledwo ku niebu się wzniosła pieśń Boża, wplótł się w nią głos obcy, — nie zdołał!... Tylko jękiem się rozległ, bolesną żalnością ugodził w pieśń szczęścia, — aż zmilkła, i ludzie po sobie spojrzeli.

Ten i ów śmielszy ruszył, skąd głos. Ano, chłop w kępie. Blady, zwichrzony, na łbie rana zapiekła.

— Zechłół się, musi.

— A juści... Zechłół się tam, kiej ledwo duch w nim kołacze. Dźwigaj go, ino!

Ale im wzbronil stary Matusiak.

— A ja woma powiadam: nie ruchajta go ludzie. Kiej dusza upodobała sobie to miejsce, niech se w spokoju z ciała ustąpi. Zaś, byśta ciało zabrali, a owo, — dusza ostanie?

— Pokutująca, ostanie.

I drugie, — prawil dalej kum Matysiaków, co na urzędzie służywał — i drugie: gdzieś sobie legł, tam ci umiraj. Na to jest prawo.

— Prawo — wiadomo, ale zawdy — dusza chrześcijańska. Trzaby do gminy odstawić.

— Odstawić? Trzaby na podwodę mieć papier. I zadumali się ludzie nad klębem mokrych gałga-

now, skąd krwią obroczone łeb chłopski nieufnemi spoglądał oczami, aż ci po dłuższej chwili ozwał się Pietrzak, co lubiał, żeby jego słowo było na wierzchu:

— Ano, to do wójta dać znać, — na to wychodzi.

— A jak pomrze, do czasu?

— Przez boskiej woli nie pomrze.

I na tem stanęło, i rozeszli się ludzie.

Zaś chłop poczał się dźwigać; do gminnej opieki zgola mu pilno nie było, wnet jednak zmiarkował, że nie poradzi, bo słabość nogi mu zgina, na zmarowanie chyli do ziemi.

Ale i chłopski, mdły żywot ma Pan Bóg w swej pieczy, i sprawiedliwie, że bez Jego woli nie dzieje się nic, ani śmierć się nie zjawi, ani ratunek.

Bez Jego woli, pan dobry drogą nie jechał, a choć konie rwały ostro w twardej kolei, w mig je zatrzymał i krzyknął:

— A skocz-no i zobacz, kto leży!

Chłop liberyjny prysnął z koziołka, podbiegł ku przydrożnym krzakom olszyny, wywlókl zwisającego mu w rękach nieszczęsnego Papugę.

— Pomarł, czy co?

— Dawaj go sam!

A gdy mocno potrząśnięty, na pańskie pytanie wyjąknął:

— Za robotą, ja — panie... Gorąc me zmorzył... Nie jadę... — i zachybotał się znowu ku ziemi — już-ci, że wola boska go na koziołek podniosła, i targnęły z miejsca dwa gniade.



Hej, jak to chłopu zdarzył się los!

Zdarzył się los, boć taki był dwór, skąd nie odchodził nikt, a gdy ojca Bóg zabrał, syn służył, bo o lepszej doli dla siebie nikt nie pomyślał. Zaś, cóż lepszego chłopu zdarzyć się może, gdy pan sprawiedliwy, a o dobro swoje niebardzo dbający, co mu i chojak nie krzywda i parę półkorczyków nie strata, i kartofli dla ludzkiego świniaka nie żal, a tobie bracie kochany, — pożytek.

Niechby rzemienia kawałek, niechby garść gwoździ, a przecie dobra we folwarku niemało — ze wszystkiego dla ciebie — ta okruszyna.

Tedy, jak familija, wspólne dobro mając na oku, zwał się do kupy lud boży, i dworscy ze chłopstwem, co wielkiem koliskiem u rzeki, u samych łąk pańskich, siedziało, kumali się radzi, zaś każdy parobek, gdy się nieco przy dworze osiedział, sięgać mógł śmiało po wiano gospodarskiej dziewczuchy.

Ale, obcy nie miał żadnego dostępu, bo jedno przy drugim, jako ten las, dwór od świata grodzili, nie żeby przez zazdrość, ale ku dobru pańskiemu, że to, pod te czasy, zawsze bezpieczniejszy swój człowiek.

A tu nagle, jak z deszczem, chłop obcy w obejściu. Nikt go na oczy nie widział, nie słyszał nikt o nim, a że szkodny, toć z oczu mu patrzy. I ani zrozumieć, skąd taka pańska ochota: zbierać chłopów po drodze, jakby swoich nie było zadość.

Zaś trzeba coś radzić, żeby się czasem nie osiedziały przydługo, zamedytował się, ano, lud boży.

Zaczem familija za ręce się wzięła i — huzia na chłopca.

Ale!

Bo nie taki był chłop, żeby tak zrazu go dojąc. Nie nowina mu była złość ludzka. Ani spojrzał w tę stronę, skąd złe słowo, czy postrach, ani, zdało się, widział, kto mu stoi na zdradzie.

I tak ci Święty Jan minął; nie ułapali nic z chłopca, ale mu jeszcze przysporzyli zasługi.

Włec uradzili odmianę i z dobrem słowem do niego:

Bo to widzita — Capiga...

Zaś wskórali — nic, bo się chłop zaciął, niby te drzwi od śpicherka, kędy już zdawna nie otwierał nikt, a człek stoi nad niemi bezradny, miarkuje, że ani sztuka, ani żadnym sposobem nie dojdzie do mety.

Aż odezwie się ktoś:

— Tu na siłęby trza.

— Ano...

\*  
\*      \*

Twardy był chłop, bo twardy, nie z dzisiejszych, co kruche. Toć pierwszy go zwał porządkowy Witkoski, nie ułomek zgoła, zaś familija nań wsiała — nie daj Boże nikomu, gdy w kupie chłop bije, ale oto miesiąc nie wyszedł — zdrowiuteńki chodził Capiga.

I, jakby na oko, nawet mniej żdziebko na nogę



upadał i jakby siebie pewniejszy, ale już ani dostępu do niego nie było, takie miał zachowanie u dworu.

Capiga — sam, Capiga — tu, jakby już nic przez Capigi. Ani nic zacząć, ani nic skończyć.

— Niedługo zaś tego... — powiadali inni, łaskę pańską znający.

Długo, niedługo, ale chłop, jak ten perz, niech ino ma folgę, rozrośnie się tak, zakorzeni, że i owe ziele, co pobok, wysuszy, ogłodzi.

Jakoż zakorzenił się chłop, na Mateusza babę sprowadził z dzieckami, z całym domowym porządkiem.

Co najlepszą izbę w czworakach im dali, krówsko na odrobek.

— Nie poradzim mu już... — i ten, i ów już się garnie ku niemu, już w kumy go proszą, hej, nawet dziewczki zęby suszą do chłopca. Już ekonom, karbowi dobrze się z nim liczą, a i rządcą potrochu — nie dziw, że i chłopu nareszcie jaśniej na świecie się zdało.

A baby, jak to baby, ku babie. Wnet się jeły użalać, każda ze swojej zgryzoty, a potem, powoli, gdy się lepiej zaznały, i jej żalom przyświadczać. Jako że nic gorszego, kiedy chłop nie osiedzi się we wsi, we swojej, tylko światami wędruje.

— Tyli stuk drogi, z Żabiej woli i tutaj... — powiedzta.

— A kobietę ostawił na łasce...

— Ślubna żona gdzieś, het, za lasami.

— Jużto najgorsze, kiej chłop wędrowaty. Zaś flaszeczka miętowej i — żalność nad dziećmi. — Biedne wy moje robocki, żebyśta ino już z nami ostały.

— W wasze ręce, matka Capiga.

— Pijta na zdrowie.

Zaczem łzy z miętą — otworzyły się serca.

— Moiśta drodzy...

— Dobrego.

— Tyli stuk drogi — powiedzta. Krzywda mu była, czy jak?

— Bo to, widzita...

— Ady — popijcie...

Aż ze splątanych żalnością wyrazów, co jak ten powoik łakowy wokół każdego żdźbła myśli się wiję, wśród zawodzeń, chlipania, padło słowo bolące...

Cichym szeptem w obejście pobiegło — niepojęte, złe słowo.

\* \* \*

A zanim późne zeszło świtanie, już słowo wszystkie czworaki obiegło, rozkołysało się w mocy, przy rannym udoju. I wraz z pełnej piersi ktoś huknął w podwórzu:

— Papuga!

Aż zachwiał się chłop — ugodziło w bolące.

— Ha, ha!

A gdy, o południu zawrzało, het, po kopce gra-



niczne, po lasy i lada dzieciak, bijąc się w krzyże  
piętami, pokrzykiwał radośnie:

— Papuga — papuga — papuga! — chłop że-  
gnał się z żoną.

— Ostań-że z Bogiem najkochańsza ty moja....  
Zaś trafi się służba... to już czekał nie będę i zara  
po ciebie...

Coś tam w nim zatargało, ale przecie twardy  
był chłop. Z czepiających się dzieciaków kapotę  
ogarnął, babie cisnął jeszcze słowo żałosne i po-  
szedł w szarą pluchę jesienną.

N U D Z I Ł S I Ę P A N...



Chwila zimowego przedświt. Dawno już pusta wielka sala hotelu. W sino-mrocznej przestrzeni opalowe, mgliste mary się snują, a jeszcze głębiej w ciepłych blaskach jedyny stół płonie. Za stołem, rozkołysani w migotach barw, kwiatów i nagich ramion, w rozwianiu piór białych, wstęg połyskliwe mieniących — „jaśniepan“ i jego towarzyszy, a z nimi dwie już z koloru otarte, nad ranem, bladozmięte śpiewaczki. Opodal czarny fagas z obleśnym uśmiechem i — nuda się błąka.

A z chwilą, gdy tylko pan usta otworzy, wnet mu ona oczy przysłania, blaski życia w nich gasi, leniwe myśli kołysze:

— Poco? Co z tego, kiedy to wszystko już było, a wreszcie — czy warto?... — zastyga w łaskawie wzgardliwym uśmiechu.

Lecz wzrok bystry nocą żerującego stworzenia bacznie ją śledzi i czeka, rychło-li z nudy oprzędu myśl zerwie szaleństwo.

Białe ręce już stos kwiecica poszarpały na strzępy. Wino w pełnych szklankach już zgasło, zrzadka słowo padnie bez życia.



Płomienne, złe oczy w twarz znużoną spojrzały.

— Ah — c'est pas rigolo tout ça...

Pan zwrócił się w stronę wzdychającej dziewczyny, rękę leniwie w kieszeń zasunął, cisnął na stół garść złota i ziewnął:

— Eh bien... Lettres, ou face?

Nagle wyteżył się łukiem grzbiet rudo-płowego zwierzątko i piersi do stołu przypadły.

— Face... mon chéri... — ledwie rozchyliły się wargi.

Końcami palców, zlekka, niedbale, jako rzecz używaną, niemila pan odsunął pieniądze.

— Tiens...

Z poza krwawych ust pyszne zęby rozbłysły, polerowanymi szponami chciwe złoto zgarnęła. Coś zaważyła w myślach, na mgnienie i, rozmigotaną w blasku kolorowych kamieni, ręką złoto nakryła.

— Pair ou impair?... Dis!

— Pair.

— Ah, non — par exemple... treize... En voilà — treize!

I pan złotem zapłacił i znów nuda zasnęła mu oczy, a tam, w drapieźnych żrenicach skry żółte rozprysły.

Chwila krótkiego oddechu — wysunęła dłoń białą, miękka...

— Pair...

— Va t'en... tu m'embête, s.

Bo nawet jedyna rozrywka — bezmyślne wydawanie pieniędzy, chwilami nuży już pana.

Toć z dalekich światów niedawno powrócił, szczerą dłońią polskiego magnata złoto rozrzucił, z pełnej czary pił życie kipiące łakomymi ustami, upajał się, szalał, aż przyszła raz chwila smutnego n a z a - jutrz, dzień po dniu w długie, nużące godziny urosła, kiedy to pocałunki chłód niosą, wino nieci myśli ponure, drażni słońce, śmiech, radość...

— Czegoż ty płaczesz? — do łzami zalanej dziewczyny zdziwiony się zwrócił.

— Ach — bo nie kochasz.

Nie kochasz... Ileż razy to słyszał, zbrzydl mu dźwięk tego wyrazu. Wzrok niechętnie od rozżalonych oczów odwrócił, błdził chwilę oczyma po mrocznej przestrzeni, jakby szukając dla zamierającej myśli ratunku, aż zawisnął na wielkiej szybie lustrzanej, gdzie już górą rozpełzał się szary blask zimowego poranku.

Niemila chwila: sypia pan źle, a dzień taki długi, taki długi dzień.

\*

\*

\*

A gdy szerzej świt spłynął przez szyby, padł bladością na barwy, zgasił w oczach blaski zachceń, kaprysów i w sercu znużonem rozetlił niepokój — na wielkiej przestrzeni dóbr pańskich, rodowych stu ludzi, sto koni stanęło do pracy.

Jakby o tem wiedzieli, że pan cisnął sąsieka żyta dziewczynie. Trza panu odrobić.

Ledwo świt zeszedł, już tam nagle poderwało się



życie. Rozkołysało falami, rozległo szeroko gwarem, porykiem, dźwiękliwemi głosami żrebaków wielkie dworskie obejście. Już jak ptak wolny, szczęśliwy śmiech krzepki dziewczuszy wzbil się i leciał, a gdzieś widno w samo serce uderzył, bo ktoś mu zdala, z pełnej piersi, radośnie odhuknął. Głos wpadł między ściany podwórza, tłukł się, kołatał, w drzwi okute śpichrza uderzył — ocknęła się pieśń, zawrotnie, krążyło, przez podwórze, opłotki, w smutne pola wybiegła.

Aż ludzka ochota, radość życia każdego stworzenia, jakby drgnie w rzeczy nieżywej — przejękliwie zaskrzypią studzienne żorawie, wóz fornalski jakby chwilę narzeka, na wybojach opiera, nagle ruszy z rażnym hurgotem po grudzie, a tam, w długim szeregu murowanych stodół, co bez ochyby, z pół wiorsty za dziedziniec wybiegły, precz zrzedzą, jakby ze snu złe jeszcze, ale i gościom rade — zawsze zgrzytliwe wierzeje.

Gdy się rozewrą, po sześciu chłopca w ciemnawe wnętrze się wszyje i sięgną w wyżarte sasiaki, szelstliwe snopy rozsują, uściela, zaczem u dygocących z porannego chłodka drelichowych nogawek pasów poprawią, potem cepy opatrzą i spluną w garście.

— Ano!...

Zrazu zlekka bijaki odwróca, złożą na zbożu i spojrzą bokiem po sobie, wnet z większą ochotą silniej uderzą. I już w górę cepy unieśli i rażno im spadły, a wraz mocno, a zgodnie, aż rozdźwiękło klepisko,

przez sasiaki pogoniły dwa głosy, z innemi się zwarły i wraz zagadały stodolne boiska, jakby ktoś pytał, odpowiadał w pośpiechu, uciekał, sam gonił.

I tak się wydaje, że lekko na duszy tym ludziom, że serce zawsze równo w nich bije. Myśl nie wybiega wysoko, poza skrawek bliskiej ziemi nie sięga, a jeśli wzrok górnio polecą, to w niebo, za słońcem, za kluczem żorawi, obłokiem, czy ku gwiazdom, w noc mroźną.

Lecz gdy bliżej spojrzeć w te twarze, troska z siwych oczów i kmiecia i najemnika wyziera:

— Dzień krótki!

— Krótki, krótki dzień.

Wraz żalem wezbrane westchnienie nad rozkołysanym łoskotem przeleci:

— Ha — nazywa się — trudno, kiej z boskiego wyroku.

I z jeszcze większą mocą cepy zadudnią, aż ziarno nad chłopca wypryśnie, jakby zmiłowania proszące, a człowiek w twardej pracy siły wyteża, choć już ze łbów znój kurzy.

— Hej, spora robota, kiej mrozek pogania.

— Boga-ć ta spora. Ledwo zmlóci pół korca, a w domu sześć gębów do miski.

Zasumuje się chłop, w trosce nieradnej, otrze czoło rękawem, a że stał z kraju, spojrzał w podwórze.

Od czworaków, od pola, naskos, przez podorywy, krasny wełniak miga. Nad głową, jakby w trwo-



dze, rozdygotane ręce, to chusty się czepia, to znowu, jak śmigi.

— Hej — cosik się stało!

Lecz nim należycie pomyślał, wpadła dziewczyna w podwórze, zakotłowała się ku oborze, ku stajni, aż w wielkiem wzruszeniu zadyszana przysiadła.

— Pon jadzie!

I w mig ścichło podwórze, wzniesione cepy spadły bez łoskotu, roboczy lud zamilkł, jak milknie ptak boży, gdy słońce świetliste ciemna chmura przysłoni.

Ani ktoś wiedział, dlaczego, bo przecie dobry był pan, nikomu nie uczynił żadnej przykrości, nawet nie spojrzał.

\*

\*

\*

Z głuchym turkotem dobrej, lekkiej więźby stałowej, w cztery węgry maściste, przedziwnie dobrane, wpadł w dworskie obejście myśliwski pana szaraban. Krąg szeroki zatoczył i przed tarasem białego pałacu, ani piędź dalej, ani piędź bliżej, konie się lekko na zadach przygięły i szerzej na nogach rozparły, dumnie potrząsając głowami.

Tejże chwili drzwi wielkie, wejściowe odemknęły się cicho i stanął przy nich człek stary, wygolony, w liberyjnym fraku francuskim, w pończochach, i znieruchomiał. Oczyma pchnął tylko ku pojazdowi barwnego, bufiastego chłopca.

Z brzękiem i piskiem, popychając się, kwicząc,

wyskoczyły na taras dziewczyny. Ani okiem w tę stronę stary sługa nie powiódł, zdumiał jeno chłopak i gębę mazurską szeroko otworzył; jako żyw takich gości nie widział.

— Kie lichó?

Lecz myśl bystra, przenikliwa z chłopska, wnet mu dała odpowiedź:

— Małpy warsiawskie.

I objął pana za nogi.

Wnet świergotliwe głosy wpadły do wielkiej jadalnej komnaty i — zmilkły, jakby strach na nie wionął, brutalnie krzykliwy śmiech zdusił.

Z głębi mrocznej, przyciemnionej jeszcze obiciem kordubańskiej skóry tłoczonoj, patrzyły ku nim surowe twarze polskich rycerzy, prababek w kryzach, robronach.

— Oh, sont-ils affreux les boyares?... — lecz mgnienie to trwało, otrząsnęły się gibkie dusze z wrażenia i już chciwe oczy pobiegły po wschodnich kobiercach, makatach, ławach miśternie rzezanych. Aż dotarły do wnęki głębokiej, kędy szafa służbowa, dzisiaj kredens nazwana, w czarne ramy objęta, rozparła się szeroko, od ścian do ścian, bogata złotem rostruchanów jarząca, kragłą bielą farfurów znaczone, pod stropem ciemnym, niebieskim, złocistymi gwiazdami usianym, skąd zwieszał się pajak z miedzi złoconej, zdobny w szkła migotliwe, barwiste.

I dalej, w głęboką amfiladę pokoiów łakome oczy się wpiły, szeptem zawiści zadrgały malowane usta:



— T'as de la chance, il est riche ton type.

— Et avec ça je te dis — une poire.

Zduszonym, drapieżnym skowytom obie parsknęły.

Pan zaś, w sieniach, z futrzanego płaszcza zwolniony, ramionami poruszył, jakby ziać nagły go przejął.

— Poco?

Do służącego się zwrócił:

— Śniadanie!

Człek stary nisko głowę pochylił, ruszył bez szmeru, jak cień.

Wrócił za chwilę, u wnętrza się zakrzętał i wielki stół mahoniowy, wsparty na czarnych lirach, zlekka pożółkłą holenderską bielizną, brzegami dzierganą, otulił, miękką ręką brał z tacy, ustawiał bez dźwięku starą porcelanę i srebra, rznięte szklanki herbowe. Zaczem spojrzał po stole, stanął za wielkiem krzesłem gotyckiem, człek stary, co jeszcze dziadowi pańskiemu służywał.

A gdy płonące oczy dzieci suteryny paryskiej już się nasyciły widokiem świetności magnackiego domu, mała Berthe ogarnęła pustota.

Szybko drobiąc stopami w czerwonych trzewikach, szeleszcząca, brzękliwa, do znudzonego pana podbiegła, zarzuciła mu białe ręce na szyję:

— Powiedz mi... powiedz... — i zastanowiła się chwilę, goniąc śmiejącymi oczyma po sali.

— Powiedz mi — do czego to jest tate duże... —

pieściła się, wskazując na jednym z portretów hetmańska buławę.

— Znak godności hetmańskiej.

— A czy to... Czy to było drogie?

— Tak — bardzo drogie... Było...

— No to — no to... — szeptała, gładząc go po twarzy usuwającej się, niesmakiem skrzywionej — no to ty mi takie podaruj...

— Nie mam nic takiego.

— No to... No to... ty swojej małej nie kochasz.

— Alle z!... — wspięła się na krzesło, przypadła żółtą głową do surowej, brodatej twarzy hetmańskiej, całowała ją głośno, mlaszcząc ustami:

— Ty, stary... Podaruj... Podaruj twojej małej Mimi.

\* \* \*

Krótko trwało śniadanie. Za ledwie trzy saskie farfurki stłukła rozbawiona Berthe, za ledwie jedna struga Burgunda pociekła przez dostojną biel, nigdy płamą nieskalanego obrusa, i jedną za ledwie w srebrze rzeźbioną łyżeczkę zdołała wsunąć za pończochę — „ulubienica publiczności“ — mała Durand, gdy pan ruszył z za stołu i z rozpaczliwym wyrazem do gości się zwrócił.

Wyszli w podwórze. Mocny czar śpiewnej pracy wionął na przesyty i nudę. Nie drgnęło w nich nic, dopiero gdy od obór, od stajen i stodoł ruszył lud gromadkami lekliwie i chylił się do kolan dziedzica,



drobne, nikłe światelko w myślach pana zabłysło, boć niema tak znużonego człowieka na świecie, co nieradby widział pokorę i wierne oddanie i — własną zasługę.

I biegły kołtuniaste, brzuchate dzieciaki gęsim sznurem z czworaków, lały baby zdyszane, ucie-rające nosy w podółki i z lubością a nabożeństwem przypadały do rączki bieluchnej, jak te kwiatki pachnącej, do rączki owej jasnej panienci — ani chybi, przyszłej dziedziczki.

Aż zamierały stare matki w podziw, patrząc załzawionymi oczami na piękność i radość i szczęście na ziemi.

W pewnem zaś, przepisaniem oddaleniu, za parstwem, szedł z niezmiennym, surowym wyrazem twarzy, nie dzielący ogólnej tkliwości człek stary, który wszystko już widział, niczem się nigdy nie wzruszał, niczemu nie dziwił.

A gdy weszli do stajni i z dźwięczną spiżową mocą uderzyły w nich głosy witalne księżniczek arabskich i lordów angielskich i tureckich hanów, gdy ozwali się wszyscy krwi zacnej dziedzice, pozdrawiający dostojnie, radośnie pana z dalekich światów — w zamierającej jego myśli nagle obudziło się życie. Pobiegły oczy z lubością po szeregu złoto-lśniących kadłubów, zatrzymały się, już z rozrzew-

nieniem, na dawno niewidzianym towarzyszu lat jeszcze chłopięcych — białym starcu arabskim, co na krótkiej uwieży łeb pyszny boczył, łyskając ku panu złoto-ciemnymi oczyma, a czarne chrapy zlekka mu drżały mową tajemną, serdeczną.

Nagle jakby ciepła fala wzruszenia wezbrała zapomnianą radością, i nagle jakby piersi przyrosło i mocnej ochoty w prężnych ramionach.

— Hej, który ze stada nie jeżdżony jeszcze?

A człowiek biały, stangret ślubny, ojcowy, pochylony do ziemi, roztrzęsiony rzewnością, że oto doczekał od lat niewidzianego już pana, śpieszy na chybotliwych nogach, w liberyjnej sukmanie się płacze, zapatrzone w jego oczy miłośnicie, a z dobrą nadzieją, jak tkliwy ojciec, gdy blasków powracającego zdrowia w spojrzeniu syna dopatrzy.

Głos zaś, zrazu, gdzieś w głębi piersi zapadłej kołtuję, nim jęklawie się wydrze:

— Wej — wej... wrony... żrebiec, wej gniada... klaczka za starą Zulejką... wej... — wej pleśniwy ogierek... a zaś...

— Dawaj wronego!

— Jaśnie panie... wywieść... na pokaz!

— Pod siodło!

Dziad bezzębne usta otworzył, zadrgał w nich język niemowny. Na kolana się schylił, objął nogi panowe dygocącemi rękoma.

— Jaśnie panie... Paniczku kochany... Zbój... ani dostępu... rwie ludzi... Dziecuchno jedyne... na śmierć?... — i chwycił powietrze zbiełkami ustami.



— Nie marudź... powiedziałem... — pod siodło!... — głos w panu się złamał.

We trzy, cztery pacierze rozmiotanego żrebca, potrząsającego łbem i ludźmi w poszarpanych sukmanach, zwiśłymi ciężko u krwawego pyska — na podwórze wywiedli.

Pan chwilę radosnymi oczyma go zmierzył, parę kroków podbiegł, wparł się w ziemię nogami i ciśnął na siodło, w mig zmacał strzemiona.

— Puszcząć!

Nim odskoczyli, wydarł się skokiem szalonym, jak myśl szybki, na zadzie obrócił, wspiał, chwilę zawążył i — zwałił na ziemię.

Potoczył się jeździec, zerwał na nogi... już dźwięgające się cielsko okraczył. Koń stanął, ogłupiał. Nagle łeb wydarł, w krętych skokach zatoczył, batem prażony wyparł za bramę, rozszalały, tętniący, czarny zły duch, a nad nim człowiek, blady, znużony.

Lud Boży się żegnał, gonił długo w pole oczami, a gdy wzrok już nie sięgnął, słuch zgiął, jakby pierścionkiem ulżyło:

— W ojca — nasz pan.

Zmierzch już się chylił, gdy wrócił. Krótkim zebranym klusem objechał podwórze, koniem w miejscu zawinał, stajennemu go oddał.

— Koń dobry. Wytrzeć sianem do sucha, opatrzyć, za godzinę napoić, a jutro rano przed pałac. Potem skinał na człeka, który wszystko już wi-

dział, niczemu się nigdy nie dziwił, i głową w stronę załęcznionych dziewczyn poruszył niedbale:

— Za bramę!

Na mgnienie wdzięcznym, ciepłym migotem zimne oczy starego rozbłysły. Z dwornym ukłonem do gości się zbliżył i — wskazał im drogę.



czuł, nieczuło się wtedy nie działał i głowa w śnie  
na zakłopotanych dziełach nie rozumiał niechata.

Na niebie widać było, że świat nie jest  
oczyszczony, że świat jest  
człowiek się zbliżył — wskazał im drogę

## POETA I ŻYCIE



Z małej sosenki żywne moce wiosenne zaledwie wytrysły zielonemi igłami. U jej wierzchołka jeszcze z wieczora, jakby pewny swej pracy, że jej świt nie zawstydzi, drobny turkusowy pajaczek zabiegliwie się krzątał. Ani zbadać co myśli, lecz widać, że coś sobie mądrze poczyną, bo, oto, gdy dwie, trzy gałązki szybkimi krokami przemierzył, przysiadł u szczytu, jakby zastanowił się chwilę, nagle cisnął się nadół i zawisł turkusowy kamuszek u wątlej z pozoru osnowy rozpoczętego przedziwa. I poruszył sobą, zlekka i mocniej, a gdy się rozbijał, a sięgnął najbliższej sosenki-sąsiady, wnet przybrał włókna i już sunął ku górze, u drugiego wierzchołka nitkę utwierdził. Poczem ruszył, nic przedać za sobą, aż do miejsca początku, tam most zwiewny nateżył. Opuścił się nieco, umocował przekątną. Wnet pionem przeciął figurę, linię sieczną zadzierzgnął w połowie, i drugą i trzecią, dziesiątą, promienisto do środka. Zaś sprawnie a chybkokoła, dokoła, aż przysiadł i spojrzał ośmioma oczami. Zdawałoby się, że twórczą radość przeżywa, jak rzadki ów człowiek, co buduje dzieła kunsztowne i piękne i mądre.



Zaś, gdy świtkiem zeszła rosa perlista na twórcze przedziwo i dygocąca zawisła, a słońce zapaliło blaski w każdej kropelce migotliwego przezrocza, drgał mały świat w każdej. Gdy zaś błękit ogarnął świetlane bezkresy, a rozgorzało płomieniem i pierwsza łza rosy spadła, rozprysła, turkusowy pajacek z ukrycia wychynał i zamarł. Nagle sunął po gibkiej budowli, jakby mocy wszystkich wiązań doświadczał, i posypały się krople, budząc z nocnego odrętwienia życie, u spodu, w trawach, we mchach. Oto już pnie się pracowicie po sosnowym pieniuszku biedronka, w szkarłatnej okrywie, czarno znaczone, oto zabiegały złote, tęczone, brunatne szczypawki, a srogi, wąsaty kozioróg głębiej zaszył się w trawy. Chybnęła jak płomień jaszczurka, i przesunął się wij...

Budzi się świat — cudny, mądry świat — rozsypany skarbiec przyrody, misternie rzezanych, świetnej barwy klejnotów. Żywe serca są w nich.

Świat wirujących pyłków, muszek, ledwo dla oka widzialnych bytów radosnych. Świat żuków ponurych, skorków z drapieżnym pozorem, choć obca im zbrodnia, i bożych krówek, krwi chciwych rabusiów, czarnych grabarzy, w których chłopska cierpliwa zaciętość i próżniaczych muzykusów koników, zjadliwie chciwych kusaków, grobowych omarlic.

A ponad roboczą i zbójecką rzeszą świta barwnych paziów, zalotników skrzydlatych się zwiја, w pogoni za miłośnicą, w szkarłatny odzianą, za

zwodną królewna. Hołdów pragnąca, gdy pożądana, szczęśliwa, to ucieka, to ściga, a gdy już znuży tych, którzy pragną, wraz do samej ziemi przypadnie, zmózone skrzydła opuści, w niepokoju drżące... Lecz żaden z godowników nie straci z nich pyłka, bo wnet wgóre się wzbije zwodnica, a za nią, to niżej, to wyżej przewijają się znowu barwne, wirujące płatki.

I oto, w owe czarowne światy niepojętej mądrości i wdzięku pewnego ranka człowiek się zjawił: spojrział zimnemi oczyma, nie zobaczył nic. Człowiek-poeta troskę niósł w duszy, pragnął pieśń stworzyć. Jak każdego roku, o wiosnie, gdy życie w drzewach rozpęknie, gdy świerki długimi pędami wystrzela, a do brzeziny, co jak młoda dziewczyna się preży w radosnej ochocie, chłopiec łakome usta przytula, słodki sok pije.

Lecz tylko w duszę swą patrzył poeta, bo w duszy, powiadał, przegląda się świat.

Wśród gęstwy traw gibkich, zacisznymi mchami podszytych, kędy na każdym źdźble coś się dzieje, coś tworzy: wspólny trud, walka, śmierć, czy poczęcie, twarde stopy człowieka już niosą trwogę i popłoch. Żwawo pobiegła po wiotkiej łodydze straż-mrówka i wnet, na usypku z igieł sosnowych, pod pniem murszejącym, grzybami porośłym, zabiegało życie w pośpiechu. — Tu, tam... — tu? — nie tu... a gdzie? — jakby pytania, jakby odpowiedzi, zamieniane co chwilę w trwożnej krzątaninie.

Pryskają polne koniki, pary kochanków, których



strach w różne, dalekie strony roznosi, a jednak, za chwilę, cudem przeczucia spotkają się znowu. I poczenie się znowu na własnych skrzydłach muzyka, i chwila miłosna: on ją gładzi różkami i do niej się tuli, a ona, jakby gniewna, poćwierkuje zcicha:

— Idź — idź...

Udaje, udaje. Wie dobrze, że dziś pożre kochanka.

Ciemny, włochaty trzmiel spłoszył idyllę. Ciagnie nisko nad ziemią i straszy grubem buczeniem. Przypadł do gniazda, obładowany słodyczą, niezdarnie we mchy się wciska, a niedługo, jak kula, znów wypadł we światy. I drugi i piąty, to górą, to dołem, a ciągle w pośpiechu — lud wielkiej pracy, małej zjadliwości i z rabunku nigdy nie żyje, jak owe zbożne pracownice, pszczołki. Zbierają skrzętnie i swoje i cudze, a gdy trzeba, co znaczy, że korzyść jest z tego — mordują.

Dalej znów para: zwiewna świtezianka modra zamarła w powietrzu. Zaledwie drgają cud koronki — skrzydełka. Jakby niepewny, a może motylim sposobem zwodzony, barwny gaszek waży się nad nią, i chwila — skrzydła padły na skrzydła... Het, w lazurowe wyże, już ich niesie radosne kochanie.

A poeta, błądzący w zagajach, w poszukiwaniu natchnienia, ani wie, ani widzi, co się dzieje wokoło, wzrok na pysznym, szkarłatnym kwiecie zatrzymał i szepnął:

— Jej usta...

Ale — której, nie wiedział, bo tylko do bezciele-

snych wizyj, w niespane noce przeżył wiatr ramionka, sen trwoniąc i zdrowie na takowej igraszce.

Ruszył dwa kroki, wetchnął łąk rozkwitłych wonie.

— Tak pachnie jej ciało...

We snach je tylko widywał i, jako żyw, nie znał zapachu.

A gdy ciepły wietrzyk przyleciał i cisnął mu w twarz błądy liść polnej róży, ustami go objął.

— Całujesz?

Nigdy nie całował go nikt.

I tak, w upojeniu trwający, nie widział, że z gromady kłębiących się ptaków, co spadła z brzeziny, odleciało ich dwoje i siadły na krzaku, osypanym blademi kwiatami. On, rozćwierkany, radosny, nastroszony, zuchwały, ona — cicha, uległa. Opuściła skrzydełka i tuląc się blisko gałązki:

— Pójdź — pójdź!...

Wraz chwila uniesień i dumne, szczęśliwe ćwierkanie, zaś cicha, uległa:

— Pójdź — pójdź!

Drżą jeszcze skrzydła miłosnem wzruszeniem.

— Pójdź — pójdź!

Zasłuchał się mgnienie, uśmiechnął się szczęściu i — pisał.

Przeogromaa roztocz ciemni

Już mi kirem przyoblekła

Twoich ramion wszystkie szaty,

Oczu twoich wszystkie piekła.

Już mrok zasnuł mi źrenice,

Zimna pustoszą...



Spojrzał w lazurowe przezrocza poeta, nad białą kartą zadumał, z czoła wzniosłe odgarnął nieposłuszne kędziory, w białe skronie wparł ręce.

Jak na uwieży, targa się myśl, zimny rozum na straży, lecz oto już wyzwolona, rozwija, niby wzo-rzysta, haftowana wstęgą. Biegną po niej płomie-niem wyrazy, splatają się, wiążą, aż dumne czoło wzniesie poeta i na świeżą kartę padają słowa barw-ne, rozmaite — rozsypane paciory:

Błądą mgłą się zasnuwa wszelki kanon stary:  
Wobec żądzы odblasku, gwiazdy — słońca gasną...  
Już nigdy, nigdy, odtąd spokojnie nie zasną,  
Którzy dzisiaj ujrzeli mych oczów pożary.

I dalej, ledwo pióro zdąży za myślą:

Tyś rozniecila we mnie krwi pożogę jasną,  
I taką moc mi dałaś w tym płomiennym szale,  
Że, choć zawsze na wszystko patrzyłem zuchwale,  
Musiałem czoło schylić — przed potęgą własną!

Szczerozłotą się barwą palą liście w krzewie,  
Roztopione w purpurze kwiaty wonne gencjan...  
Zakłète namiętności, co płonęły drzewie.

Pójdź! całować twe ciało pragnę, gryźć naprzemian,  
Z twych ust pełnych, czerwonych wziąć buntu zarzewie  
I taką spijać rozkosz...

— Jaką? — zasłuchał się w siebie poeta.

— Jaką? — niepokoić się począł i bezładnie za-wirowały w nim myśli, gdy nagle przyszło doń ży-

cie, pochyliło się nad nim, tchnąc ciepłym, jakby kwietnym oddechem.

Blade, znużone oczy wieszcz podniósł, zatrzymał je na włosach jak zboże, na śmiejących ustach, kędy białe zęby błyszczały, jakby radując się swojej urodzie.

— Cóż tu robisz, dziewczyno?

— Macierduszkę se zbirom... Pośpiwuję sobie.

Smutnie spojrzał poeta w jej oczy jasne, szczęśliwe.

— A o czym ty myślisz, dziewczyno?

— Co mi ta z tego — z myślenia. Wolę się oto kwiatuśkom radować.

Jakoś uśmiechnął się krzywo, wzgardliwie, zaczęm pośpiesznie zwinął papiery, wsunął je w teczkę i ruszył twardą stopą przez trawy, przez trud zabiegliwy, przez miłość, przez pieśń.

I ani wiedział, że przed chwilą niosło mu życie czarę, pełną po brzegi, cud natchnień serdecznych, w nieklamany uroku.

Wolałby rym do naprzemian...



cie. pochylilo się nad nim, i chmura ciepła, jakby  
zwinętym oddechem.

Blado, zwinione oczy, wiesz, podobnie, zwinęły  
się na wieszak jak chmura, na smutnych natchn.  
dy blado, zwinęły, jakby, radując się, swo-  
ją modlitwą.

— Odeś tu, rolniku, daję ci, daję ci, daję ci  
— Młotek, daję ci, daję ci, daję ci, daję ci, daję ci  
Smutnie spojrzeli, potem w jej oczy, iśmiot, iśmiot,  
iśmiot.

— A o czym ty myślisz, daję ci, daję ci, daję ci  
— Co mi ta z tego — z myślenia. Wolać się, o  
wielu, wielu, wielu, wielu, wielu, wielu, wielu, wielu.

Jakos, uśmiechnął się, krzywo, wagał, wagał, wagał, wagał,  
czem, postępnie, zwinął, daję ci, daję ci, daję ci, daję ci, daję ci,  
ke i, masy, twarde, stop, przez, trawy, przez, trawy,  
zabiegł, przez, przez, przez, przez, przez, przez, przez, przez.

I, ani, widać, że, przed, chłwą, niósł, mu, było,  
czem, pełne, po, przez, i, uśmiechnął, się, uśmiechnął, się,  
w, niekiedy, tym, do, naprzemiennie.

Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,

Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,

Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,

Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,  
Wolałby, tym, do, naprzemiennie,

## DROGA SZTUKI



Gdzieś na wyżynie, u chmur samych, w paryskiej  
klitce pracowni, co niby gniazdo uczeplona dachu,  
marła z głodu, i ziębła. Z kobiecą zawziętością,  
drwiąc z codziennej troski, brnęła przez życie, wi-  
dząc tylko w marzeniach, dopiero u jego kresów,  
trochę mniej głodu, wiele, wiele pracy, i tę nie-  
zmierną radość, jaką daje wiedza zdobyta, pracow-  
cie zbierana przez lata, pożądana przez życie, do  
końca. Tak zbiera skąpiec, co choć nigdy zadowo-  
lenia, że syty, że więcej nie pragnie, nie zaznał, śni  
tylko o szczęściu użycia, wciąż odpychanem przez  
niego, bo nie czas jeszcze, nie pora.

— Uczyć się, uczyć — szeptała dziewczyna —  
a potem, potem na starość, cel marzeń: — drogiej  
ziemi kawałek, słońce, las, woda, i taki mały obra-  
zek, w którym byłaby ta miłość serdeczna, to uko-  
chanie gorące, jakie człowiek ma w duszy, a zakłąć  
go w barwach nie umie.

Z kąta pracowni, zasnutego dymem, ponury, prze-  
rywany kaszlem, głos się odczuwał:

— Bo djabli wezmą uczucia, zanim człowiek  
sztukę zrozumie. Bułki, kredyt w sklepiku, komorne  
zmarnują ci w duszy, co dziś żyje, gra, śpiewa. Dziś



krwi radabyś z siebie utoczyć — malować, potem rozum ci powie, że ta farba czerwona także nie warta jest nic. A kochania te swoje zapagniesz wyrazić: gęba ci się szyderstwem wykrzywi, że uczucie chcesz z tuby wycisnąć, kiedy go niema na świecie, tylko wszystko na handel. Ziemia, powiadasz, ale niechno ci serce wystygnie, sprzedasz ziemię na morgi, drzewo na łokcie, targować się będziesz, żeby ci więcej dali za te twoje dęby Rodziewiczówny, czy zadumane smreki Tetmajera.

Z kąta się podniósł wielki, kudłaty. Odetchnął, i absyntem zionął.

— Uczuć, bez dobrobytu, niema na świecie. Kochanowski siedział pod lipą, pisał swoje kuplety, a gdyby go tak komornik z Czarnolasu na łeb wyrzucił, co myślisz?... Śpiewałby psalmy Dawidowe trochę inaczej, inaczejby z Panem Bogiem rozmawiał. Ale zimno w twojej komórcie; zasyp-no garstkę tych swoich trocin.

Dziewczyna powoli powstała, sięgnęła do szafki w ścianie ukrytej.

— Niema... Za... parę dni kupię...

— No, i kochajże ludzi, co śniadania żrą o tej porze, kochaj przyrodę, więc i ten wiatr, co ci za kołnierz się wdziera. *Bonne chance*, moje dziecko, ale ja nędzy nie lubię. Jak się oporządzisz trochę, to napisz...

Ku drzwiom się zwrócił, lecz zatrzymał chwilę, i obraz na stalugach sękatym kijem wskazał.

— Salon? Trzeba się śpieszyć, oprawić. Ponie-

działek, termin ostatni. Pejzażysko niezłe i w kolorze krzepkie, ale bez ram, i bez protekcji, tyle wartę właśnie, co puszka od herbaty — pusta... No, adieu ci, goła kapłanko, chłodnych wiatrów strzegąca.

Zawinał się w pelerynę i ruszył. Ręce ku niemu wysunęła dziewczyna.

— Co ja mam robić, radźcie. Obraz ten przyjąć musza, inaczej i tę nędzę — stypendjum odbiora, a ja tak chcę pracować, tak pragnę. Mówia, że mam pocucie, koloryt...

— Wszystko, oprócz gotówki. Cóż ja ci, biedo, mogę poradzić — ramionami poruszył. — Sam nie mam co trawić, a brak tego zajęcia nie uszlachetnia duszy... oj, nie... Obraz jest dobry, i mocny, ale — cóż ci poradzę?

— Jeżeli nie przyjmą, to tyle ofiar, głodu, ciężkiego głodu... Ja sobie życie odbiorę.

— Myśl byłaby niezła, reklamowa myśl, ale przy dobrobycie. Samobójstwo z nędzy — akademicka robota, sucha, pospolita. Jakież widoki na ramę? Ten stary z Batignolles miał podobno pożyczyć...

— Ma przyjść tu właśnie. Obiecał...

— No, a protekcja? Znasz pani kogo z jury?

— Nie, ja nikogo tu nie znam... Ja przecie już drugi tydzień tylko wodę — mówiła szybkim, przerywanym głosem — ja tylko wodę gorącą, z chlebem...

— No tak, do noweli to dobre, ale naszego brata, co liściami żył, póki nie uprzątnęli go do szpitala, ta-



ka nędza z wodą, ho, ho, gorącą i chlebem nie wzrusza... Kogóż pani zna w jury?

— Radzą mi do Leonisa, podobno wspiera młode talenty...

— Tak, młode, a zwłaszcza przystojne, i pani masz wszelkie warunki do tego poparcia, ale... — pochylił się do jej ucha i szepnął z gorącym oddechem:

— Ale to świństwo, to — niema koloru.

— Zdechnę...

— To wole, bo ma styl, tylko że, h é l a s, a po polsku, niestety, tak łatwo się nie zdycha. Człowiek, mimo całego łajdactwa na świecie, czemś żyje, czegoś się spodziewa i — męczy. A potem, kiedy ci wszystkie pragnienia ludzie wyszydzą, i sam spluniesz na nich, na siebie, znikczemnienie przyjdzie, już cię ono zatrzyma przy życiu. Hej, młoda jesteś, masz talent, Panu Bogu dziękuj, drwij z biedy, bliźniemu nie zawracaj głowy, i wierz mi, że się tak łatwo nie zdycha, moja ty biała. Nie każdego stać na to. Nie!...

Ręką włosów jej dotknął.

— Pyszna masz tę grzywę w kolorze... — i wyszedł, posuwając nogami,

Zabiegała dziewczyna po ciasnej pracowni, potracając stojące przy ścianach blejtramy.

— Życ chcę! I będę, muszę... — aż wyczerpana rzuciła się na leżący w kącie materac i, głośnym płaczem zaniosła.

\* \* \*

— Niechże pan siada.

— A tak... Właśnie... — sapał staruszek, rozglądając się, w poszukiwaniu krzesła, gdyż na malar skim zydelku usiąść się obawiał.

— Może na kuferku pan spocznie; bardzo wygodnie. Meble do trzepania zabrali.

— A tak, do trzepania, a na kuferku, bardzo, tego, — wygodnie, a jakże... — i usiadł zakłopotany na staroświeckim, w blachy okutym sepecie.

— C a y e s t... Tak, tego... Któryż to tedy obrazek, szanowna rodaczka... — chytremi oczkami po pracowni wodził.

— Ten właśnie, na stalugach.

— Aaaa, ten, — symbolik, widzę, tego, aa—a... P a s m a l ę a... P a s m a l, chociaż... No, tak... — odwrócił oczki od obrazu, i po ścianach błądził, aż znowu zagadał:

— Chociaż, jeżelibym radą, jako doświadczony, śmiał służyć, możeby lepiej coś innego. Rada z serca, życzliwa...

— Dlaczego? Koledzy bardzo to chwala, i pomysł, i wogóle...

— Tak, tak, koledzy i wogóle, p a r f a i t e m e n t, ale właśnie temacik troszeczkę s c a b r e u x, temacik przykry...

Zakaszłał się staruszek i, jakby zakłopotany, mówił:

— Zawsze, jak tam bywa, tak bywa, ale rodzina



święta rzecz... Tak! Tutaj na obrazku tymczasem żona, tego, od męża się wydziera, bo tam jakiś, *lâ chons le mot* — fajdak na fujarze gra. Nie wypada, panienko; temacik za mało, tego, jakby tu powiedzieć? *Voilà*: za mało dziewiczy, przytem ludzie dorośli, i tak, *sans gêne*, na powietrzu, jakby w kąpielce, a — nie wypada polskiej dziewczicy, nie...

Zlekka po ramieniu ją uderzył:

— O, jaka tłusciutka, malarski chlebek, he, he — pożywny, ale rodziny, świętych związków nie trzeba obrażać, nie trzeba, bo to gorszy, tego, maluczkich, a sztuka uszlachetnia ciemne masy, tłumy... Powinna, a jakże. Tak...

— Więc odmawia mi szanowny pan pomocy, a ja doprawdy nic innego nie mam — i w oczach dziewczyny łyły błysły. Ucieka ostatnia nadzieja.

— Odmawia mi pan?

— A... Nie odmawiam, niechże Bóg broni, chciałbym tylko kierunek, na kieruneczek, tego, pragnąłbym wpłynąć, żeby na przyszłość — tak — bo talencik jest, wcale, wcale, i kolorek, tylko że... Taka ramka, to ze dwieście franków, jak lodu, panie...

— Mówiono mi o pańskiej przychylności dla artystów, o jego zapomogach.

— I słusznie mówiono. Ostatnim groszem się zawsze podzielię, bo człowiek ma to głupie serce, na niedolę tkliwe. Tak... Ma serce.

Zastanowił się staruszek, westchnął:

— Ja obrazek kupię.

Spojrzał z uśmiechem w oczy dziewczyny.

Wzruszona, chyliła się mu do ramienia.

— Panie — całe życie... Nigdy, nigdy tego dobrodziejstwa nie zapomnę; gotowa jestem do wszelkich ustępstw.

— Niema ustępstw! Nie żądam. Płacę za ramię, i wchodzę w posiadanie obrazu, *c'est entendu*.

Radosne oczy dziewczyny zdziwienie rozwarło.

— I za tę cenę obraz przestaje być moją własnością?

— A, filutka — a oczywiście. Przecie płacę grosz ciężki, i daję możność wystawienia, drogę do sławy toruję... A, niewdzięczna!...

— Dwa lata pracy, tyle dni głodu, tyle dni nadziei! — głos jej drżał, łamał się... — Ja... jeść nie mam co! — płaczem jęknęła.

Staruszek zakrzętał się niespokojnie, dotykał wszystkich kieszeni, wreszcie chustkę wydobył.

— A, to niedobrze, to... to niehigienicznie, bo odżywiać się trzeba. Wy młodzi to tak: jak jest, to wydać, zmarnować, bez jutra się żyje, a jak niema, to zaraz pretensja do świata... Tak...

Poruszył się znowu, po kieszeniach szukał:

— Nie mam, oczywiście, że nie mam... *Ma is, voyons — c'est embêtant ça* — gniewał się już, patrząc na szlochającą dziewczynę.

— Eh bien?

— Zgadzam się, zgadzam.

— No i rozumnie, i chwała Bogu, bo przecież żądać pani nie możesz, żebym ja grosz trwoniał, rozrzu-



cał, tego, jak młokos, panie. Da Bóg, sprzeda się obrazek, to przecie nie bez tego, żeby tam piąty, dzieciąty, ludzki procencik, do kieszonki na szpileczki — a jakże. Nikt na świecie nie powie, żeby ten, co krwią własną, co piersią, panie, ojczyzny bronił, żeby ten kogo ukrzywdził. O nie, koszulę ostatnią — chcesz pani, i tę oddam.

Ramy przyniosą, słowo się rzekło, ale niechże rodaczka postara się, żeby tam w jury był ktoś, co by popierał, inaczej nie przyjmą.

— Leonis...

— Dobra, dobra myśl. Człowiek wpływowy. Aa, — filutka, umie koło interesów chodzić. Za rok, dwa, już figurą w saloniku będzie, zapomni się wtedy o starym, zapomni, ale cóż robić, kiedy niema wdzięczności na ziemi... Ileż centymetrów rameczka?

— Dwa metry na sto dwadzieścia.

— Gmach rama, gmach, ale mur — słowo, więc — będzie... I do widzenia.

Jeszcze raz oczami po ścianach rzucił.

— Szkicyku jakiego niema, drobiażdżku, bo to stary lubi obrazki. Coś słonecznego, wesołego...

Głową na małe płótno wskazał, oko przymrużył.

— V'là — coś właśnie dla mnie.

— To studjum...

— Niech będzie i studjum. Darowanemu koniowi, nie tego, a pamiątka zawsze...

Po obrazek sięgnął, zwinął go starannie, i wsunął w kieszeń paltota.

— Do widzenia. Au revoir, la belle des

belle s. O łapkę proszę. Mięciutka, niespracowana, he, he, a oczęta, ho, ho. Z taką rekomendacją do Leonisa nietrudno, a to znawca. Bon courage, moje dziecko... W czółko... Staremu to wolno...

Błade wargi wysunął, mlasnął dziewczynę w policzek.

— Ma foi — smak!

Drzwi ostrożnie otworzył, wysunął się chyłkiem.

I cisza w pracowni-komórce, wiatr tylko dzwoni szybą rozbity, a na maszynie imbryk piszczy żałośnie. Dziewczyna kruszy chleb suchy, leż na jedyną przyprawę nie zbraknie. Padają jedna po drugiej, wielkie i ciężkie, na skórki brunatne.

\* \* \*

Lokaj, przyodziały w stylu pierwszego cesarstwa, cicho drzwi jej otworzył, zmierzył wyniośle.

— Nie potrzebujemy modelu.

— Mam interes prywatny. Czy pan Leonis przyjmuje?

— Tak, pani.

Złotolitą brokatę odsunął, już całkiem inny, a w służbistym ukłonie drzwi do komnaty otworzył.

Przepych... Stara kaplica, blaski, witraże... Spojrzała po sobie dziewczyna, strach ją ogarnął, co będzie, bo przecie tu mieszkał ten, z którego i ona szydziła; marny tapicer, mdły portrecista, człowiek bez iskry talentu, episjer malarski. Stropił ją zbytek, cofnąć się, czasu nie było, bo we drzwiach rzeźby



gotyckiej zjawił się posiwiały pan, jak otoczenie wytworny.

— Czem mogę służyć? — miękkim, uczonym głosem zapytał.

Dziewczyna pochyliła się, bezwładnie opadła na fotel, wielkie oczy podniosła, usta jej drżały.

— Pani, widzę, wzruszona; nie chcę być natrętnym, ale...

Cofnęła się, a za chwilę lokaj srebrny, rzeźbiony pułapek z wodą przed nią postawił, i zniknął.

— Niezdara, bieda wygłodzona, słabizna... — szepotała do siebie.

Oprzytomniała jednak po chwili, i już nawet z uśmiechem zwróciła się do wchodzącego malarza.

— Pan mi wybaczy, ale...

— O, pani, żyjemy w wieku nerwowym, ja to rozumiem, sam podlegam chwilom słabości.

Siadł na wysokim stylowym fotelu, i patrzył chwilę na oszołomioną dziewczynę. Wybadał ją snadź dokładnie, bo pochylił się, rękę jej opuszczoną podniósł, spojrzał na nią, jak patrzy znawca na piękny odlew brązowy, zamknął ją w białych, wypieszczonych dłoniach, i spytał:

— Cóż panią do mnie sprowadza? — a uśmiechając się, dodał: — Kłopot jakiś malarski, czy tak?

Podniosła wdzięczne oczy na niego.

— Tak. Właśnie mam pracę ukończoną u siebie, włożyłam w nią wiele ofiar, nadziei, łez nawet — mówiła podniecona.

— Pani jest cudzoziemką?

— Tak. Polką jestem.

— Piękny, bohaterski to naród — dłoń swoją uchylił, na rękę jej spojrzał: — Rasowy...

— Zatem ma pani obraz? Proszę mówić spokojnie. Cóż on przedstawia?

Zawahała się chwilę, lecz zmogła w sobie nieśmiałość.

— Małżeństwo, symbol. Las, polana, bokami drzewa, między niemi pień chorobliwie skręcony, zmurzały, a z niego męska postać wyrasta — postać starca. Ręce, gałęzie stylizowane, obejmują jakby wydzierający się, a jednak z nim zrośnięty młody, silny pęd: kobieta — żona...

— Dobrze, świeże...

— Na dalszym planie znów drzewa. Jedno z nich to faun grający — wabi, obok gałęzie — najady, życie i radość. W głębi słońce.

Malarz rękę jej zwolnił, zamyślił się:

— Dobrze...

Po chwili powstał i mówił:

— Pień stary — kropka nad **i**. Młode czy stare małżeństwo, to zawsze klęska dla uczuć, częste udręczenie dla życia, to gwałt. Czy pani sądzi, że miłość i szczęście, to tylko młodości przywilej?

— Ja nie... Ja mogę coś przemałować, gdyby pan tak uważał.

— O nie!... Szanujmy pracę i szanujmy talent — bo jest w kompozycji. A to tylko moja, taka — po-  
uważa uwaga, poza kwestją urzędową przyjęcia, bo



wszak pani do mnie z prośbą o pomoc w tej sprawie. Czy tak?

Znowu wdzięczne oczy podniosła, spojrzała na jego piękną siwą głowę, przed pałacem spojrzeniem opuściła powieki.

On siedział obok i patrzył. Pan wytworny, ale zuchwały. Patrzył na nią, na młodą, świeżą, wytartą sukni nie widział, co krąse przeczuwaną słoni, wysnioną, rzadko piękną linię dziewiczego ciała, zdobyć dla sztuki — dzieło nieśmiertelne.

Ona czuła ten jego wzrok, wszak tylu miała kolegów, i każdy tak na nią patrzył łakomie, oczami rozbierał. Drwiła z nich wtedy, a dziś wobec tego obcego, starego człowieka, płonie i blednie... I czuje dziewczyna, że te oczy ogniste znów zatrzymały się na jej ramionach, już suną po piersiach, zuchwale obezwładniają, parzą nagie jej ciało, a od rąk jego białych i chłodnych żar jakiś idzie, już oddech zaparł, szyję ogarnął i do głowy się ciśnie, już w skroń uderzył...

— To z głodu, — myśli dziewczyna, i słabnie w błogiej niemocy.

Puk! — we drzwi.

— Śniadanie! — uroczyście objawia służący.

Stary pan powstał z fotelu.

— Nie odmówi mi pani... Malarska przekąska, pomówimy o sztuce.

Rękę jej podał, miękko ramię do siebie przygarmał, i — poszli bez szmeru po wysokim puszystym kobiercu. Światło, kwiaty, srebro i kryształ. Turbot

blady, liljowy, jak ciało, bażant strojny w pióra barwiste, wino, co niepokój usuwa i marzyć każe o szczęściu.

I śmiech już aż dzwoni w poważnej sali Henryka; stary malarz sam dzisiaj olśniony porywa, czaruje, a wśród blasków radości zjawia się w głowie dziewczyny myśl szara i smutna:

— Nie tak łatwo jest zdechnąć, moja ty biała. Nie każdego stać na to.

Ale na stole już Chianti, i upajające l a c r i m a e — jedyne łyżki słodkie na świecie, w misternych weneckich kieliszkach proszą o usta śmiejące... obok pan wytworny, wspaniały, miękka dłonią gładzi jej piękną głowę, jak stare złoto lśniąca, i niskim, pieściwym głosem upaja:

— Pyszne ma pani włosy w kolorze...

Coś, jakby w serce trąciło boleśnie i śmiechem spłoszone uciekło.



## TRZY LISTY PRABABKI



Ciocia Barbara, drobna, rasowa staruszka, prześliczna z tą białą, w nioby zaczesana głowa, na tle zblakłych heljotropowych pasów stylowego fotelu, poruszyła się niecierpliwie.

— Co, ciociu? — podniosła ku niej duże, smutne oczy, siedząca obok na niskich poduszkach blada, bezkrwista dziewczyna.

— Nic, dziecko... Nic... Czytaj dalej, ja słucham.

— „I wtedy przywarł do ust Enoe, i wgryzł się w blade, chłodne jej wargi, wzniecił w nich ogień-purpurę i — pił...”

„Pił z nich grzech — szczęście, otulony mgłą tonów liljowych ekstazy zapomnienia, pił rozkosz z darów prabóstwa, aż zadrżały usta płomienne szeptem nowej, nieznanej modlitwy, a rozelkany spazm bólu, radości...”

— Co, ciociu?

— Nic, dziecko, ja słucham...

— ... „po nich przeleciał, drgnął, zamarł w ciszy bezkresnej.

„Chwila, i Dolorski krwawy abażur uniósł z lampy przyćmionej, papierosa zapalił, spojrział w głąb



duszy, skąd pełził czarny, oślizgły czerw zgrzytu i syczał:

— „Ukradłeś Serskiemu kochankę...”

— Co, ciociu?

Sucha, drżąca ręka staruszki wysunęła się niecierpliwie, zamykając czytającej książkę.

— Nic, dziecko... Dziękuję ci... Może to jest i ładne, ale mózg stary... czy ja wiem wreszcie... Nie czytaj...

— Jeszcze do rozdziału, cioteczko, tam dalej cudowny nastrój taki... Dolorski pije krew Enoe...

— A niech sobie pije!... Niech mu idzie na zdrowie...

— Ale bo ciocia nie wie, że Enoe właśnie kocha Serskiego, i dla niego zdradza tego malarza, co to jego żona z Dolorskim...

— Bój się Boga, dziewczyno! — szepce przerażona staruszka, i chwije białą głową w niewymownej trosce.

Zbudziła się z zadumy ciocia Barbara, spojrzała smutnie po zastawionej staremi sprzętami komnacie, wzrok zatrzymała na porzuconej książce czerwonej, i z koronek chustki dobyła misternie rzeźbioną tabakierkę.

— Wieczko znowu zepsute. Teraz to wszystko psuje się tak prędko... Wszystko...

Westchnienie pochyliło jej głowę, a z ust biegły ciche wyrazy:

— Kara Boska... Nic innego tylko kara... Rozpusta, Sodoma, i książki o tem piszą, jad sącą...

A „Boża Czeladka“, „Złota Elżunia“, „Kollokacja“, „Garbaty“, a pani Klementyna, a Drużbacka serdeczna... śmieją się z tego dziś młodzi... „Wgryzł się w jej usta...” Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! Drobną, zaciśniętą dłonią uderzyła w piersi. Odwróć nieszczęście, Panie miłosierny...

— I skąd to zgorszenie tak nagle się wzięło?

Myśl staruszki pracuje i z dawnej dobrej przeszłości snuje wspomnienia, ukazuje obrazy blade, zatarte, tajemnie urocze, jak to, co żyje w starych portretach, gobelinach, mahoniach, i wdzięcznej ludzkiej pamięci zakłęte.

— Toć i ja byłam młoda i przez młodych kochana — duma ciocia Barbara — toć na trzecie pokolenie już patrzę, widziałam i złego i dobrego wiele, ale złego człowiek się wstydził, przed ludźmi ukrywał, a dziś błąd za cnotę uważa, sławy szuka w grzechów bezwstydzie.

Trzeba ratować dziewczynę, trzeba ratować, póki jad młodej duszy nie skazi ze szczętem, nie udreży serca — ale jakże od tego nieszczęścia uchronić? I chwije się biała głowa cioci Barbary, i pracuje mózg stary, w przeszłości szuka rady, pomocy.

— Jakto dawniej bywało, żebyż to ona wiedziała: jaki był skromny obyczaj, i myśl nieskażona, a zbożna, w sercu miłosierdzie, dusza wierząca. Dawniej, dawniej... A dzisiaj, Dolorski krew pije... Panno święta, módl się za nami!



I duma ciocia Barbara, marzy o tem, co było, aż nagle żwawo podrepcze, w cichych ciżemkach, do gdańskiej szafy starej, kluczykami zadzwoni.

Dawno się znają staruszki, nie mają dla siebie tajemnic. Gdańska mieszcza, jeszcze u jej prababki starościny służyła, młode łzy, dziewicze westchnienia cioci Barbary pamięta, a ona zna jej wszystkie najskrytsze tajniki, zna jej serce — szufladę, z kunsztownym conceptem, i tam też kryje swoje najdroższe uczucia. Uczucia zawsze jasne i świeże, w starych pamiątkach, zblakłych wstęgach, koronkach pajęczych, w zbutwiałych papierach, w starym złocie koronnem.

I sięga ciocia Barbara drżącymi rękoma do zatajonego serca gdańskiej mieszczanki, i dobywa z niego skarb — sepecik, perłową masą, kością, srebrem ozdobny, i drepce radośnie do starego druha fotelu, do słońca, pod okno.

— Czytałaś ty mnie, teraz ja tobie poczytam, kochanie... — śmieją się jej usta dziecięcą, przekorna radością.

Młoda krasa dawno z nich zbiegła ze łzami: toć widziało się wiele, przeboleło niejedno, a dziś, tyle życia, co wspomnień, i do nich to stare serce i oczy, usta się śmieją.

— Teraz ja tobie poczytam, kochanie...

Maleńki kluczyk w sepeciku zadzwonił, zbudził w pozytywce dawnego mazurka, co, jakby nieśmiało, zadźwięczał melodją. Melodją stworzoną podówczas, gdy z obcej służby, z dalekich krajów, na zie-

mię ojczystą wracały resztki świetnych legionów. Wracały ze śpiewem radosnej nadziei, dzwon żalobny je witał... Ciocia oczy zmrużyła i słucha, i płacze... Toć widziało się wiele, przeboleło i — przentańczyło niejedno...

Tabaczkę zażyła, jakoś żałość z duszy jej zbiegła, i jęła się pani Barbara listów, papierów, przenosiła je w rękach ostrożnie, z powagą, miłością, a jak relikwie święte żegnając, czegoś tam szuka.

Przesuwają się przez jej suche, rasowe ręce pergaminy stare, poźółkle, indygenaty, nadania z woskowemi pieczęciami na sznurach, i papiery zwykłe — dokumenty stare a trwałe. Tak trwałe, że jakby urągające szyderstwu nowych ludzi, co drwią tak zawistnie z nieodczutych przez własne serca pamiątek.

Przesuwają się z cichym szelestem zeschłe wiązanki, paczki listów, blademi wstążkami związane. Minjatura zabłysła, a tam stary, jakby pobladły klejnocik. Przesuwają się dawne miłości, szczęście i wiara, ale wszystko nie to, czego szuka staruszka... Wkońcu mały listów pakiecik, niebieską wstążką zamknięty, przed oczyma się zjawil, i drgnęły uśmiechem usta cioci Barbary.

— Starościna Dorota, a moja prababka — szepnęła z dumą staruszka. — Zaczna, pobożna była to pani, i jej listy dziewczynie przeczytam, a może wtedy ją te złe, grzeszne myśli odejdą — dajże to Boże! — ale... trzeba samej w czytanie się wprawić... Dał Pan Bóg słoneczko, toć się jakoś zmoże pisane.



I znowu kluczyk w misternym zameczku zadzwonił, i dawny mazurek pożegnał ciocię Barbarę. Zgrzytnęła gdańska zrzędna starucha, skryte serce otworzyła, utuliła sepecik srebrzysto perłowy.

Ciocia Barbara zsunęła z listów wstążkę wypełzłą i pracowicie czytania się jąła. Pismo wprawdzie wyraźne, litery wielkie, ale niezgrabne, atrament zaś wyblakł, a w załamach papieru znikł zupełnie; trudno też cioci, więc głową kręci, okularów poprawia, wzdycha a czyta:

Mnie wielce miłościwa podstolino dobrodziejo, a sercu memu najmilejsza pani siostró, Kunusiu ukochana!

Zawsze twoim zachceniom powolna, na pisanie z responsem śpiesząc, co mi zgoła nie idzie snadno, bo dłoń do kądzieli jeno, a różańców nawykła, dziękuję ci, ukochana, za twoje zaufane wyrazy, a smutki tak tkliwie wyrażone, że już moją stały się troską, ale pociecha, że i podpisanej siostry zgryzoty, w sercu zrozumienie, a w lubej twojej pamięci ukontentowanie znajdują.

A zgryzot owych pono więcej, a więcej, i tak wiele, że biedna, ukrzywdzona, w żałościwym momencie tęskne myśli ku przeszłości zwracam, kiedy to zgoła we wszystkim jakoś lepiej bywało, a co najważniejsze, że w białogłowskim stanie naszym, o dzisiejszej obyczajów lekkości, pustocie a Bożej obrazie i słychu nie było, jako, że każda jejmościanka czyli też godna matrona, strzegąc w bojaźni swojej

duży lejlowej, we wdzięcznej jeno melankolji, tkliwości serdecznej, a modlitwach trwała.

Inne dziś czasy, Kunusiu najmilejsza, aże serce krwią spływa, a oczy łzami zachodzą, gdy spojrzysz po dziewczkach dzisiejszych, co ledwo z paka wychynawszy, już-ci w obrazie Boskiej żywią, czas jeno na oczu zawracaniu trawiać. A dziewczka takowa, tyle tylko ma w pomyśleniu, jakby to wyżej letnika ukasać, a zalotnikom nieskromne widoki prezentować, jakby wabnem słówkiem gaszka przymanić, rozkosze hymenu obiecować anielskie, a potem już w małżeńskie alkwie krogulcze ukazać pazury. A pojrzyj jeno potem, pani siostró kochana, jako wnet idą bale, maskary, theatrum, kuligi, więc oczywiście i szaty bogate, bławaty, hatłasy, kofte-ry, precjoza cenne, wonne olejki, mydła weneckie, spikomardy, rumidła, wielorakie zamorskie, czyli zgoła djabelskie wymysły, miasto statku, starania o męża, roboty, bo owe już jejmość całkiem z serca pamięci wyjęła.

A potem już i rączki sekretne ściśnienie, trzewików deptanie, już i karteluszek wonny a słodki, za nim pultynek, gdzie manelki, zausznicze, zaś skryte pisemka, schadзки w gaiku, spacer po reducie, a pan mąż wtedy, jako tur srodze rogaty, głupią głowę, z szerci oblażł, skrobie, żałościwie jęczy:

„Kto piękna, bez cnót, wziął oblubienicę,  
„Dla cudzych wróbbi ten posiał pszenicę”.

Zaś owych wróbbi mnogość okrutna i na gładkość lasych, toć wiem i sama, bo mi się c a s u s niejedną



przydarzył, jeno, że zawsze obyczaj skromny, a cnoty umiłowanie od grzesznej konfidencji mię strzegły, czego i tobie, najmilejsza, życzę; wezwaniu zaś posłuszna, bez zatajenia szczerze, historję bolesnej przygody żywota mego, od przyszłego pisanja już poczną. Pomiarkujesz wtedy łączno, Kunusiu serdeczna, że za nic są twoje zgryzoty przy tak ciężkich życia mego opresjach, a osobliwie wtedy, gdy dzisiejsze pokolenie, błędami skalane, niegodnych szuka afektów i wizerunek młodości bezgrzesznej wazy sobie lekce, cale innego poszukując sensu.

Na intencję strapień twoich odwrócenia, dziś z kapelanem odpawię modlitwy, a w siostrzanych sentymentach najtkliwsza, z całuskami, pozdrowienie ci śle, Boskiej Opiece poleca, siostra twoja i służka powolna

Dorota.

Westchnęła ciocia Barbara, złożyła pismo starannie, potem niosąc szczyptę tabaczki, zamyśliła się chwilę:

— Tak, tak — i dawniej grzechy bywały, ale...  
Sięgnęła po list drugi staruszka.

Kunusiu, siostro ukochana!

Jak pomnisz pewno, przed naszym rozstaniem, to już dziewczuszką małą, o ślubach na chwałę Bożą marzyłam gorąco, do klasztoru miałam inklinacje szczerze. Ostały one i na później trwałe, ale je za protekcją Króla Imci, paż jego, potem kasztelanic, z myśli rugował, czem mię w srogiej aprehensji pograżył,

bo choć mi życie ozdobnem uczynił, toć nie był mocen, choć gładki i posesjonat, dać tego ukontentowania, jakie umiłowanie czystości doczesnej, na służbie Bożej sprawia. Toć miarkujesz, Kunusiu...

Po śmierci kasztelanica, bo tak Pan mię doświadczył, służby nikczemne znowu klasztorowi ofiarować miały zamysły, ale i tutaj niezwycezoną napotkałam przeszkodę, jako, że na pobożnej stanął mi drodze podczaszyc, i sam już starosta, choć i leciwy, przystojnego kształtu kawaler, i ten o rękę deklarował się moją. Bóg widno nie chciał służby mizernej, bo pan starosta o miłości pięknie tak prawił, jak jeno starszy potrafi, gdy już grzesznych praktyk poniecha.

Gołębiem mu też byłam, siostrzyczką rzewną, on mię zaś miłował, jako rozumiał, i toć go nie winię, że był cale anielskiej kompleksji, a melankolji zgoła nieziemskiej, w tkliwszym sentymencie. Zaszłym plotkom, poduszczeniom ludzkim wiary, ni ucha nie dawał, i folgę miałam od niego w aktach pobożnych, i każdej okazji zupełną, jeno później, dobrze już letni, poczał miłować zazdrośnie. I razu pewnego, gdy postrzegł Francuza Armanda, gdy ów, w czułych pieśniach perfekcjonując, na puzoniku mi wdzięcznie przygrywał — snadź nie pojął intencji, bo nagle zachorzał.

Litanję po dziś dzień odmawiam za niego, a wtedy oplakawszy go należycie, we wdowieńskich już szatach, dokonać żywota umyśliłam tam, dokąd wiodła jedna miłość serdeczna: w klasztornej zaciszu,



zdala od uciech światowych a grzesznych terminów.

Bóg nie chciał, bo w tych moich intencjach napotkałem impedyment znowu: chytry wąż, kusiciel, nieopatrzną w małżeńskie pęta usidlił, i po roku a niedzielach sześciu, stanęłam na ślubnym kobiercu, splakana, bojaźliwa, ze sromu niewieściego drżąca, obok dragonji porucznika — Imię pana Pukałły.

Oj pukał ci po mnie ów Pukałło, bo człek był nie-ludzki, na słabość białogłowską zgoła nieczuły, i złem słowem dokuczał, i harapem często. Krótko mówiąc, by ci serca nie ranić, Kunusiu najmilejsza, umyślił on sobie, że ów Włoszysko, dla pięknej gry skrzypcowej przeze mnie we dworze trzymany, pachół mizerny, tyle, że czarny, a w amorach zajadły okrutnie, na zdradzie mu stoi, że niby za mną ognistemi wodzi oczyma. Ano, Bóg dobry złego człeka pokarał, bo też mu się zmarło po jakowejś chorobie, co dziwnym trafunkiem, także przy tkliwej muzyce go zesła. Niechże nieziemskich instrumentów muzyki, dziś, w bezpieczeństwie słucha, i niechaj mu krzywdy moje na Sądzie liczone nie będą.

Gdy zachorował ów Pukałło sierdzysty, by długo nie cierpiał, wnet go pieczy medyków oddałam, a między nimi to, pomnę, był fizyk znamienity, a choć plugawy traktował proceder, rezolut wielki, i zgoła szlacheckiej fantazji kawaler. Jak się to okazało, i nieraz, bo i mnie, gdym z wdowieńskiej zasłabła żalości, kurował, za woli Bożej zrządzeniem, całę pomyślnie.

Włoszysko zaś, jeśliś wiedzieć ciekawa, tak się

ułał tej śmierci, że nawet prośby moje, jako w gospodarstwie, że dosyć ruchawy parobek, mógł być samotnej wdowie pomocny, za nic sobie ważył, jeno z tkliwości italskiego serca, manele moje perłowe, szmelmem napuszczane, dla ukontentowania pamięci zabrał, skrzypce ze smykiem, przyczynę nieszczęścia, ostawił, i w świat poszedł, na drogę ode mnie sto złotych czerwonych wymaniwszy.

Ostałam znowu, jako ten palec samotna, i — jał się wtedy szatan bezpiecznie biednej duszy mojej, złemi podszeptami kusił, tego, a owego wskazując, a temci łatwiej mu się zdało, że w lecach, na 45-ty mi szło, byłam w samej niewieściej urody kwitnieniu. Tedy krwie gorącej hamując zapaly, w srogiej drżałam trwodze, zali mi zły duch, w sobie zadufany, a mdłości grzesznej świadomy, wymyślnej ja-kiej nie podsunie okazji. Takowej okazji, Kunusiu naj-milsza, w której wąła białogłowa, aże pisać wstyd nie zdzierży, jeno jak ta synogarliczka, w ostrych szponach kobuza, zda się na łaskę okrutnego prze-śladowcy.

Tak tedy widzisz, Kunusiu, siostró kochana, w jakiej to byłam turbacji, a jednak dawny, dobry obyczaj, przyrodzona modestja uskromiły myśl płochą, a może i za dużo nieszczęść w życiu się zbiegło (co ci już z pisania mego wymiarkować nietrudno), aby coś grzeszne, chociażby i słodkie, w pomyśleniu się wkradło.

Z imię kapelanem dnia każdego pomocne praktyki na twoją odprawiamy intencją, przeto tak myślę, że



w losach pani siostry pomyślne zaszły odmiany, udręka zdradzonych sentymentów precz poszła, o czem wdzięcznych wiadomości czeka, boleściwem sercem oddana

D o r o t a.

Ciocia Barbara okulary przetała i — oczy. Rozwinięła list trzeci:

Jakoż i nieszczęście się stało, a wynikło za sprawą niezmierniej czułości mojej, bo oto, jak owa ptaszka potulna, osłabła w żałości, wyjąknęłam napół z płaczem obietnicę spotkania, w altanie, gdzie siostrzan mój, młode, grzechów nieświadome chłopię, oczekiwać miało. Opiekunką mu byłam tkliwą, ciotką miłą, zaś miarkując, że serce w chłopaku się budzi, ustrzec go chciałam, by w pazurach zalotnicy jakowej, w pierwszej swej krasie młodzieńczej, nie był umęczon.

I poszłam — a zdało mi się, że ziemia pod stopami gorze.

Zrazu czas na miłej nam schodził pogwarce, aż gdy miesiąc zaszedł za chmury, jako grzechy czarne, i skryła się lubej jasności opieka, ów z detonacji mojej widocznie skorzystał. Chytry, jako wąż zrazu po rękach pocałunkami się ślizgał, a potem zdrajca, bezbożnik ciemnością ośmielon, ciotkę srodze pohanił... Kunusiu najmilejsza — przy uchu pocałował gorącemi usty. Wtedy dopiero miesiąc-niecznota, z poza chmury wystąpił, i wtędym na spłonionej

twarzy owe krwawe piętno wstydu postrzegła, jako że lustro miałam szczęśliwie w puzderku.

Ten ci był grzech najsroższy, pani siostro miła: przywarł on i splamił bieluchną sukienkę żywota, a choć potem paniczowi dałam wstręt należyty, gdy fortelu szukał, aby modestją moją na szwanki wystawić, to jednak zawsze na owe wspomnienie lica mię palą, od czego tylko larendogra z serwatką pomocne r e m e d i u m.

Ale już ci Pan Bóg Swą łaskę skuteczną odwrócił ode mnie, a gdzież to mdłej białogłowie z mocą szatańską się mierzyć?

I snadź była potrzebną serdeczna ofiara, bo jakże to dalej się stało?

Owóż, gdy mię już pierwsza odeszła konfuzja, surową admonicję otrzymał. Aleć, gdy skrucę okazał, chadzaliśmy i nieraz letnią nocką po sadzie, gdzie szpaler grabowy wielkiej był piękności.

Tak przy chłopięciu utulona, na wdzięk przyrody zawsze czuła, z lubością widziałam jego perspektywę długą, a przy czulej konfidencji dotknięć tajemnych, trwałam w rozmarzeniu, zapatrzona jeno w blaski miesiąca, co słały się po listkach srebrzystych, jakby w słodkiem czekaniu zamarłych, jakby śniących o szczęściu, w niezmaconym spokoju.

W spokoju — niejako wdowie serce moje, co trzepotało się wtedy trwożliwie, zda się rade z pierśi wyskoczyć z wielkiej alteracji, a upałów nadmiernych, jakie tak poufna komitywa, przy blaskach miesiąca i pieniu słowiczków, obok kawalera i tak



foremnego, samotnej wdowie sprawiać musiała. Mój pazik, Hiacynt, bo takem sobie go już mile przezwala, temci okrutniejszą mi sprawiał dywersją, jako że o amarach piękną mową mógł prawić, w przekwinty, a misterne rzeczenia zdobną, przytem strzeliste słał mi wejrzenia i pod figurą wiele miłosnej obiecował słodczy. Ja zaś, jako obyczaj każe, buzię w ciup, a rączki w małdrzyk złożywszy, symulowałam małe w owych sprawach pojęcie, lecz słuchałam pilnie, popłakując, wzdychając rzewliwie a trwożnie, że już, już, owa minuta jasyru dla serca nadchodzi, której nie oddała, ani włosienica, pięć razy w tygodniu noszona, ni umartwienia, ni chłosta, bo tak jest zawzięta moc szatańskiej pokusy, a mizerną serca niewieściego słabość...

Jakoż się stało owego wieczora, w dzień Mamerta Biskupa.

Mgła wstała gęsta, od rana deszcz prószył, i nija-ko było wdzięczną odprawiać promenadę. Hiacynt w komnatce mojej wdowieńskiej się zjawił, niezwykle strojnie przybrany, aże luna biła od chłopca. Bo to i smukły a rosły, i w miarę czerniawy, łeb podgolony, was wgórze się jeży, a pod nim białe zębiska, a wokół malinowe usta się śmieją... Taka, pani siostró, pokusa!...

A kontusz na nim grodeturowy niebieski, pupkami sobolowemi podbity i żupan białopęłowy. Pas z armezynu, szeroki, rozłożysty, obok szerpentyna, na niej dłoń męska, wsparta do boku i kołpak z kity wysoką. Skłonił się dwornie, jak to on umiał, i z kom-

plimentem wymyślnym ku ręce mojej sunął. Dałam mu ją do ucałowania drżącą i snadź to uczuł niecnota, bo ustami do niej przywarł, jako trzmiel do miodu, łakomie, a mnie — aż zamróz za łopatki chycił, a potem gorącość nagła na jagody zbiegła.

Ledwom przyszła do się, a niewieścią detonacją otrząchnąwszy nieco, w pomiarkowaniu pojrzałam po sobie i rada, że i ja na ów dzień ważny, jak mi coś wewnątrznie mówiło, przyodziałam się całe przystojnie, a po wdowiemu skromnie.

Więc kontusik kuni z pasamonem srebrnym w kratę, przy nim binda, cudnie z tęgiego bławatu pleciona, zarękawki złotem weneckiem nitkowane, zaponki włoskie, także zawieszenie u szyi, a zawicie, z agażantem. Na nogach miałam trzewiczki maluchne, z kurdybanu szkarłatnego, kędy biała pończoszka, wabnie, niby słonko z poza chmury wyzierała brzękiem.

Stanął tedy śmiały panicz, odębiały nieco, że w krasie mię nie znał takowej, rychło się jednak odzyskał i przysiadł do mnie, a za rękę biorąc, nad pojęcie dwornie a słodko począł pieściwym głosem... Prawił rzewliwie, pokornie, to znowu zuchwale, a ku mnie ciągle się garnał, jakgdyby gorzał, tak oddechem palił. Chwila po chwili, już całkiem uczułam się słabą, powolną, jakoweś łaskotanie po ciele mi biegło, upał bił w skronie, jak na trwogę dzwonił, a ów ladaco głowę swą ku mnie chylił... a chylił... Aż nagle ciemność przed oczyma zaległa, poratunku wzywać już chciałem, ale coś w usta się



wżarło, siwe żrenice zabłyśły nade mną... jakby świat się osunął...

— Boże bądź miłościw mnie grzesznej! — jęknęła ciocia Barbara.

Żółłka karta papieru z rąk jej wypadła, i długo biała głowa staruszki chwiała się smutnie, na tle zblakłych pasów fotelu.



## DZIEŃ BEZ SŁOŃCA



Z poza udającego mahoń stolika, wśród pustki dziwnie bezdusznego gwaru i rzadka pryskających śmiechów, niosąc się nudą myśli, ponad gromadę rozkołysanych głów ludzkich, piór, wstążek, ozłoconych rąk białych, ust malowanych — widział tylko wielką szybę kawiarnianej altany, kędy biegły białe, puszyste puchy śniegowe, umierały w długich rozciekach, na blado-mętnej oślizłej przestrzeni. Człowiek to był nowy, lśniący i gładki, niby ów stół, platery i lustra wczoraj otworzonej kawiarni.

I myślał o łzach, co dziś po nim spłynęły. Po myśli, po sercu, jakgdyby po szkle. Spłynęły bez śladu, bez żalu, bo i jakże inaczej, skoro już taki odwieczny zjawisk porządek: dni czarów słonecznego zachwyty, chwila burzliwych uniesień i ciepły, kojący deszcz łez.

Właśnie mu dzisiaj życie przegrało tych upojęń — finale.

Przed chwilą, według programu.

A jednak...

I nagle płoszy się myśl wytracona z samolubnej, bezpiecznej kolei, na serdeczne bezdroża ucieka, gdzie żywe wspomnienie drżące, łzami ociekłe, już



szybkim cieniem ku myśli podbiegło. Z zimnym, szyderycznym rozumem się zмага.

A żal — przypadł do serca.

— Za co? Za co stała się krzywda?...

Wraz wysunęły się jej ręce, tkliwe, rozpieszczone dłońki, czepiające się z drapieżną rozpaczą jego ramion, nóg, kolan. Osuwały się słabe z człowieka, który odchodzi. I krzyk, co z poza drzwi się już przedarł przeraźliwy, ostry jak żgnięcie. A po nim, prawie niesłyszane, zaledwie przezcute, lecz niezapomnianym ciężarem spadłe na duszę echo bolesne, gdy nieprzytomna głowa w drętwej żalości o podłogę uderzy.

— Za co?

Niecierpliwie poruszył się człowiek, jakby chciał z siebie niemiłe wrażenie otrząsać; zbyt był rozumnym, zbyt męskim w rozwadze, aby sercu miał ufać.

Przemógł łatwo chwilę słabości. Jak dziś, o południu, gdy drzwi, za tem, co żyło radośnie, umarło — zamykał.

— Błogosławiony, który nie wraca...

— A jednak...

— Nic — jednak. Przeżyliśmy szczęście, jak przeżywa się kwiaty i dzień.

— I krzywdę i łzy?

— Jak radość i śmiech.

Rzekł sobie — dosyć! jakby myśl w sobie zacisnął i głowę odwrócił, kędy ulicą się wlekło życie zimne,

znużone, wlekło się bez śmiechu, bez barwy, szare, nieczułe życie Warszawy.

Zwolna pamięć woli posłuszna zamknęła w sobie zdarzenie. Coś tam jeszcze ostatnim wysiłkiem, rozpaczliwym wzywaniem szamotało się w niej — ścichło, przyległo pod słowem brutalnym.

Siekl drobny deszcz, wbijał w błoto, bez śladu, białych płatków krótkie żywoty.

\* \* \*

Nazywał się — Cierń. Jak nazywa się przydrożny, kolczasty krzak dziki, gdzie zły los wbija na mękę chrząszcze, motyle — ofiary. Wczesną wiosną, zaledwie pierwsze dni słoneczne rozbłysną, w białe drobne kwiaty się stroi. Cały krzak niemi osypany zwodzi lubym widokiem, lecz źle wtedy, gdy dusza wrażliwa tych kwiatów zapagnie, a ręce, w młodzińczym porywie tęsknoty, kierz ten drapieżny serdecznie ogarną. Krwią spłyną ręce, a serce zawiędzone jeszcze nie wierzy, aż dojrzą oczy ukwiecone ciernie.

I dziwno im, gdy już trzeźwo patrzą, że kwiat pospolity, tak mało w nim barwy i treści, a taki — bolesny.

Nazywał się — Cierń, człowiek był do tysiąca innych, przydrożnych podobny. Na ustach miał tkliwość wyrazu, w sercu krew tylko, a w duszy — wygodę. Z niemiłych myśli ocknął się szybko, jakby łzy strząsał z surduta, zanim weń wsiąkły. Oczy od



martwych smutków bladej szyby odwrócił i na szerokiej sali, drżące wszystkich uczuć rozgwarem, szukał myśli pogodnej, a z nią słońca — uśmiechu.

Nietrudno; dość gładki, dość płytki, miał tak zwane szczęście, żył tylko dla niego.

Ani wiedział, że uśmiech już czeka, lecz nie ten upragniony.

Tuż za stolikiem, przy ścianie, pod drzewkiem laurowem, człowieczyna mizerny wparł w niego oczy rozrzuwione, pijane, jasne oczy dziecięce. I jakby niemi się cieszył, a mrugał w jego stronę przyjaźnie, że oto za chwilę miłą niespodziankę mu sprawi.

Cierń wyczuł natrętne wpatrzenie, rzucił po nim zimnym, złym wzrokiem i raz jeszcze, po chwili, ale już niecierpliwie, a ów tem przyjaźniej do niego się zaśmiał oczami, i głową zwichrzoną raz po raz potrząsał: — nie szkodzi, nie szkodzi...

Ale nie wporę trzeźwemu panu zdały się żarty, ramionami poruszył wzgardliwie i spojrzał ku swemu okryciu, na służącego zadzwonił, a gdy ów podszedł, wtedy człowieczyna się dźwignął, na chybottliwych nogach ku niemu posunął.

— Właśnie... Wódeczkę dla mnie na ten marmurek... — i wskazał stolik przez Ciernia zajęty.

Zaczem głowę z przymiśleniem pochylił:

— Wszak z panem Cierniem — przyjemność?

— Tak panie... Ale właściwie...

Lecz już dłoń uczuł w chłodnym, wilgotnym uścisku.

\* — Brat — Helci Bukowskiej.

I zasiadł za stołem, jak człek zaufany, bliski i wonią gorącą trunków rozmaitych odetchnął.

— A Helcia zawsze o panu... i owszem. Z uznaniem... — głową poruszył i dodał po chwili, krzywiąc blade usta w uśmiechu:

— Z wdzięcznością i — owszem.

Cisnął się Cierń.

— Panie, ja żadnej Helci...

— Ach! — żadnej...

— Tak, panie, żadnej... — i zamarł, gdy człowieczyna zbladłe, zmętniałe oczy szeroko otworzył, a z nich rzewny, kobiecy smutek spłynął wspomnieniem na myśli Cierniowe, i teje chwili, z mętnego spojrzenia wyjrzały ku niemu jasne, cudne, niezapomniane jej oczy.

I nagle zaciążyła myśl, na czole, na powiekach zawisła, przysłoniła oczy, a do mózgu poczęli się tłoczyć jacyś ludzie dalecy, smutni jak niebo bez słońca. A z ludźmi ich słowa, z których każde, zda się, że płacze, że skarży na dolę i pełne żalości każde z nich śpiewa. A tam już ze wspomnień wyjrzały biedne chaty podlaskie, przez pół wrosłe w ziemię, i szare ubogie ugory i wody rozlewne, sad wiśniowy, noca...

Spojrzał w oczy pijane, trzeźwym żalem rozwarte. Szepnął z uśmiechem, jakby go kurcz schwycił za usta:

— Ja pana — właściwie... ja pana — przepraszam. Brat westchnął i napił się wódki.



— Nie szkodzi.

A dalej, z chaosu splątanych linii, po których myśl biegnie, doszukuje się formy, z plam barwnych, przechowanych w pamięci, zwolna wyłania się kształt, kolor i, już przed oczami dawnego dworu, z cegieł rumowiska, biały, krwawo otłuczony szczątek. Jakby smutną dolę chciał ukryć, wśród ciemnej zapadł zieleni, co z pni czarnych, zmurszałych wyrosła.

Z pod nawisłego kaptura zgasłymi oczami w stary ogród patrzy. A tuż jasną wstęgą radosna ścieżyna w lube, pamiętne zakątki ucieka... I druga naprzelaj ją ściga, w jar czarny, zwalisty, osunęła się nagle i szerzej wybiegła i goni, aż ku sobie się zeszyły.

— W jedną drogę, pani siostró, idziemy.

— A dokąd? Cierń, przed laty, jakby pytał przeznaczeń i poszedł jej szlakiem, siadł pod lasem jakby przeczucie go wiodło, i czekał.

Tam spotkał dziewczynę; z jej oczów tęsknotę wyczytał. A sam w kwiecie i pełni uroku...

Jakże dawno to było. Tak się zdawało.

Ale czar mocny wspomnienia pierwszego krwi młodej porywu. Zatłukło się serce Cierniowe, wybiegło tęsknotą, przez sady, w park stary, a myśli nagle rozbłysła: przejrzały się w niej, jak w zwierciadle, smutne, siwe oczy... usta — owoc i kwiat.

A pierwsze spotkanie, jakże je wyraźnie pamięta: w tajemnym ustroniu, pod mchami porośłą figurą boginki, gdzie z gęstwy bzów dzikich, kaliny, w skrętach węzowych powój się piał. Na gibkiej łodydze

wybiegł kwiatem czerwonym do kamiennych ust, i chwiał się nad nimi, jakby na coś się ważył, niepewny.

— Daj twoje... — Cierń szepnął, pochylił się do niej.

I czyn nierozważny wtedy popełnił: przedwczesnym pocałunkiem spłoszył dziewczynę. Z krzykiem wydarła się z rąk, a potem już jej nie zastał przy wieczerzy, w wielkiej izbie starego dworzyska, i nigdzie nie spotkał nazajutrz i długich dni wiele. Zaś ani śmiało pytać, bo dziwnie surowe miała pani matka oczy, wdowa po starym leśniku, na łasce.

I stało się lepiej, bo dziewczyna wróciła — dojrzała. W noc letnią, upałem dysząca, cisnęła mu przez okno pęk dzikich kwiatów, ubogich różyczek, a przy nich kartka i krzywe litery:

Ja nigdy nikogo jak pana... Usta mnie palą... Będę w sadzie o zmroku.

I coś tam jeszcze, a bodaj że nawet ma tę kartkę, zachowaną u siebie, w wielkiej kopercie pod napisem: różne.

Tak, tak, biała kartka z brzegiem złożonym, pewno z panieńskiego sztambucha wydarta.

A na niej, te drżące szeptem gorącym wyrazy. Lubo przeciągnął się Cierń. Słodką była noc. Rano szczęście na ustach, a w oczach jej łzy.

Co też się stało z dziewczyną? — ciekawe.

— Więc pan jest bratem panny Heleny? — z uprzejmym uśmiechem do towarzysza się zwró-



cił. — Tyle wspomnień z rodziną pańską mię łączy, z całą okolicą.

I patrzył z przyjaźnią w twarz bladą, opuchłą.

— Bardzo, bardzo przyjemnie... — i dwoma palcami za łokieć go ścisnął.

Skrzywił się brat, zapił jakieś niemiłe wrażenie.

— A cóż za przyjemność? Pan, człowiek znakomity, bogaty, a ja tylko — brat. Brat Helki, dla pana wystarcza?

I czekał.

— Wystarcza? — zapytuje ja pana?

— Ależ, oczywiście... Przecie ja z całą pańską rodziną... bardzo...

— No — z całą, nie z całą... Ale ja do pana—nie... bo postępane panie szanowny — pojmuję i wogóle konsekwentnie i, owszem.

Z zadowoleniem odetchnął, plótno dalej:

— I w każdym proszę ja pana zakresie, czy to przy frachtach, czy w magazynie zawsze — postępowo — Bukowski. I kon — se — kwentnie... Wystarczy?

Wypił, powtórzył, wparł tępe oczy gdzieś w przestrzeń, aż zbłądły, stężały jak zamarzła woda, w której już nie żyje nic.

Trwało przydługo.

Wzgardliwie uśmiechnął się Cierń, zlekka, palcem go tknął, chciał skończyć przygodę.

— Jeszcze wódeczki.

Ocknął się brat, drżącą ręką ociekający kieliszek przechylił, pół rozlał na ustach, i nagle spojrział przy-

tomnie złemi oczami w twarz Ciernia. I całkiem niespodziewanie, jakby go w piersi uderzył:

— Ale podła jednak jest dusza w pańskiej osobie, i owszem... — sam aż się zachwiał.

— Ach, tak... — Zlekka zakołysał niepokój myślą człowieka trzeźwego, jak bywa, gdy ktoś chyłkiem ucieka, a drugi położy mu rękę na ramieniu, mocno.

Lecz z panów był Cierń, opanował wnet chwile obawy, a gdy zimno groźnem spojrzeniem zwał się z nim krótko, myśl napastnicza już przyległa strwożona. Krwawe, łzy oczy wypełniły się łzami po brzegi.

— Ja panie — nic... Wyrwało się słowo, taki głupi żal, bo to... ciężki jej los... A stara, panie, a stara... jakby serce z niej darł.

I widział Cierń bardzo wyraźnie, jak od brzegu chorej bezzębnej powieki tych zmartwiałych oczów oderwała się pełna, wielka kropla i spadła ważko w ciemną strugę na stole.

Krótką chwilę w niej drżała, świetlista, aż ją krąpek mętny ogarnął i wchłonał. A tuż, zakapały krople jak deszcz i utknął głową bezwładną brat Helci Bukowskiej.

Zatargał nim Cierń, szmatą nędzną, wytartą, skąd rwało się łkanie, a w nim zrazu coś ścichło, jakby pękła nateżona moc, zabiegały usta:

— Co z nią, co się z nią stało? Gdzie jest?

Aż wsłuchał się w żal opowieści bezładnej i czekał aż padło z niej słowo, jakby człowiek słaby, skrzywi-



dzony nagle garść w ścieku zanurzył i cisnął mu w twarz.

Szybkie drzenie pobiegło od serca, już do gardła przypadło. Wraz, przed oczami w starym sadzie noc letnia, rozpaczliwie broniące ręce w jego piersi wparły, a na tchnących żarem, rozdygotanych ustach dziewczyny strasznych przeczuć krzyk:

— Nie, nie... Nie zabijaj!... Nie!

\* \* \*

Za stołem, zasłanym świeżą serwetą, przy czarnej kawie i kolorowym trunku, Cierń głowę osłabła w zaciśnięte ręce zasunął i słuchał, jak ze strzępów myśli pijanej, z ust śliną ociekłych snuła się dola jasnej jak słońce dziewczyny, ze starego dworzyśka — żółtej Helki z Chłodnej ulicy.

— Bo tak, panie łaskawy. Nocą uciekła, leciała za panem. W jednej kiece, jak stała. A tu codzień coś zjeść, za mieszkanie płacić, i z czego pytam ja pana, kiedy głupie niemrawe. Kwiatki w głowie i ptaszki... A tu panie miasto i bruk... I jeden i drugi w oczy już zajrzał, a trzeci pazurami, po mięso... Więc jest przecie kapitał, albo z mostu, na łeb, no i co z tego... więc co? Każdy przecie chce żyć... — I pił, trzeźwiał brat.

Z pijanych żalów, z pijanych porywów budziła się w nim zwolna zimna, przytomna nikczemność.

— A pan szanowny właściwie, jakby cokolwiek się struł. Ale z postępowego punktu... poglądu... to

właściwie cóż? Dziewczyna sama szła w ogień, i owszem...

Aż nagle zerwał się Cierń.

— Jedziemy do niej... Zaraz, w tej chwili! — i już ulga promieniem spłynęła na duszę.

Tak, wyrządził jej krzywdę, ale teraz... teraz zapłaci, sercem, pieniędzmi, czem zechce, i wróci jej szczęście. Jakże miło błąd okupić ofiarą, spełnić czyn sprawiedliwy, czyn ludzki... — radośnie poruszyła się myśl.

Nagle, jakby przysłoniły ją cienie. Co będzie, jeśli się do niego przywiąże dziewczyna? — przez długą chwilę zadumał się Cierń.

Może zmać jej spokój?...

Potem łzy, żale...

Zwolna w myśli rozpełzał się lęk, a człowiek się w sobie zamykał.

I jakoś ociągał się brat.

Brat... jej brat.

A za oknem siekł drobny deszcz, wbijał w błoto, bez śladu, białych płatków krótkie żywoty.

\* \* \*

Lecz bywa—przypadek. Ani go pojąć nazajutrz—dlaczego? On to przywiódł kochanka przed osłupiałe oczy dziewczyny.

Z piersi jej krzyk wypadł, z ust się zerwał bezsilny, zatoczył, padł w jęku:

— Nie — nie!



I już myśli porwał jej wir, skłębił w szybkim kołisku ludzi, barwy i rzeczy, i wody, i las. Nagle ustało w niej serce, a jakaś falista, rozkołysana moc poniosła ją w ciemność...

Nagle znów serce zatłukło, jakby nagle zbudzony cisnął się w niej ból. Oczy w ręce zaparła, i bliżej, bliżej, do drzwi... Już czarny korytarz i schody, i strach od nienawistnej ulicy. Więc szybko, jakby serdeczna grała ochota, wyżej na piętro, uderzyła w drzwi, i jeszcze wyżej przed siebie, byle dalej od niego, od wstydu, co nagle chciwym płomieniem ogarnął szalejącą, umęczoną jej myśl. Więc dalej, dalej, aż ciemne poddasze, okno brudem zasnutę.

Targnęły niem ręce, poniósł się młody, mocny krzyk, zerwał się nagle, jakby gdzieś zapadł.

Mgnienie, i zdołu odpowiedział jęk. Wraz zakotłował, jak wichher, gwar ludzki w podwórzu, we wszystkie okna uderzył, jakby własną mocą je rozwarł i poniósł się dalej, przez bramę, przez Chłodną ulicę:

— Żółta Helka... Ta z pod siódmego... Dzisiaj z okna się cisła.

— Szkoda... dziewczka była jeszcze niestara.

— Moja pani, i jakże to ona?... dlaczego?

— A któż to może rozumieć — dlaczego? Tak podleciało coś znagła, a może chleb letki już dojadł?

inny koloryt. Zyskał jeden urok więcej w oczach kobiecych: przeżył tragedję...

— Gdzieś, na Rivierze... córka księcia podobno... ze skał rodzinnego zamku... Enfin... peu banale ça... — tak sobie damy gwarzyły, na jakiejś czwartkowej herbacie.

— — — — —  
Zaś Cierń w kółku przyjaciół opowiedział zdarzenie. Bez przesady, bez wzruszeń, lecz dał mu nieco



## O KOSTCE NAPIERSKIM, OPOWIEŚĆ



Zwał się Kostka Napierski, choć pono inaczej mu było. Powiadali, że z królewskiej miłośnicy zrodzony, co i do wiary podobne, albo i zelgane, jako że, pod owe czasy, synów takowych liczono jak bobu, ale bywało, że inny rad, choć i bez prawa, grzech zepchnął na duszę matczyną, byle zażył honoru, jako bękart królewski. Jakoż i zażywał go nieraz, wyniesiony nad synów pocziwego rodu, gdzie skromny obyczaj ustrzegł skarb cnoty przed miłościwem spojrzeniem Króla Jmci, Jana Kazimierza.

I nie dziw, że niektórzy w grzechu poczęcia chwały sobie szukał, bo zgóry, od panów możnych, od królewskiego dworu, szło jawne zgorszenia *e x e m p l u m*. Jako żrebce, brykali pankowie, gustów miłosnych ukontentowania szukając, i z błędów wszetecznych gloriabantur, zaś płochosć opanowała niewiasty do tyła, że wdzięczna modestja utrapiona słabością płci białogłowskiej nazwana. Rzec dość, że sama królowa z podkanclerzem trwała w łaskawem porozumieniu, na szkodę małżonka, zaś urodziwa pani podkanclerzyna, pod Króla pana tkliwą opieką, tak samo. I wnet zły przykład, jako płomień, myśli panien dworskich ogarnął, cisnął zarzewie



w utajonych sentymentów wstydlivość, warem w młodą krew spływał, aż z wysokiego przykładu effectus takowy, że byle pazik, pokojowiec, dworski pacholek, bez pamięci na to, że co wolno wojewodzie, to nie przystoi młodzieży, niecnym się oddawał zabawom. Na maszkarę chadzał i, jako panowie, podstępna sztuką mdły białogłowski rozum zwodził tak długo, aż klejnot cnotki pozyskał, i w słodkiej ukochania wzajemności myśl trawiając, oczywiście oddanych sobie porządków zaniedbał. Z czego szkody rozliczne, matactwa, a lud i mieszczenie *victima*.

Naszła chwila jakiegoś miłosnego obłędu na Polskę, kiedy w rycerzu moc, trzeźwość niszczały. Niewieściom wpływom podległy, afekta, zabawę, strój ceniąc nad wszystko, żołnierskie rzemiosło wazył sobie za nic, bez obawy terminów, że wroga siła chciwych sąsiadów dźwiga się, sunie, aby zgnieść nienawistną Rzeczpospolitą, i właśnie tego momentu, gdy w złotogłowiach, bławatach, z kielichem w dłoni, legła ze słodkiej niemocy, w zalotników uścisku omdlała.

Już ruszył od stepów hetman kozacki, jako zwierzy chytry, a nad zwierza mściwy, już Moskwa słała kutych frantów, posłów zdradliwych, i grzmiało wojną od węgierskiej strony, a Szwed strzelbę rozmaitym sposobem, gdy ozwała się pycha rycerska, a do poskromienia kozackiej swawoli ochota, i niby na łowy, na gody, na krwawe wesele, dobywszy ze skarbów kosztownej zbroicy, w rysiach, sobolach, lam-

partach, z chmarą sług, wozów, z kosztownych strojów dobytkiem, purpurowo, buńczucznie, piórno, złościście, stanęli do boju panowie. Lecz gdy zadzwoniły cepy w pancerze srebrzyste, gdy kół chłopski, żelazem okuty, ze stałą hartowaną w Damaszku się zmierzył, aż prysła klinga złotopisana, zaczęły, gdy długie spisy kozackie sięgnęły w pańskie żywoty, po życie, a krwią spłynęły na bachmatach frendzle, wstyd panów-szlachtę ogarnął, że chłopstwu dają pole rycerskie — i pierzchli, wstyd ostawiwszy na pastwę.

Aż zebrali się znowu, sam król in persona hetmana wystąpił, buławę jał, i powiódł barwne hufce, złotem kwieciste, szumiące.

— Pod Sokalem pomścimy Piławce, i traktat Zborowski... — powiadał. Trzaskali w szable panowie, jako zawsze przed bitwą.

Ale wstyd pognał w zawód za nimi, i minął, i wszędzie ich witał, i drwił, o zwycięstwie prawil, o łupach, aż okrył taką sromotą blachy złociste, miecze, szkarłaty i — serca rycerskie, że szmer grozy i sądu poszedł od ludu. I ci biedacy, polskiej żyznej ziemi pracownicy, niosący trudu swego ofiarę, z taką pokorą, że sporzej im w słońce bez zmrużenia porzeć, niż w twarz jasnego pana, bez trwogi, ci, szarzy jak ziemia, zdeptani, nagle głowy podnieśli, w świetne blaski wojska szlacheckiego, zuchwale:

— Co robita, psie juchy? Polskę chceta zagubić?

Okopali się panowie w obozie, rozstawili beczki z winem na krzyżach, i zwykle swary poczęli, a pod-



czas gdy w kraju zwątpienie i żal, niby rdza, na umysły padły, zjawił się w Krakowskim Podhalu imć Kostka Napierski.

Skąd przyszedł i poco, nie wiadano zrazu, ale wnet się okazał, i myśli a serca pozyskał, bo choć twarzy niemiłej, i ze szwedzka, czarno się nosił, z ladajaką szablina, mowny był chwata, a takiej rzewności w każdym o chłopskiej doli rzeczeniu, że już nikt go nie pytał co zacz, i zali posesjonat, czy chudy pacholek. Człek pocziwy, i dość — a że krwi dobrej, to widać na oko, niema co w duszę zazierać.

Dwie niedziele nie uszły, w Nowym Targu wszyscy go znali, a od Bieszczad po San, od Sanu po Śląsk, bodaj człeka nie było, coby o nim nie słyszał. Dobrze to i źle, bo musiał się strzec, czyli kto mu nie stoi na zdradzie, jako że wielkie sprawy poczynął, ale szczęśliwie, bo miał już i kompanów na życie, na śmierć. Sawka, jako kozica ścigły, sołtys nowotarski, co harnego sara za rogi brał, i z nim się mocował, dwaj rodzeni Dudrasy, Michał i Jan, od których nikt jeszcze słowa nie słyszał, taka była w nich noc, Dziubek ze starego Dunajca, co wtedy tylko się śmiał, gdy z nożem na człowieka szedł, i inni, co przedniejsi, już za nim kupą, a czekali co z tego, a patrzyli, jak wiosną kmieć patrzy we chmury: rychło li jasność w nich błysnie? I dziwno było ludziskom, skąd w człeku cherlawym moc taka, że każde serce ku sobie pociągnie: zbój, co z turni wychynał, posłucha co prawić, wnet przylgnie do niego jak zwierz poskromiony, człek pocziwy także się gar-

nie, rady, pomocy w złej przygodzie szuka, zaś pojrzy Kostka na dziecko — już ręce wyciąga, idzie bez trwogi. A matki?... Oj Kostka, Kostka! niejednoś ty serce zagubił, niejedną troskę kochania na całe życie ostawił, bez wiedzy, bez woli. A wolne dziewczuchy? Hej, miły Boże, jakbyś im żaru w zanadrza zasypał — ale nic, Kostka inne miał w głowie zamysły. Nie do pustoty mu było, gdy już duszne pragnienie wolności z przygnębienia obudził, gdy ucisk rwać począł, a czekał chwili sposobnej, aż ciśnie iskrę na prochy i buchnie krzywda ludzka, jako grom w panów bezprawia uderzy, pomści, wyzwoli.

Już naokół coś szumiało, coś szło. I tyny raz wraz, to dalej, to bliżej. Tam stado porwali, ówdzie ludzi wysiekli, a kto? Niewiadomo. Trzaby się Kostki zapytać, jeślić żywot niemiły. Z Multan, Wołoszy, od Węgrów, co dnia zjawiali się ludzie, i kuso odziani, i w moskiewskich kapotach, i zawojach pstrych, a każdy coś prawi o ziemi, o woli, a choć nie do wiary, to inszemu chudzinie i posłuchać miło, jak pościć.

Zaś Kostka nad nimi, we wszelkim respekcie, rośnie w siłę i władzę, a choć zesechł i szerniał, jasnym płomieniem mu oczy gorzały, jakgdyby ogień wewnątrz mu trawił. Bo i pewno, że tak.

Aż nagle, i zrazu, przygasły mu gwiazdne zrenice, niezdrowa siność ogarnęła jagody, a zmora-zaduma siadła na czole. Naszło Kostkę nieszczęsne kochanie i — zmogło.

Długo z własnem sercem Kostka się brał. Myślał w niem miłość pogłębić, bo mądrze rozumiał, że jak



w bajce, jak we śnie, tako i w życiu jawi się słodki sentyment: smutną myśl tęczą ogarnie, kwiatami ciernie uściele, ale zdradliwie mózg, serce, jak węzowem objęciem otoczy, aż wyssie w uścisku moc człowieczą i męstwo rycerskie. Bo nie ostoi się pancerz hartowny białym, pięściwym dłoniom kochanki, niesporo łube piersi dziewicze do chłodnego tulić żelaza.

Ale też była nielada dziewczucha — Czubaszówna Hanka. Z ojca Rocha, dawniejszych kupców przedniego męża, a w zachowaniu wielce, a należnym respekcie, trwającego pobożnie.

Handel korzenny, z dziada, miał w Nowotarskim rynku, podle kościoła, a że owdowiał, luba Hanusia fundamentem mu była wszelakiego porządku, zabiegliwa, ochotna, w ojcowem oku żrenicą.

A już gładka nad podziw, że to i rosła, w miarę opiekła, nic przyjać, nic ujać, bo i nóżki maluchne, i rączki jakby tylko perły nizały, a sploty barwy takowej, jaką ma koń-turczyn, jasno cisawy, gdy mu na każdej sierstce złota iskra siedzie. Warkocz nosiła kolistą, a pod nim brwi ciemne łukiem się zbiegły: nad dwiema gwiazdami sklepienia.

Nie wypowiedzieć, jakie były to oczy, bo podczas dziwnie świetliste, podziwem szeroko rozwarte, wilgotna w nich rzeźwość, jaka aniołowi dana, a podczas ciemne, ponure, jakby dziewczka złe miała w duszy, a w myślach każdego grzechu świadomość. Przez co powiadali, że i z anioła, i z biesa wzięła uródę, a choć zalotników nie brakło, żaden się jednak

na małżeństwo nie ważył, gdy Hanka tak czarno na niego pojrzała. Strach takiej jejmości, dziwożony w domu.

Może właśnie dla takowej przyczyny upodobał sobie Kostka dziewczuchę, bo człek był zuchwały, a dziś, gdy już serca czepiło się mocno kochanie, począł rozważać, od jedyne go szczęścia na ziemi jak od złej słabości się bronił. Lecz gdy pomiarkował, że tej władzy, jaką ma nad nim dziewczyna, nie zdzierży, i ani mu walczyć bez niej, ani dla poczętej walki umierać, uległ błogiej niemocy, bo któż szczęściu wróg? — ojca za kolana uściśnął, a czule przyjęty, jejmościance miał deklarować sentyment.

Gdy zaś przed nią już stanął — oj! cudna dziewczucha — z wielkiej tłumionej tkliwości moc płomienego słowa omdlała na ustach, i tylko do nóg jej przypadł, i jęknął w żalości:

— Nie żyć mi, Hanka, bez ciebie!...

— Ostaw mię, waćpan, boś mi niemiły. — Tak mu odrzekła.

Główkę pochyliła w krosna, i coś tam dzierzgać poczęła, z takim udaniem, jakby już kawalera w izbie nie było.

Cisnął się we drzwi, i biegł oszalały, ale że wielkiej był mocy nad sobą, opamiętał się w mig, tylko kaftan darł w strzępy, za piersi się chwycił, jakby chciał ból stamtąd wytargnać, gdy zaś żywego ciała pazurami sięgnął i we krwi ubroczył, zaśmiał się Kostka. Rękę głębiej w zanadrze zasunął. Myślał, że ból jego spłynie ze krwią, jak u słabych ze łzami.



Ale nie taki był człek. Każde uczucie miał do siły, w miarę, a że radości w życiu nie zaznał, żal go się jął, z mocą serdecznej uciechy, za dwoje i targał ciałem zmożonem, noc, dzień, aż siebie umęczył i zdreptał jak rana, gdy w niej srogie cierpienie już uczucie przegryzie.

Otrząsnął się Kostka Napierski, jasność w myślach mu błysła:

— Ból zmiłowanie. Ukrzepił mnie w siłach... — i skrzyknął górali.

— Idziemy na szlachtę! Bić! Palić!

— Do piekła, panoczku!

— Na śmierć albo po wolność!

— Nie chybić.

I porwał ich z sobą. Nocą dobyli zamku Czorsztyna, rankiem już się Kostka starostą ogłosił; nie czuł, nie wiedział, że obrażona duma w nim gra, a ten zapał, ta moc, ciskająca go w walkę przed czasem — nieszczęsne kochanie, co mać jasną, chłodną rozwałę.

I słał już, jako personat, starosta czorsztynski, uniwersał do ludu w królewskim imieniu. A pisał w te słowa, że Jego Królewska Mość, pan nasz dobrotliwy, w opuszczeniu od szlachty, a pod grozą rokoszu srogą troską pogrzebion, do wiernych odwołuje się chłopków, aby zbrojną ręką, jak w czyjej mocy, z pomocą mu szli, a przed pułkownikiem królewskim, w Czorsztynie, mają się kupić, jako że do regimentowania i wszelkiej władzy uprawnion. Zaś w nagrodę zdawna trwałej wierności, a wicherzycieli poka-

rania gwoli, J. K. Mość, w łasce swej niezmierny, wszystkie ziemie szlacheckie, jako własność wieczystą, chłopkom do sprawiedliwego podziału nadać, przyczem niewzbronnie obrócenie wszelkiego dobra pańskiego na własną korzyść, wedle woli potrzebnej, i to jeszcze, że gdyby w obronie substancji opór czyniono, rebeljantów nie żywić.

A podpisano:

Z woli Królewskiej, Starosta czorsztynski,  
Aleksander Kostka Napierski.

Człek sprawny do takowego uniwersału przysposobił pieczęć królewską, a zaufany pacholek, z rycerską odzianą, ruszył samotrzeć, przez województwo krakowskie, i od wsi do wsi, od chaty do chaty niósł słowa miłosciwe, królewskie.

Kostka skrzesał iskrę na prochy.

— A teraz do ciebie, słodka dziewczko moja! — i przyoblekł starosta na żupan lazurowy, srebrnymi dziany, półpancerzyk lekki, w złote ornamenta zdobny, nadział czapkę sobolą, trzasnął w szablę na rapciach, srebrem szmelcowanych, i poszedł dumny, wyniosły, prawie zuchwały, jako należy starości, gdy z łaską schodzi do mieszczki.

Jasność biła od niego, próżność niewieścią rozumiał, na ustach miał płomień i wielkie w sercu kochanie. Czegoż więcej potrzeba?

Pół koronki nie uszło, nieszczęsny Kostka już wrócił. Siadł na zydelku i płakał...

Nie! Uwidziało się pewno, bo gdy głowę uniósł, śmiał się okrutnie, aż mu łzy biegły. I z tej uciechy



widno, taka mu przyszła ochota, że szablę oparł kapturem o ścianę, brzeszczot mocno w garść ujął i na ostrze się cisnął, aż plusła krew czarna na lazur bławatny.

Ale!! Nie taka ci mdła śmierć, mości Kostko, sądzona.

Jak nawałnica przez góry, szedł w województwo uniwersał królewski. Dokąd jeszcze nie sięgnął, już wiedzieli, że idzie, bo lud parł falą i grzmiał, a za nim kłębow dymu złowroga chmura, ogniem łyskająca.

Kostka znał lud, znał jego nienawiść do szlachty, i króla ukochanie, znał miłość dla ziemi, i nad wszystkie uczucia, niczem nieposkromioną żądzę rabunku.

A już też serca górali ucieszył. Toć każdy z nich zbój, odda życie za sławę i niestraszne mu kołem łamanie, targające kleszcze, a kluby. Z piszczałką idzie na śmierć, i umiera harnie.

Zebrali się też pierwsi i ruszyli chmarą, a z nimi lud. Cichy, uległy, praw pozbawiony człowieczych, dziś śpiwny, bo idzie po wolę i ziemię; groźny, bo po zdobycz i pomstę.

— Hej, dobry panoczek; sprawiedliwy król!

Wraz trwoga padła na możnych: podstarości grodzcy uderzyli w bębny, księża ozwali się z ambon, do króla w obozie i szlachty biegli trwożni gońce, a co było wojska, niewiele, skupiono w oddziały.

Tysiąc dragonji, armaty, piechota, Czorsztyn obległy.

Bronił się Kostka ze skalnego gniazda, a że go jadła serdeczna zgryzota, za nic życie sobie ważył, i śmiał się w oczy wrogom zuchwale. Gdy zaś ci z armat grzmieli, a pryskały kule o twardych głazów niewzruszoną opokę, wojsku urągał, a swoich krzepił, że próżni pankowie konnicą chcą zdobyć tego skalnego ostrogu, „kiedy ledwie orlice pióra donaszały“.

Darli się żołnierze na głazy — polewał ich warem, smołę na nich toczył, ważył ciężkie bale, gdzie gęściej nalegli, a drwił, że miazgę djabłom na pierogi sporządza, i precz obleżenie raził, urągliwem słowem ducha ujmując, a i z długich arkabuzów bardzo skutecznie.

Ale czy wydoła Kostka? bo lud, ogniem się zabawiając, niepośpiesznie ciągnie, a podhalnym kupom, co blisko, niesporo z osøkami, widłami na harmaty uderzyć, bez wodza.

Tak przetrwał dzień, i rad, bo siła napsuł dragonji, dla siebie bez szkody, lecz nocą dawny ból jął go za serce.

— Oj, Hanuś, Hanuś! wždy ci jestem niemiły?

I Bogu Kostka bluźnił, że nikczemną postać mu dał, urody odmówił i znowu do Hanki i, już ani snu. ani myśli, jeno ta rzewność, co najmocniejszego zmoże.

A nie był już Kostka ten dawny a silny, tylko uciśk a lud w pomyśleniu i sercu mający.



I nawet świtanie, gdy ozwały się pierwsze armaty, nie pierzchła bolesna zaduma, aż:

— Mości starosto! Bramy dobyli i pałą! — huknął we drzwi góral czarny od prochu.

Jak zacny koń, uderzeniem skrzywdzony, zachnął się wódz, wnet Hanka z myśli mu uszła. Wnet za nim ciżba górali runęła w podsienia i już u bramy się zwarli.

Nie kunsztom wojskowym się mierzyć z rozpaczą.

Wżarci w gęstwą dragońskich pałaszy, młynem puścili maczugi, i już furknęły palice zbójeckie, okute. Inny porze widłami, ten krótkim nożem błyska, jako myśl szybkim, inny balik skądś wydarty, w tłok zbity zasunął, potężnie pierściami go naparł, aż zwarty kłęb ludzi odwalił, a wtedy dopiero, jakby sobie przypomniał, że ma łeb zasiekany na nic, padł martwy na zwały.

Gdy tak od bramy umietli, a miejsca przyrosło do boju, chybko skoczą po skalnych zrębach górale, a snadniej im walczyć każdemu z osobna, bo tam pałką dosięgnie, ówdzie nogą uderzy, albo i pięścią nadlew, i już śmierć dragonowi, bo nim nadół się stoczy, żywota pozbędzie. Drugiego i tknąć nawet nie potrzeba, sam leci; to krzyżem się odbije od skały, to głową przystuknie — poprawi, aż pędu nabierze, gdy już mu szwank żaden nie grozi. Aż dziwno.

— Hej, gruszki spałe wam trzęsę, zbierajcie ciury, jagłami karmione! — Kostka ryczy z uciechy, ani czuje, że mu ze łba krew płuży, ale któż tam mógł

ostać bez szkody na zdrowiu, kto wiedział, gdzie go dosięgło, póki oczy nie zaszyły, ręka nie zwiśla, albo tchu nie zabrakło?

Wymietli skały doczysta, w Kostkę duch wstąpił, już na basztach przewodzi. Sam jedyną śmigownicę rychtuje, i pali, a wodą polewa, to znowu z garłacza sypnie gwoździemi, a precz na wieżę pacholków posyła, zali chłopstwo nie idzie.

Żle, Kostka! Prochu ledwo że ledwo, kul niema. a juchy, biskupia dragonja, koni pozbywszy, już tył zabieżali. Od Dunajca wory z piaskiem niosą, krzaki, gałęzie, nad niemi drabiny okrutne, a górą kule ogoniaste, płomienne.

Rwie Kostka okna, ołów z nich topi, cynowe dzbany, talerze, półmiski idą na ogień; kule, jeszcze gorące, w muszkiety; kamieniami śmigownica wali, i baby już w walce... Żyd, wiadomo do bitwy nieskorzy, a tutaj, jako Samson drugi, dach z baszty zepchnął: zakłębiło się strasznie, jękło okrutnie. Nie ustały armaty, dragoni precz idą...

— Gore! — ktoś wrzasnął. — Gore! — powtórzyło sto głosów, i powstał zamęt, wrzask po nim, a gdy ozwał się odgłos taranów, głuchy i złowrogi, chłopstwo kupą się zbiło, nastawiło widły i groty...

— Na śmierć nas dałeś panoczku, ale i tobie nie życie...

Upuścił Kostka muszkiet niezdatny, zwolna się ku nim obrócił:

— Wydajcie!... Puszczą was wolno... Za jedno mi



już, a zawdy sercu lżej, gdy nikt nie zapłacze na mnie...

— Ale i za mną nikt... Nikt... — W szepcie mu głos ustał, a z oczu, rozwartych szeroko, spływały po sienie twarzy wielkie krople krwi.

A lud, do wszystkich cierpień nawykły, na wszystkie bóle wytrwały, spoglądał ze zgrozą na te łzy, o których tylko w bajkach stare babki prawią.

Walał tarany...

Pękły wrzeczadze... — Bij rebelją!!

Na Krzemionkach krakowskich kat-majster smol-na portczyska podciągnął, rękawy koszuli założył, splunął w łapy ryżym włosem porośłe i skinał na drabów, co Kostkę dzierżyli pod ręce.

Zakołysał się tłum gęsty, jak nabił, głuchy szmer po nim przeleciał, i wnet cisza taka zaległa, jako czasem w przyrodzie, przed tą krzywdą, co Pan Bóg w ogniu niebieskim zsyła na ludzi. Tłum oddech zaparł, zapłakało dziecko, psu się tylko zebrało na żalność, i zawył, bo czuło są psy.

Górnice wzniósł Kostka głowę, śmieje do oprawcy podszedł, ten do ziemi zlekka go przygiął i złożył, nogi mu rozwarł, a dwaj czeladnicy krzepko za nie ujęli. Po skazańcu ziać przeszedł i ciałem już ciskał, wtedy na piersi siadł mu trzeci, okrakiem, ręce całą siłą wparł w szczęki, a hycel biały palik, grotom okuty, rychtował.

— Włóczyć, a zwolną! — ozwał się po chwili,

Bluznęła krew...

Gdy Kostkę w górę unieśli, wielkie, nieruchome żrenice — trupie oczodoły w tłum wlepił, i nagle, zdało się, że coś ujrzał dziwnego, gdzie godniejsi państwo siedzieli... Zabełkotał, ręce boleśnie wysunął, jakby kogoś przyzywał.

Wszyscy tam wzrokiem pobiegli, ale któż to odgadnie, do kogo nieszczęsny się zwracał, gdy rzędem siedzieli, imć ksiądz biskup krakowski, dwaj rajce z Kazimierza, jakaś panna urodziwa nader, przy niej gładki oficer, wcięty, a dalej za krzesłami, bednarz Onufer, dwa Niemce, żydowinek chudy, i bo to mało różnej gawiedzi...

A po nim chybkie drżenie pobiegło, i lud widział wyraźnie, jak włos mu się zjeżył, ale snadź w tym momencie grot serca dosięgnął, bo zwiśła mu głowa, i tak już ostała.

— Widno z Bogiem chciał się pogodzić, do biskupa ręce wyciągał... — powiadali w tłumie.







Długi, ciemny, ponury korytarz. Na dworze mróz, tu jednak przykre, mdłe ciepło, a w niem zapach pleśni, tanich perfum, kwaśny odór zwietrzałego piwa. Duszno i cisza.

W kącie stos pokrzywionych pudeł od kapeluszy, strzęp białej falbany, szkielet parasolki, zdeptane kolorowe pudełko, trzewiki. Pęk zeschłych kwiatów szarpia szczury, piszcza, po chwili giną w rozpadlinach muru, odgłosem kroków spłoszone.

W głębi zjawił się cień ludzki. Ktoś długą szczotką obmiata niedbale pas korytarza, mruczy zcicha, klnie. Nad zwiedłym bukietem przystanął, zamyślił się, głową potrząsnął, potem go nogą w kąt cisnął.

— Takie i twoje panowanie krótkie, taki twój koniec... — i pięścią w stronę drzwi najbliższych pogroził.

— E-ech! — przeraźliwie ziewnął, spojrzął na wielki srebrny zegarek.

— Dwunasta... Wstawajta, wy, grzechy nocne! — odwrócił się i, idąc powoli, we wszystkie drzwi mocno uderzał.

— Ej — Magdaliny, wstawajta!

Potem, przy schodkach, za dzwonek szarpnął, a gdy drut zadrgał wzdłuż korytarza, nie budząc sil-



niejszego dźwięku, człowiek, jako objaśnienie celu bezskutecznych czynności, niecierpliwie wrzasnął:

— Na kawę panny... Kawa-aa! ka-a... — nie skończył, bo kaszel mu słowo zadławił, i już giał samego do ziemi, i dusił.

Głos przykry, rozpaczliwy w stare szyby trącił, pobiegł w przestrzenie, a zdołu, niby echo, rozległ się dźwięk zły, ponury, jak psa szczekanie:

— Władysław, Władysław, niech idzie prędko...

— Prędko? Żeby ci śmierć jeszcze prędzej... — Powłókł się po schodach zmęczony, z trudem opuszczając stare, zbolałe nogi.

Budził się powoli korytarz... Skrzypnęły drzwi, ukazała się w nich źle rozwinięta, chuda dziewczyna: zmięta koszula, czerwona halka i żółte niezapięte trzewiki na nogach bez pończoch. Spojrzała w stronę schodów, skąd biegły odgłosy kłótni, przekleństw, pogroźek, zaszeleściła jedwabną spódnicą i, kłapiąc trzewikami, pobiegła do drzwi w głębi.

— Mańka, Ma-ańka! — uderzyła ręką po klamce, potem nogami łomotać poczęła:

— Mańka, otwieraj — pożałujesz, mówię.

— I czego się drzesz, jak ta mumja? — ukazała się przed nią rośla dziewczyna. — Wściekłaś się czy co, mazepo, jucho, po nocy z takim jazgotem, jakby cię do części wlekli... I czego? — Przeciągnęła się, poprawiając gęste, rude włosy, z wplecionymi w nie kolorowymi papilotami — No, czego?

Szczupła jej twarzyczka, mnąc koronkę u koszuli, smutna, onieśmielona, wyszeptała po chwili:

— Bo widzisz, ja do ciebie — do przyjaciółki, z sercem, a ty z gębą do mnie, jakbym już jaka ostatnia. Toć my z miasta, z jednego, Mańka... Cholero!

Rosła dziewczyna pochyliła się ku niej, patrząc jej w oczy uważnie.

— Cóżes ty? Beczała? Co się stało, Andziu, co? — pytała łagodnie.

— A to, chciałam ci, Mańka, chciałam ci powiedzieć, że to — obejrzała się trwożnie — tylko tym małpom nic nie mów. Dzisiaj, jest — wilja... — szepnęła jakby przerażona.

Mańka cofnęła się, spojrzała ogłupiałymi oczami, powtórzyła powoli:

— Wi-li-ja, dzisiaj?...

— Wilja, wilja... Na ścianie miałam znaczone, i w „Cichej łzie“ jak wół stoi. Tak, Mańka...

Patrzyły na siebie chwilę w milczeniu, rośla dziewczyna osunęła się po framudze, usiadła, a szybko oddychając, przesuwając ręką po czole, jakby pragnęła myśl przykrą odegnąć.

— Wilja, niby, że gwiazdka i — dzisiaj.

Drobna jej twarzyczka utuliła się obok, pochyliła głowę na nagie, chude ręce.

— Chciałam się modlić, i — nic... Tak, Mańka...

— Nie gadaj, niech będzie cicho... — i ruda głowa tegiej dziewczyny opadła jej na kolana.

W ciemnej, ponurej sieni poczyną się życie, leca przekleństwa, śmiech rozpasany, pokrywa je głos tkliwej pieśni o „młodej cygance“. Dalej nuci ktoś rzewnie, fałszywie o Halki zgryzotach, a obok, z po-



za drzwi uchylonych, rozlega się głośnie opowiadanie:

— I tak ci mówię, kochana, że widziałam wszystko, jak tu ciebie widzę, ale nie koniec, bo ledwom się znowu do poduchy przytuliła, aż tu patrzaj, kochana, wojsko mi się marzy. Okrutne wojsko, mówię ci. Niby nasze, niby kozackie, a po niemiecku mówią.

— Oje ja. I jakież to wojsko?

— Poczekaj... Więc szło z chorągwiemy, kaszkie-ty złote, konie jak czorty, idą, a idą — nie zliczyć. Ja głupia stoję i patrzę, jak głupia, co z tego, aż tu ci się nogi pode mną zatrzęśli, bo starszy, co na przedzie, ich oficer niby, cały we złocie, w żelazie, prościuteńko do mnie ci wali...

— Oje ja!... I co?

— Złęklamsię strasznie, ale potem tak sobie mówię: I cóż ci zrobi głupia, najwyżej? Pierwszego widzisz? Medytuję tak sobie, a ten ci już do mnie. Chłopak — róża zachwycenia, ci mówię, i z konia już złazi, złota, pierścionków, zegar mi daje, branzoletkie wkłada.

— Oje ja!

— Co będziesz tylko chciała, dam ci, powiada, i brylantów, korali, turkusów...

— Jak Zośka ma?

— Jeszcze lepszych, powiada, tylko żeby z nim do ślubu zaraz, bo tak i tak, żyć beze mnie nie może, a jakby nie, to jemu śmierć, mnie śmierć. Tą szaszka zadżgam cię, powiada, a szaszka ze srebra, caluśka, ci mówię. Ano, od słowa do słowa, a choć gościa pierwszy raz widzę, tak sobie myślę, że boić się

niema co, więc — dobra nasza, jak ślub to ślub, niechże i będzie. Ledwom to rzekła, a tu, moja kochana, już i suknia biała na mnie gazowa, i welon tiulowy, jak Bronki, kiedy za tego ospowatego pułkownika szła, tutaj już i kwiaty we włosach, róże, chrezanty, wianuszek z merty druchna mi upina, takam już rada, że nie wiem, aż tu ci raptem jak mię coś nie wytnie w pysk, jak nie wytnie drugi, jak poprawi...

— We śnie?

— A—ale! Otwieram oczy, a tu mię stara tak po mordzie pucuje. Lampy zapomniałam zgasić.

— Ha, ha — ha!... oh jeja — jej... — zanosła się śmiechem, słuchająca dotąd w uroczystem oczekiwaniu, towarzyszka — ha — ha — ha, a to ci sen morowy, niechże go, a to ci się ślub wyszykował bogaty... Już ci nawet chłopca zaczęłam zazdrościć, bo choć pośnić, i to miło — a tu masz...

— Nie taka znów wielka uciecha... — odzywa się z rogu wielkiej kanapy smutna, ładna dziewczyna — nawet we śnie, pieska dola nasza, człowiek się nie trafi, tylko kacap-oficer... A to ci los taka para.

— Bo za Władysławabyś poszła... sklepikbyś miała, poszanowanie... Hej, żeby tak na mnie.

— Nie, nie, już tak zmarnieć wolę, jak za chłopca bez kochania iść, całe życie mordować. Niech tam sobie, te — uczciwe tak robią, one mają zdrowie siebie i jego zameńczyć, a ja — nie. Całe życie kłamać, i jemu nie wierzyć, to ci miłość, to ci ściskanie, co funta kłaków niewarte... Wolę postronek, ten jak za szyję obejmie, to — wiara.



Zaśmiała się spazmatycznie i zwróciła do dziewczyny, układającej przy stoliku kabałę:

— Powiedz ty, Wandzia, dobrze ja mówię: co wart chłop bez kochania? Jak masz serce do niego, niech nogami cię skopie, i to ci jest słodko, ale jak ci niemiły, będziesz wyła po kątach, choćby cię złotem obwiesił, jak obraz.

Wandzia podniosła od kart piękne, niebieskie, o anielskim wyrazie oczy, i miękkim, słodkim głosem odrzekła:

— Ścierwy są chłopcy, i żadnemu nie wierz. Żadnemu podlecowi, ani na tyle, bo cię, tak czy owak, zawsze wkońcu czeka zgryzota. Ty matkę, ojca zostawisz, wstyd zgubisz, jak pies za nim polecisz, a on cię właśnie wtedy ukrzywdzi. I właśnie wtedy, kiedy ci wrócić niesposób, ciśnie cię zmarnowaną na słomę, w suterynie; morduj się głupia i zdychaj, a nie, to idź z dzieciakiem na rękę, obowiązku szukać... Taki jest, kochany...

Głos jej chrypl coraz więcej, na twarz ciemne wystąpiły wypieki, kaszel porwał za piersi.

— Masz chłopca w kartach, masz go żywego, patrz tutaj... — rzuciła się gwałtownie, wskazując na szereg kart zatłuszczonych. — Pętał ci się, pętał, przez dwa tygodnie, jakbyś kartami nie rzuciła—jest przy mnie, a dziś...

— Dama karowa — broneta, z jednej strony, dama pik z drugiej, podlec we środku, a tutaj dama trefl, patrzcie jak to ślepie wypatruje, a dalej—czarna dziewiątka...

Oddech jej krótki, przerywany, w jęk się zamienił.

— Oj, nieszczęśliwa ja dziewczka, o psia dola moja, przekłeta chwila, kiedym tego podłego poznała...

— Łajdacki chłop, to pewno.

— Dusza sobacza! — westchnęła druga.

Nagle porwało coś Wandzię:

— A wam, jedna z druga, wara od niego... O mój ty Jasiu, o mój ty skarbie, moje ty wszystko na świecie! I co mi warte życie bez ciebie, moje kochanie ty słodkie!

Nagle zamyśliła się chwilę, i włosy targać poczęła.

— Ale, poczekajże, poczekaj. Tej damie pik, Mańka, nikt inny, już ja jej te farbowane kołtuny ze łba obedrę, jemu ślepie fałszywe kwasem zaleję, żebym tak Boga przy skonaniu, żebym tak...

We drzwiach ukazała się ruda dziewczyna.

— Nie pomstuj, nie przeklinaj, bo...

— Bo co? — Rzuciła się ku niej z zaciśniętymi pięściami — bo co, wydro malowana... Bo co?

— Bo dziś... Dziś jest wilja... Bóg się rodzi, nie mówiła ci to matka. Dziś wielkie święto, takie święto łaskawe, że nawet najgorsi modlić się mogą, a mnie, jeśli ci dokuczyła, daruj grzech, Wandzia.

Jak biczem, cięła temi słowami po groźnej dziewczynie, zgnębiła ją, upokorzyła, pozostawiając skuloną, drżącą, z cichemi wyrazami na ustach:

— Wilja... Matka... Daruj mi, Mańka!

I znowu w ciszy zamarł korytarz, sień ponura, ciemna, gdzie promień słońca nie zjawiał się nigdy.



Zato w duszach nieszczęsnych zabłyśły dziś światła, wstały dawne wspomnienia, odżyły silne, w dawnej radości czy smutku, lecz potem ciężko na myśli się kładły, budząc w łkaniu dławiającem jęk okrutnej rozpacz, aż głowa zatłukła o ścianę, i jak szpony za serce:

— Matka — matka... wilja...

W dużym, jasnym, złociście, jaskrawo umeblowanym pokoju rozlała się na fotelu, spowita w kosztowny szlafrok, bezkształtna masa. Z masy tej wyłaniała się ręka, lśniąca od brylantów i potu, wskazujący jej palec wodził po tablicy kalendarza, a ruch ten śledziły oczy kilkunastu pstrych dziewcząt, pochylonych, cisnących się z niepokojem.

— Jaka wilja — gdzie tu jest wilja? Tu o żadne wilje nie stoi... — piszczał głos przykry, zniecierpliwiony.

— Narodzenie Chrystusa Pana, niech stara poszuka... — ktoś odezwał się szeptem, nieśmiało.

— To będzie, kochana Mania... Chrystus to Chrystus, ale kto to może wiedzieć, kiedy on się urodził, więc jakto może być święto, takie święto, co jego niema? Czy ja mam rację, niech powie Reginka... — zwróciła się do opasłej, sino-czerwonej, z purpurowymi ustami brunetki.

— Stara nie ma racji, to jest ich święto, a czy ono jest złe, czy dobre, to nie starej rzecz... — wypaliła niespodziewanie Reginka.

— Nie mówi się stara, starej... Mówi się m a d a m e,

jak w inne pensjonaty. I to nie jest dobry przykład od panny bufetowej dla innych panienki. To wcale nie jest ładnie... — błysnęła złemi oczami i opuściła je na trzymany w ręku kalendarz.

— I gdzie tu jest takie święto?... ja pytam się znowu. Tu jest takie, ale to w styczniu dopiero, i ja inne święto nie widzę.

— W książce do nabożeństwa jest 24 grudnia. W „Cichej łzie...”

— Sztil... Ja inne święto nie widzę, widzieć nie chcę, ja nawet na inne pozwolić nie mogę. To mogłaby być może nieprzyjemność w policji, a ja mam dobrą markę... Każdy wie, że moja firma b ł a g o n a d i o ż n a jest, ja o dobre imię dbać muszę, ja córki mam...

Dziewczęta usunęły się, szeptać między sobą zaczęły.

— Musi być wilja. A nie, to jej i sobie zaraz łeb rozwale!

— Złością tu nic nie zrobisz, starej pochlebić się trzeba. Niech ją Mańka pocałuje w rękę, poprosi.

— W rękę żydówkę, ani mi się śni.

— Dla wilji Mańka zrób, dla nas wszystkich się ofiaruj... Bóg się rodzi, cholero!

— Mańka, ona cię lubi...

— Zrobimy sobie ładnie: weźmiemy od starej oleander, świecek zdołu, a jak mi da wychodnią, prawdziwą choinę przyniosę... Kluski z makiem. Oplatek... Oplatek poświęcany.



Dziewczęta otaczają ją kołem, ściskają, proszą ze łzami.

— Święto, widzisz, takie wielkie święto, niechże i nasze podle dusze się cieszą.

— Masz, dam ci turkus. Prawdziwy...

— Pluń, Mańka, i pocałuj starą.

Dziewczyna kręci się niespokojnie, krzywi, wymawia, wkońcu szybkim, stanowczym ruchem zbliża się do gospodyni i pochyla nad jej tłustą dłonią.

— Co, moje dziecko, co, bo ja tobie nic odmówić nie chcę.

Ujęła w obie ręce jej głowę, ucałowała z powagą matrony:

— Co chcesz od swojej m a d a m e, kochanie.

— A to wszystkie proszą, żeby stara, żeby m a d a m e była taka dobra i zwolniła nas dzisiaj, pewno i tak nikt nie przyjdzie, a my już sobie same urządzimy wszystko.

Stara żuć ustami poczęła, oczami mrugać, jęknęła wkońcu:

— Róbcie, co chcecie, Regina wam pomoże, ale niech ja o tem nie wiem, niech ja nic nie wiem, ja się w takie sprawy nie mieszam, niech mię Pan Bóg od nieprzyjemności na te siwą głowę obroni — oj.

Westchnęła głęboko, sięgnęła do kieszeni, dobijając zmięty rublowy papiererek.

— Weź Reginka, kup im na to święto — geś. Ja mam serce, ale niech ono nic nie wie, a teraz idźcie, bo ja już jestem cokolwiek wzruszona — to nie jest dobrze na moje zmarnowane zdrowie.

Dużą czerwoną chustkę przysunęła do chorych oczów.

— Pocziwa stara, dziękujmy jej... — zaszu- miało wśród kółka dziewcząt.

— Dziękujmy — pocziwa stara.

I podchodziły jedna po drugiej, pochylały promienne twarze do bryły, w kosztowny szlafrok spowitej, całowały ręce, lśniące od brylantów i potu.

Ona, jak dobra, stara pani, obejmowała ich głowy, tuliła je do piersi, wreszcie powstała, zwróciła się do swej pomocnicy:

— Jakby ten ptak kosztował osiem złotych, jakby dziesięć, to ja także dam... — i ściskając skronie, chwiejnym krokiem odeszła.

— Pocziwa stara... — biegł za nią szept rzewnej radości.

Biała, złocista sala, a w niej przygotowania do nędznej biesiady. Kilka stołów, różnej miary, kolorowymi serwetami zasłanych, lśni białością talerzy, środkiem rząd półmisków ciemnym pasem się znaczy. Mak, salaterka śliwek, śledzie, kartofle, babka, a na pogiętej ciemnej tacce — opłatki.

Ruda dziewczyna, w ponsowej aksamitnej sukni, czyści noże i widelce, druga oparła się na stole, oczami po nakryciach bładzi.

Niewesoła to snadź wędrowka, bo chmurnieje twarz blada, w oczach tylko błyski jakieś niezwykle jaśnieją, ponurych myśli drobne światełka — rozpacz gońce.



— Tam siedział stary, tam matka — lecą wspomnienia — dalej siostra zameżna, dwaj bracia, a przy nich ona, on przy niej, radosny. Za rękę ją ścisnął nieśmiało, marzyli o szczęściu, o bliskim dniu ślubu... Hej!... — Z podmałowanych oczów dziewczyny spadają łzy.

— Nie beczże, Wikta, we śledzie.

Pod białą, w złociste lilje, ścianą, z ramy czarnego surduta wypukła się pochylona głowa służącego Władysława: żółta, sponiewierana twarz zmięta, rudawe wąsy, dwa paski rzadkiego zarostu po bokach. Tu nie mówią nic oczy, senne, zagasłe, patrzą bezmyślnie na przygotowania dzisiejsze.

— Cieszy się pan Władysław? — Budzi go z odrętwienia dźwięczny głos zajętej robotą dziewczyny.

Zgięta, połamana postać prostuje się pod ścianą, odzywa głosem powolnym, zmęczonym:

— Głupi się cieszy, bo i co z tej radości? Tyle tylko, że jutro gorsza zgryzota ściśnie panny za gardła. A kto grzebie w tych śmieciach, co raz z myśli wyrzuci, wiadomo co znajdzie...

Ręką niecierpliwie poruszył, zamyślił się.

— Stary jestem, znam ja to wszystko, i dużo widziałem; na trzy śmierci wystarczy, co w życiu przeszło uciechy. Na wozie się było, pod wozem, a raz z woza się spadło, ale już w błoto takie, w taką kałużę, że żyć ciężko, umierać straszno. E—ech, poco to dawne dzieje wspominać, a nawet tak sprawiedliwie mówiący, licha to warte było i tamto.

Bo we wszystkim, choć tam i na dnie, a siedzi łajdactwo. I w żonie kochającej, i w bracie i siostrze... A dzieci? Wsyp-no panna garstkę pieprzu do wódki, nie szkodzi.

— Będzie palić.

— A właśnie... Od tego i wódka-pociecha, ona nie da zamrzeć człowiekowi w żalości, wypali wszystko, co boli, za czem serce... psiakrew. Oj będziecie wy piły, jutro będziecie, oj zada wam ta wilja pieprzu, bez pieprzu...

Zakaszła się, twarz mu posiniała, mówić nie mógł i powietrze chwycił, aż posunął się bliżej do stołu, odetchnął:

— A mnie nic... Choróbsko oto drze za bebechy, łamie po gnatach jakieś stare kochanie, a kaszel, jak pies zębami, targa za letkie. Ano byle bliżej a prędzej, a zemrzesz panie Władysław oto w honorze, poszanowaniu, w godnym domu oto...

— Dej-no panna ździebko... — dławiąc się, wyszeptał, w rozdygotanych palcach niósł szklanke.

— Zaraz, zaraz, tylko już wszystkie poproszę, one tam przecie czekają, doczekać się nie mogą...—zwróciła się do drzwi.

— Gotowe!

Dziewczyny poczęły się cisnąć przy wejściu, lecz wchodziły bojaźliwie, powoli; przylegały do ścian, kryły się w ciemnych kątach, jakby oślepienie tym mdłym blaskiem, co szedł od ubogiego stołu i onieśmiał łoczając się gromadkę, strojną w jedwab, aksamity, koronki.



Nie mogły się ubrać, jak chciały, pragnęły; dumne też były te między niemi, szczęśliwe, którym strzep jaki: stara spódnica, czy kaftan podarty z dawnej przeszłości pozostał. Ustroiły się, radosne, w tę minionych dobrych czasów pamiątkę, i już jakby obce im były towarzyszki ubogie, kryjące gors sukni balowej pod chustą wełnianą. Lecz teraz, wobec tej uczty, wszystkie wolne od pychy i zawiści stoją bez ruchu, wpatrzone w żółte migotliwe blaski. Lśnią od nich świetne promienie w kryształach ozdobnego pajaka, lśnią w drobnych kropkach łez, co biegna szybko, przez półśmiejch bolesny, przez tępy ból.

Ruda, tęga dziewczyna podniosła z talerza opłatki.

Śmiało, jakby radośnie, zbliża się do ciemnego kąta salonu, witają ją ciche szlochania.

— No — kochana... No... Podzielmy się tym opłatkiem, jak dawniej — jak wtedy... — drży jej głos cichy. — Niech sobie każda przypomni, co miała kochanego, drogiego: ta matkę, druga siostry, a tamta... — Coś ściska za piersi, oddech zapiera, dławii. — A tamta...

Dziewczyna chyli się na ścianę, szepcze z wysiłkiem:

— Nie mogę...

Drżą w rękach lekkie opłatki, ciążą ku ziemi i suną z cichym szelestem, jak późne liście jesienne. Krzyk trwogi, i chwila ciszy bolesnej.

Z ciemnego kąta jęk się dobywa, długo tłumiony wybucha okrzykiem straszliwym, za nim podnosi się bólu głos drugi, trzeci, dziesiąty, aż spazm płą-

czu wszystkie piersi ogarnia, hula po sali balowej...

Wycie rozpaczliwe bezmiernych cierpień, bezna-dziejnych żalów, w jedną chwilę przeżytych, wznosi się w jęku szarpiącym myśl ludzką aż do obłąkania. Coraz to nowy głos łączy się z nim, jakby dopełnia bólów wyrazy, i dźwięczy potężnymi akordami improwizacja, jakby z samego dna duszy męką tortury wydarta.

Od ściany odrywa się postać czarna, pomięta:

— A niechże... was... mać wasza... O Jezus! — i jeszcze ryk starczy, złamanego głosu, ryk oszalałego z bólu człowieka zlewa się z falą rwącego jęku.

— — — — —

— Sztil, sztil!... goście przyjechało!

Ślepy taper już blade ręce na klawisze opuścił, rozkołysał walca.



...czy wszystkie pierś ogarnie, hula po sabb balowet...  
Wpół rozpaczliwe bezmenny ciępień, bezna-  
dzajnych żalów, w jedną chwilę przetrząsł waność  
nie w jaku szarym myśli ludzka aż do obłąkania.  
Cóż to nowy kłóć się z nim, jakby dobiegła  
bólowi wyrzwy, i białoczą potężnie skądami im-  
prowinając, śród z samego dna duszy, nagle tożnity  
wyłatał.

Ob ściany odbywa się postać cenną, pomsta;  
— A miedzi, was... miedzi was... O Jezus! —  
i jeszcze tyle starczy, stannego kłosa, ryk osza-  
lęto z bólu oszłoka, zawa się z tak twarzą, jak

— Szpil, szpil!... kocioł przyjechał!  
Ślępy tapet już blado, też na klawisz opadł,  
rozkołysał walek.

# ...ŹNĘ NA WIOSNĘ



Zimna, sina pustka, krąg pól poszarzałych, a na dalekim skraju chmura zmierzchłego błękitu, szybko chłonna mrok w siebie. Pod nią świetliste jeszcze smugi podniebia, a dołem szeroko rozparte białe namioty u drogi. Dzisiaj o świetle tu się zjawiały, o południu wyrosły, bez wczoraj, bez jutra, lecz pewne siebie, nieustępliwe się zdają, mocno sprężone na sznurach, u kołów głęboko w ziemię zabitych. Krzyż jaskrawy, czerwony, mają u szczytów.

Zmierzch jeszcze ich nie objął, lecz już ku nim się skrada, bliżej i bliżej, niby ptak nocny kołysze się, krąży, jakby chwilę się trwoży, ucieka, to znów chwilę się zмага z tą zimną białością i kształtem. Jakby ludzkie miał oczy, gdy dojrzą, że ziemi coś obce, więc sercu niemiłe.

Wraz wichur wypadł na pola i nisko ziemią pogonił, nagle górą się poniósł, na szerokim przestworzu w piersi nabrał oddechu, całą mocą w białą zaporę uderzył, jakby chciał ją zerwać, i skłębic, i ponieść za góry.

Raz jeszcze i raz, lecz nie poradził nic siłą, odleciał. Tymczasem niedługo mroczne, ciche skrzydła cały rząd białych namiotów już miękką szarością objęły; śmieiej i śmieiej, aż otuliły je w ciemność.



Wtedy w nich wielkie ślepie jarzące rozblęły, rozgorzały w czerności. Chwilami się przymkna i noc je otoczy, to nagle rozerwą, a wraz długie, migotliwe blaski na ziemi się kładą, kędy raz po raz ciemny kształt ludzki przemyka, nagle w mroki zapadnie, skąd zgiełk ludzki i kipi wrzawa roboty. Żwawo biega tam światło latarni, i syczy ognisko, gdzie kołysze się czarna gromada, a obok chłopska chata stargana, rozbita. Rwą z niej krokwie i zręby, wałą z łoskotem saperskie topory, pryska gęsto przekleństwo, śpiew bije i śmiech się przewala chwilami, jak grzmot.

Takby się zdawało, że oto człowiek szczęśliwy — buduje.

Troje dzieci u węgla. Trzy głowy przy sobie, a chwilami, gdy ruszy ludzka gromada i wesoły blask po nich chybnie — wielkie, nieruchome oczy tępo gdzieś patrzą. Więcej w nich ciekawości niż grozy. Przodem chłopak, w czapczysku wciśniętem na uszy, owinięty w chustę, a za nim dwie jasne, jak zboże, dziewczuchy, ciemne, wystrzępione kiecki, jakaś szmata czerwona i nogi sine, jak martwe. I pies czarny przytulił się do nich, żaloszny, bezgłosy, ale gdy cień ludzki przesunie się bliżej, wtedy szerść na nim się jeży, białe zęby tłuką o siebie i prze się całą siłą pod nogi. Nie umocniły w nim widać przyjaźni do ludzi dni ostatnich zdarzenia, lecz daleki od zdania się na łaskę, niełaskę pies-polityk dobrze wie o tem, że nawet z jedną paszcza

rozwartą każdy więcej się liczy, niż z całą gromadą machających przyjaźnie ogonów.

Przerażonemi biega oczyma, a gdy blask po nim polec, kłapie zębami, radby się z niego otrząsnąć. Wtedy zawsze jakaś ręka go sięgnie, lub wierzgnie chłopak tatowem buciskiem.

— A pudzies!

Jęczy, zawodzi rozdzierana chałupa, jakby z żywej ściętna ktoś rwał i łamał w niej stawy. To znów żalosz po niej się ciągnie bolesna, bezsilna. Nagle upór rozpaczny ostatnim wysiłkiem zatarga, gdy stary murlat, zaparty od pół wieku w powalę, nie puszcza, i choć wałą topory, a chwieje się osłabłe wiązanie, trzyma jak chłop pazurami, gdy całe dobro do piersi skrzyżowanemi rękami przycisnie i — bierza, ale ze wszystkim, z żywotem!

— E-ech ty! — raz koło razu, w twarde życie ugodzą siekiery.

Już życie tam pękło, a jeszcze, jakby chłopska dusza zaciekle każdej drzazgi się czepia: — nie dom, i nie dom!

Lecz człowiek tu jakiś inny, niż bywa w spółzyciu. Oto stoi opodal niepewna siebie, trwożna, niemowna chłopów polskich gromadka. Ktoś z nich śmielszy, a może tylko ciekawy, zwolna, jakby z niechcenia, wahajaco, ku saperom podchodzi.

Wnet od nich rażno odezwał się głos:

— Ej, pan! twarde wasze izby, ale twardsze ruskie topory.



I już uśmiech pełen przyjaźni zawsze chmurne twarze rozświetlił.

— Wiadomo, nie ostoi się sosna żelazu.

— Zaś trafi na sęk, to i odpryśnie... — ktoś szepnął.

— Ale jak dobra siekiera, to sobie uważa, że zaro zachwyci, a po drugie, że oto...

Wraz bliżej podeszli.

I jeszcze chwilę, a już całkiem sąsiedzka pogwar-ka między tym, co ma jeszcze całą chałupę, i drugim, który jutro ją zburzy.

— I nacóż to wam, panie ziemiak, tyle drzewa potrzebno?

Żółtobrody soldatik, w rozchełstanej koszuli, z poza której pierś, jak u żubra szeroka, ryżemi kudłami porosła, splunął z rozmachem:

— E-ech, wasze drzewo.

I dorzucił po chwili:

— Wszystkie wasze chałupy krasnyj krest spali... szerokim, hojnym gestem przestrzeń ogarnął.

— Ano! — woła cysarska.

A drugi podniósł pochylony łeb, prawie że biały, spojrzał blademi, niby woda, oczami i zakwilił jak dziecko:

— My wam krew naszą, świętą krew prawosław-  
ną, za zgniłe drzewo... A wam krzywda — a!

— Kto mówi — krzywda? Najjaśniejszy pan krzywdy nie robi... — I dwaj rażno podeszli, bo tam właśnie, przy saperskiej robocie, chłopskiej garści było potrzeba. Dwóch jeszcze z własną sie-

kierą, a że, jak to mówią: śmierć rychła, kiedy syn rękę na własną matkę podniesie, tedy, jeszczeby człowiek jak należy pacierza nie zdołał, a już tylko czarny komin został z chałupy.

— Nu — Wania, taszczi... — Pamiętliwe szczapy powlekli, z chłopskiej chudoby do namiotów, na opał.

Wnet dzieciaki, gdzieś w kąty cieplejsze, ostre zimno przegnało, i już tylko w dawnym obejściu zjeżony pies został. Lecz strach jakiś jeszcze w noc długo nim ciągle pomiatał, bo krzyż z szerści oblażył i kusy chował w opłotki i kłapał paszczką. Może duch pokutował wypędzony z chałupy, a może mu się coś tylko widziało. Jak chłopu, gdy sobie podje z wieczora za tłusto.

\* \* \*

Ale, na doświtku jeszcze, zaledwie zmętniała noc, zaledwie szarzejącą smugą oddzielił się daleki horyzont od czarnej płaszczyzny pól, okiem nieobjętych, i zwolna poczęły przesączać się blade brzaski przez ciemność nisko nawisłą — już u rozwleczonej chałupy, nad stosem jakby z nieba spadłego drzewa, krzątał się człowiek.

Ani wiedzieć, jak się pośpieszył, skąd nocą zado-  
był tyle dobra i cały statek ciesielski, a ledwo dzień zeszedł, już zwałókl długie bale i do prostokąta je równał, podwalinę pod chałupę kładł. Przy sporej pracy szybkie południe, ale już i przycieś choć zgru-  
ba ociosał, a gdy pierwsze zręby do niej pasował, wnet i na zbożną pracę padło w obejście:



— Szczęść Boże!

— Panie Boże zapłać.

— Jakże to, panie Kurek, ledwo wam jedno chałupsko roznieśli, już-eś-ta wnetki się na drugą zebrałi?

— A no... zebrołem się.

— Aleś-ta i nie bojący, bo to gadają, że sielna chmara ich idzie... gadają, że naszego już cafli.

— Ano... gadają.

Długa chwila ciszy, tylko strugi pod szerokim to-porem pryskają, tedy sąsiad postoi, postoi, ale że się jakoś nie łądzi rozmowa, tedy jeszcze popatrzy, galante odziomki, bo to ściśle a smolne, pochwali, i:

— Z Bogiem ostajcie.

— Niechże Pan Bóg prowadzi.

Zaś Kusy, co przysiadł u drzewa i już je wziął w psią, szczerą i czujną opiekę, tylko za odchodzącym oczami powiedzie i znów ku gospodarzowi mądre spojrzenie odwróci, a nic jego uwagi nie ujdzie: może ważność poczętej pracy rozumie, może rad, że gospodarz znów przy nim, to jednak pewna, że na małe, strwożone psie serce, po dniach udręczenia, zesłała ulga radosna.

\* \* \*

Czas taki wypadł, że co dnia odmiana, co dnia in-na nowina. Ktoby jednak tam plotkom, ludzkim gadaniom uwierzył, kiedy i to, co się dzieje, na co własnymi patrzy człowiek oczami, wcale niepodobne do wiary.

Toć jeszcze wczoraj żołnierze snuli się po wsi— pewne siebie, zuchwałe gromady; żadne krówsko żalosne nie było pewne żywota, najcnotliwszym kokoszkom żołdat łby skręcał, a byle kiecka mignęła w obejściu, choćbyś miotłę w nią oblekł, już ci grzmiało — urra! jak do ataku parła gromada. I z komory, ze strychu potrafili wywlec żonę czy córkę, a choćbyś tam błagał, łbem tłukł o ścianę, jeszcze uragliwie się śmiał napastnik, bo niby skąd tyle krzyku — o babę.

— Przyjdź do nas w Rassieju — trzy za jedną oddamy. I jakie!...

Toć wczoraj jeszcze cała ich rota rozciągnęła się rzędem, na szerokim łanie pszenicznym, zielonym i—aj—da, bratcy! jak jeden posunęli kosami. Zaś nie było człowieka, żeby się nie zdumiał boleśnie na takowy niepojęty uczynek, i nie było takiego, żeby w niebo nie spojrzał, nie przeżegnał się w trwodze, bo choć nierychliwy Pan Bóg, ale przecie do bolącego go dojmie to zboże jeszcze mleczne, i w takim zniszczeniu.

Ale gdzie zaś! Ani słońce nie zmierzchnęło.

Aż zeszedł ranek i ktoś wrzasnął:

— Germany!

— A juści!...

Ale oto pastuch wypadł na wzgórek, spojrzał i— już ku lasowi, tylko piętami zaświecił. Za chwilę pędem wóz dworski przeleciał, gubił szmaty, pierzyny, nikt ani spojrzał, a tuż naprzelaj, co pary, rznał



fornal na siwej cugowej — Matusiak i, jakby skóre darli na żywym:

— Germany! Germany!

Tedy ludzie i głosy — jakby pod ziemię... Ani pies się nie ozwał, nie zaczął ptak, i tak się zdawało, że nad chałupą, u komina, dym zastygł.

\* \* \*

W stratowanym obejściu, jako że stało przy drodze, na skraju, kędy przewalała fala, stał Kurek, nad chałupą się troskał. Już ją pod samą powalę podciągnął, właśnie po murłaty, po kozły miał jechać — nie zdążył, bo las tak juchy obsiadł, że ani sposobu.

— Psia wełna — los!

I tak sobie, z wielką żalością, wspomina, że o wczesnej, o wiosnie, sam oto z tem jednym siekierkiem zakładziny począł. I sam oto sprawił, na podziw, cztery izby z komorą, sienią, składzikiem, dnia nie zmitrężył, a nocami wydarł, potrochu, Moskalom, na zagładę skazane, żytnie poletko i miał-ci na poszycie, dobrze ze trzy kopy pewno. I tak sobie miarkował, że, ani chybi, pod jesień siądnie w nowej chałupie, a tu bracie — masz!

— Masz, ciemny chłopie!... — tak do siebie powiedział. — Ot, nagrodę masz! Jeden ci chudobę zmarnował, drugi ci powiada: płac! Panów — powiadają — las, opiekuńskie dziady! Jakbym ja zaś winowaty był, że nie mój. Ha!

Rznął czapczyskiem o ziemię i przeklął wszystkie w świecie narody.

Ale cóż tu złością pomoże, gdzie i rozum nie zładzi? Tedy po chwili już jakby żalność się po nim rozlała:

— Hej, pokwapiły się juchy — a poradzi co? — I chłop po czapę się schylił, ale wtem zastanowił się jakby, i ucho bliżej ziemi nachylił.

— Dudni...

Dłuższą chwilę posłuchał.

— Dudni!... ale — jakby z tej strony.

Wstał, czapę mocno nacisnął i spojrzał wokoło.

— Musi od tej strony zachodzą.

Aż się roześmiał.

— Hej, zakurzy się za wami, zakurzy... i ja drzewa, taki, od was nie kupię.

Dodnia jeszcze się zerwał i słuchał. Grzmot ziemią kołysał, ale skąd idzie fala? jakże zmiarkować, kiedy wokolusieńko... Jakby gdzieś tam zwał kto okrutny las, jakby chałupami tłukł, a ta ziemia ino: dudu, dudu! — i nie wiedzieć skąd.

— Ale — ani chybi, że...

Zaś podleciał taki dzień, że zamarła wieś.

— Idzie, idzie — nasz!

Przyszedł za psy — straż.

I to było pierwsze.

\* \* \*

Ano, cóż?

— Na tu, Kusy, na!

Gdy uszów pieska dobiegło wezwanie i w mózg



uderzyło radosne, żwawo naprzód podskoczył, do nóg gospodarza przypadł, pełen wewnętrznej uciechy. Jak umiał, tak się cieszył pies — kusy. Czołgał się w piasku pokornie, u nóg jedyne go człowieka, któremu ufał na świecie i, jakby za dobre słowo pamięci dziękował, oczy mrużył złotawe z dziwną lubością, i śmiał się, jakto psy czynią w chwili silnego wzruszenia.

Więc gospodarz mu sznurek na szyję założył, przyciągnął, a pies się tylko nakrzyż przewinał, nie bronił, ale w oczach posmutniał, bo coś to dobrego ze sznurka. I zaszamotał się nagle, ale już w mgnieniu moc niepojęta porwała go w górę, i zawisł piesek u świronka na drażku.

Targał się, targał...

A gdy sąsiad pod wieczór do obejścia zaszedł i spojrzał, gdzie wytarte, zrudziałe, boleśne w swej nędzy niemownej kudły zawisły:

— I cóżeśta psa tak niby kochali, a pies oto—wisi.

— Rzec inszo kochanie, a straf płacić inszo rzec.

Czyli, gdzie się poczyną ofiara, tam się kończy kochanie.

Jak bywa u ludzi i uczonych, i możnych.

Jak bywa w rodzinie, jak bywa — z ojczyzną.

\* \* \*

Niedługo chłop czekał — na drugie.

Bo gdy jesień już zeszła, a z nią jakoś przygasły ludzkie nadzieje — do wiosny, zaś upór zaciął się w nim, jak ta siekiera w twardą, smolną karpinę,

co to ani wytargnąć, — jakoś o tym czasie, kiedy po bocznych drożynach pociągnęły pierwsze gromadki do Warszawy z mąką, a po chałupach gęsto siadły patrole, u Kurkowych rozbitych opłotków zjawił się człowiek w wielkich, kutych buciskach, ręce jakby mu wrosły w kieszenie, w zębach memlał cygaro.

I kiwnął mu głową, ale czapki nie ruszył.

— Na... dobry wieczór!

Spojrzał wokoło, jakby po swoim obejściu, i cygaro w gębie obrócił.

— Fajno was tutaj ten Rusek obrządził.

Chłop spojrzał z podoba.

— A niby — i cóż?

Przewalając się z nogi na nogę niezdarnie, jakby w nim kolan nie było, do chałupy gość podszedł i głową ku niej poruszył:

— Rychtujecie, widzę, do zimy. Nie musita, ale robotę stoic' ostawić.

— A drzewo, to niby — skąd?

Roześmiał się tamten, ku lasom:

— Drzewa w tym landzie przecie mata—po zęby.

— Tośwa mieli — wiadomo, ale tera trza kupać.

— Na... inaczej, ale, nie idzie. Kto nie ma, ten płaci.

Chłop niecierpliwie się ruszył, jakby go kto w miejsce bolące uraził. Jakby pierwszy raz słyszał o prawach własności.

Tedy rzekł twardo:

— Ja ta płacił nie będę.

— Zaś kto za was?

— A ten, co me ukrzywdził.



I dodał po chwili:

— Niech ino wróci.

Wnet jednak sięgnął do czapki, pomiarkował: źle! Ów zaś prędko zagadał, jakby zatłukł cepami, raz koło razu:

— Tu potrzebna wacha. I albo, albo: musita stąd tutaj precz, albo za pięć dni dom ładnie do porządku przynieść, i wtedy możeta ostać na zadku.

I tyle go było, zaś chłop głowę zwiesił; już było mu jedno. Ocknął się jednak z żałości i splunął.

— Ano i dobra! albo, i albo. A wkońcu jeszcze ze mnie się naśmiał. Możeta mieszkać — powiada... i gdzie...

Ale trzy dni jeszcze nie wyszło, kiedy, pokasłując, wdychając, że to na piersi falował, stary sołtys Kotyra już przywędrował, gdzie mu z gminy kazali.

— Pochwalony...

— Na wieki...

Sięgnął w zanadrze po papier, strzepnął i zdala go od oczów odsunął.

Do posiedziciela gruntu

Antona Kurek

we wsi Kłodzie

zwolna pracowicie przeczytał i dodał, jakby stwierdzając pewność niezbitą:

— Pismo okazuje, że do waszej osoby.

Chłop jednak ręce za siebie założył, bał się wogóle papieru, jak ognia.

— Jo-ta niegramotny... jo-ta nic nie wiem.

Stary głową pokiwał, jakby to wszystko wiele razy już widział, rozumiał.

— Nie pomoże штука. Brać nie brać, zawdy wyjdzie na jedno. I zawdy — na gorsze.

List położył na przyźbie, powlókł się z obejścia, wykasłał, wymęczył, a gdy mu nieco ulżyło, jeszcze od drogi zawrócił.

— Bo na to niby wychodzi, żeśta się, kumie, zawzieni. A tu trza kupić byle obladerków i gliną uklepać, zaś paliki związać do kupy, cóżta wyniesie i — poszyć. Zawdy, jakby nie było, zimę przetrzyma... — Zamyślił się chwilę i szepnął: — Do zwiesny... Nasz przecie idzie — słyszita... Sprawiedliwie wam mówię? — powiedzta? Bo przecie jak german chałupę obrzodzi, to ją weźmie za swoją i z grontem.

Ale chłop jedno:

— Ja-ta płacił nie bede.

— No i jakże zbudujecie chałupsko? Kiej tera inny cały porządek...

— Panowie do lasu uciekły, a ja ostał przy lesie...

Nieustepliwy był sołtys, ano chciał coś rzec na to.

— Bo to, widzita, nie rozum... — Ale tu go kaszel znów porwał za piersi i targał, jak ten wiatr, kiedy z drogi starą szmatę podniesie i nią się zabawia.

Zgniewał się stary, cisnął rękami i poszedł.

Chłop deptał chwilę i w sobie coś dławił, na tem jednak stanęło, że trzeba papier przeczytać.

Węc wypadł na drogę:

— Ko--otyra! Ko--ootyra!



— Ahu! Ahu! aha, ha, — ho — he! — już szło z dalekości.

Tedy odwrócił się chłop i własnej chałupie jął grozić:

— Już ja cię obrządę, poczekaj!...

\* \* \*

Od kościoła po wieś legł spłachem szerokim szczerk umęczony, redlinami pocięty, a na nim rzędami, jakby bólem skręcona, nać rodnych krzaków, wcześniej w tym roku przywiedła, od zarazy szczeniała.

Długo naradzała się wieś, zwlekał naród z kopaniem, bo niepewny los, zaś każdy coś innego prawil: tamten widział, ten słyszał i drugiemu coś radził, sam zaś bezradnie nie poczynął nic, aż wreszcie w zimne mgły otuliło się niebo, ruszył od północy wiatr, w serca ludzkie niepokojem uderzył.

Ten i ów zwlekał jeszcze dzień, dwa, nasłuchiwał, wyglądał, jakby się ciągle jakiejś losów odmiany spodziewał, aż oto przyszli zdaleka podróżni...

— Ani chybi, na wiosnę... nasz wróci.

Wkońcu upewniła się wieś, że w pracy nie będzie miała przeszkody, a właśnie czas był ostatni.

Wyroili się ludzie gromadnie na pole.

Aż uśmiechnęło się słońce przez mgły, a w duszach już radość zagrała. A gdy stara Kostrzewina, wdowa, przodownica dawna, ugięła spódnic i już z motyką żwawo przez redliny szła, wnet poczęli sobie przychwalać, na czym zagonie dorodniejszy

plon — jak co roku, jak zawsze, i ktoś tam już śpiewał, ktoś do śmiechu rzekł, i rozchichotała się owdzie dziewczucha, jak ta młoda żrebica... Aż ruszyła praca, zakipiała wnet, tylko stary Kotyra, otulony w kożuch, przysiadł sobie u wozu i czekał, aż się z rannej febry otrząchnie.

A za polem, szerokie kolisko, całe w złocie jesieni: młode, śmigłe brzoźeczki, podszyte jakby ciemnym haftem ornatu świerków zielenią; dalej, przez łąkę zrudziałą, struga się wije, zrzadka blaskiem uderzy, ucieka.

Wojna, nie wojna — nie odmieni nic.

W cichości pochylili się ludzie, zrzadka dźwięknie o kamień motyka, gęsto pada plon.

Gdy wtem chłopak, co przy robocie, ale patrzy po stronach, zerwał się nagle:

— Pali się! Ludzie!

W mig sprostowały się krzyże, przysłonili oczy od słońca.

— Poli się! poli!...

Zakotłowało się kupą, skłębiły barwy, i wrzask... jakby garścią kto cisnął, rozsypały dzieciaki, za nimi szmaty i chusty, krzyk, lament; zakurzyło się pole i już parła gromada, od kościoła gnał dzwon.

Stary Kotyra za narodem się włókł i tak sobie ważył:

— Chłop z chłopą kwardy, ten Kurek, nie odłupie go German. Ale... czy, aby ino z tego zawziątku rozumem nie chybił?



Barwistym kłębem w obejście spadł lud, otuliły go dymy.

\* \* \*

Jakże ratować, kiedy pół koronki nie wyszło— zgorzała chata docna. Poszukali ludziska w popiele, czy się jakie żelazko, czy coś z domowego pożytku nie znajdzie. Niewiele naleźli, rozeszli w cichości. Bo niby nie taki znów wielki ambaras, kiej się cudza spali chałupa.

Ale niedługo pono Kurka w lasach widzieli. Trudno się z nim było dogadać, bo tyle jedno wciąż prawil:

— Taki drzewa nie kupie — nie kupie.

— A kiej do wsi powróci, nie gadał?

— Na wiosnę wróci — powiada.

I powlokło się życie, chłopskie życie, pod zimę. Z jedną w sercu tęsknotą, z jedną w duszy nadzieją:

— Na wiosnę... Niech ino pług ruszy... niech ino słoneczko...

U M E T Y



Attention!

Człowiek dał znak, zaszamotały się konie i wyrwały pędem.

— Ça y est! — wykrzyknął starter, a w tejże chwili dzwonek na szczycie trybun uderzył.

— Parti! — przeleciało po tłumie i — cisza.

Konie sadziły skokiem nierównym, rychło jednak naprężonym cugłom głowy poddały, wydłużyły giętkie swe ciała, i suną. Jeźdźcy takt pochwycili, a stojąc w krótkich strzemionach, przygięli się nieco, i już tak zostali, jakby do kłębów końskich przyrośli.

Gnają — wicher za nimi, wokół tłum ludzi, a w tłumie serce przy sercu, i każde łomocze. Myśli i oczy biegną za tą zwartą ławą szkap, sadzących z zapalem i mocą, niby Hipocentaury za leśnych Najad gromadą.

Hipocentaury w trykotach, na cztery nogi okuci, o tak płochych rozrywkach nie myślą, bo inne ich cele. Wiedzą oni wreszcie i o tem, że lasów boginki na paryskie bulwary wyniosły się dawno, a choć drapieżnych nie zatraciły instynktów, dawnej bojaźni pozbyły zupełnie. To jedno z prawspomnień w ich duszach zostało, że marzą o tym bogu swawolnym, co w deszcz złoty się zmienił.



— Zeszlij i na nas swych uczuć ulewę, cudnej Darnae kochanku!

Oto i one, rozparte w break'ach, coach'ach i czerwonych mail'ach, z psiami karzełkami na rękach, panie ze świata i jego większej połowy, a tak dziwnie do siebie podobne, że mylą się ludzie, gdyż równie zawodna wielkiej damy zuchwała swoboda, jak wytworna powściągliwość tej drugiej.

Przy paniach gentlemani z twarzami oszustów, i częściej oszuści z pozorami panów — wielkie międzynarodowe gwiazdy klubów i turf'ów, światowcy, nieskalani pospolitą kradzieżą w złym tonie... Obok nich anemiczna pełnej krwi młodzież i ci, urodzeni za szafą sklepową, dziedzice milionów, drwiący ze starych rodów zawistnie, i inni, bez nazwiska, bez sklepu, bez obiadu często, zawsze trzymający się klamki pańskich powozów, i wreszcie najmłodszy, z rozpaczą nudy na bezmyślnych twarzach, bankruci sił i młodości, co już nic stracić nie mogą — prócz złota. I patrzą zdechłaczki w plecty otulone, patrzą na maj, życie i słońce i — nudzą się, ciskając z wysokości szarabanu przechodzącym pięknościami blade, wymęczone dowcipy.

A one ciągną po torze, zdobne w barwy tak miękkie, harmonijne, jakgdyby każdą stroiła przyroda, jak stroi ptaki, motyle i kwiaty.

Jasne falujące pióra, mgły złoto-szarych koronek, blaski kamieni, suknie jak kwietne kielichy, na których osiadł lekki pyłek koloru, inne znów w barwach mocne, gorące jak pasy zachodu, a tam znów

czarność ponura a świetna: dzęty, koronki, pióro olbrzymie, a pod niem oczy płomienne. Z poza ust rozchylonych, w cudnym zębów szeregu — pokusa, zdolna umysł zamroczyć najzuchwalszemu z pijaków miłości, a zawsze oszukać młode serce wierzące.

Oszukać, bo w tem siła i cel, ale z chwilą, gdy w tych oczach jarzących serdeczne uczucie kłamliwe blaski zagasi, gdy przez malowany uśmiech lży szczere popłyną... wszystko dla niego — gdy szepną usta drżące ze szczęścia — to klęska.

Un sale métier — ta miłość prawdziwa!

— O, to gorsze od ospy... — śmieje się słoneczna blondynka, otulona w lekkie mgły seledynowej materji. — Ale któż się teraz kocha naprawdę? To było dobre za małego kaprała, wreszcie za drugiego cesarstwa. Wtedy król kochał, a dzisiaj chłopiec ze sklepiku, i ten chce być oszukiwanym, jak wielcy panowie. To mu pochlebia.

— Jakże to?

— Co podoba się jemu, podoba się i drugim...

Tuż przy barjerze mignęły czerwone, rozdęte chrapy, zamigotał żokiej plamą niebieską, obok przeżony łeb koński, tam żółta czapka zabłysła — zwarta gromada koni przesunęła pędem i skryła się za falą nierównego toru. Chwila — i już woddali na ciepłym, szarem tle krajobrazu ukazały się znów w pełni powietrza i słońca jaskrawe postacie i jakby pod ziemię zapadły, aż gdzieś daleko znów błysnęły złotem końskie kadłuby, gdy na mgnienie



oka w powietrzu zawisły, nad przeszkodą wzniezione.

Wtedy z gromady oderwał się czerwony punkt jeden i sunął. Na trybunach szmer głosów się podniósł, poniżej tłum zawył, zakotłował się, a z pędzącej masy znowu odprysnął błysk kolorowy, zrównał się z pierwszym, i chwilę tak trwali przy sobie, a wrzask całe pole przeleciał:

— „Voltaire“, „Voltaire!“

— „Massena“, „Massena!“ — odpowiedziało mu echo.

I nagle wydarł się trzeci.

— „R-roland!“ — jak piorun huknęły głosy.

A konie już wyciągnęły się sznurem, sznur rwie się chwilami, znów łączy, i znów jakby zwija, lecz jego początek, głowa wyścigu, serce tłumu całego, to „Roland“ złoto-gniady“. Biały jeździec na nim prawie że klęczy na siodle, mały i drobny, a zda się, że ciska koniem-olbrzymem, na przeszkody go rzuca: jedną przesadził, już drugą, jeszcze na niej chróść się kołysze, a on już daleko i rwie, rwie przestrzeń przed sobą.

Za nim klębi się zgraja, a on jeszcze szerokiemi susami naprzód się wydarł; już krzyk: „bravo!“ jako zwycięzcę go wita, gdy nagle — do przeszkody dopadły dwa konie; jednocześnie do skoku się spięły, i jednocześnie jak dwa kurki spadły. Huk grzmotu, ryk, wycie, lecz oto czerwony jeździec wparł w złote boki wierzchowca dwa krótkie błyski, minął „Ro-

landa“ i gna aż do zdechu, czy do zwycięstwa. Tłum ciśnie się, jęczy, lka:

— „Xiphias“, „Xiphias“... o—oo, „Xiphias“.

A w ciżbie słania się dziewczyna. Rękę kurczowo zacisnęła na piersi, w ramiona towarzyszki się chyli.

— On, on!...

— Tak, tak, ale uspokój się... Ludzie...

— On pierwszy, on mój!... Jakże go kocham, jak kocham!

— Ależ uspokój się, dziecko... Niewiadomo jeszcze, jak płacić będą za niego.

— Ja nic, nic nie chcę. Wszystko, wszystko dla niego. On wielki! — i gonia oczy dziewczyny za jeźdźcem, a ręka ciśnie serce bijące.

I jeszcze jedna tylko przeszkoda, i „Xiphias“ — tout seul — tłum ryczy, a koń zwycięski sady miękko, równo, szeroko, jeździec poddaje mu cugli, pewnie, zimno, na ostatnią faszynę prowadzi spokojny, ani chrapu, ani tętentu już za sobą nie słyszy. Jeszcze dwa susy, koń uszy nastawił, przygiął się jeździec do kłębu.

— Houp là — i potężny „Xiphias“ wspiał się do skoku, już zawisł i... padł na kolana.

Czerwony kłębek dziwnie powoli stoczył się z niego, koń zerwał się, runął... Jakiś głuchy pojęk się rozległ, chrzęst przykry, charczenie...

— „Roland!“ „Roland!“ — huragan głosów witał zwycięzcę u mety.



Do leżącego bez ruchu, wtłoczonego w murawę, podbiegli ludzie, podnieśli go: ciążył do ziemi, bezwładnie, długie stopy, zwrócone do środka, kołysały się, nie szukając oparcia, a blada, gładka twarz zwisała. Zjawił się doktor, potrząsnął nim, serca poszukał, potem w oczy mu zajrzał.

— U mety...

Wcisnęli czerwoną czapkę na głowę, ktoś krzyknął o nosze.

— Szkoda człowieka. W zeszłym roku wziął Derby...

— Ja tam nigdy do niego zaufania nie miałem... Ale szkoda, bo dziśby ładnie płacili za chłopca...

Ktoś go odwrócił twarzą do słońca, zgięte nogi sprostował i strzepnął atłasowe ubranie:

— No, i marsz, niedołęgo!

A gdzieś tam w gromadzie ślania się dziewczyna, rwie stanik na piersiach, szarpie włosy, rozpacza:

— Za miłość moją, za wierność... O Boże!...

— Uspokój się... Trudno, nieszczęście...

— Tak go kochałam, i jego jednego... Ja oszaleję... Wszystko, wszystko poświęciłam dla tego człowieka, a on? On...

Pęk zmiętych totalizatorowych biletów gnieść, szarpać poczęła:

— Podły, zdrajca, niezdara... A tak mu wierzyłam, tak mu ufałam!

W bezsilnej wściekłości deptała kolorowe płatki.

— O podły, podły!...

Aż wyczerpana, zmęczona osunęła się na trawę i gwałtownym płaczem wybuchła.

A za chwilę starter dał znak, zaszamotały się konie i wyrwały pęder

Nie zastanawia się życie..



## Z BOŻEJ ŁASKI



Do pracowni szkoły sztuk pięknych, głośno stukając butami, wszedł Józef Chlust z pod Łowicza. Od stalug ten i ów głowę odwrócił i spojrzał ku tej wielkiej, niezdarnej postaci, z którą, zda się, wsi mocny powiew — zapach stajenny, zawitał.

Chlust, rosły, rudawy, o twarzy sennej, bezmyślnej, ponuro zebranych zmierzył, potem po stalugi ruszył, powlókł je za sobą, z grzmiotem w oddalonym kącie ustawił, w pozującą zmęczoną dziewczynę się wpatrzył i — splunął wyraziście.

Szmer po pracowni przeleciał, zdziwieni spojrzeli uczniowie, a Staś Krasnohorski, ładny, rasowy chłopiec, odezwał się głośno:

— Tu akademja, mój pa-panie, nie stodoła...

Chlust drgnął, zbliżył się i, pochylając, w same oczy mu zajrzał:

— Czego?

— N-nic...

— N-o!... — mruknął, ku stalugom się zwrócił i już szybkimi, pewnymi ruchami postać modelki na papierze znaczył.

— Majster! — błysnęło w myślach kolegów.

Chlust „stawiał“ figurę, węgiel pryskał mu w palcach, kruszył się, on kłął wtedy, a dalej rysował, nie zwracając uwagi, że teraz już wszystkie spojrzenia na sobie zatrzymał. Widoczna śmiałość linji,



pewność siebie przy pracy, budziły podziw w zebranych.

— Cham, ale — rysuje... Co? — szepnął ktoś do sąsiada.

— Talent... Samouk...

Ale, widać, rozmyślił się jakoś, bo znów powlókł stalugi, zmiażdżył papier i do kieszeni wcisnął, potem pudełko otworzył, kilka barw na palecie zabłysło. Szerokim, a miękkim ruchem malować począł.

Cisza zaległa w pracowni, a w ciszy tylko serca kołaczą, myśl wrażliwa pracuje: co lepsze... rysunek czy kolor? Bo że siła być musi, ruch szczery, to pewne, to czuje się przecie.

A Chlust już zlekka, to z mocą, pendzlem płótna dotyka, oddala się od stalug, i oczy mruży, i znowu ledwo że muska swą pracę, aż dziw, skąd w tych wielkich, czerwonych łapach bierze się to wycucie, skąd w duszy prostaczki ta łaska... Łaska to Boża, a za jej sprawą i kowal wioskowy misterną koronkę wyczaruje z żelaza.

— Tak, łaska Boża... — przelatuje przez myśli, a w młodych sercach ciche zawiści powstają, walczą z uznaniem, miłością dla tego, co piękne, co z tej łaski, z talentu się rodzi.

Uderzyła godzina i ruszyli wszyscy jedną siłą porwani: zobaczyć! Chlust szerokimi barami kął ze swoją pracą zagroził, błysnął złemi oczyma:

— Czego?

— Nic...

— No-o!... — Szarpnął płótno ze stalug, otaczająca

go ciżbę rozgarnął i, stukając podkowami, wyszedł. Smutne, zawiedzione twarze za sobą zostawił, ale w myślach tem większe uwielbienie, cześć dla talentu, co silny, zuchwały, mdłą uprzejmością pogardza.

Ale wnet zaszumiało w pracowni:

— Technika, co?

— Co technika! Dusza, prostota, rysunek!

— Widziałeś choć trochę?

— Poco? Mydlarz niech wacha obrazy, niech je lornetuje, a ja mam przeczucia i to mi wystarcza. Ręczę wam, że linja to Hogart, a siła naszego starego!

— Tak, tak... Ale kolor?

— Spojrzałem na paletę to dosyć, i ja wam dziś mówię, że takiego, tu u nas, jeszcze nie było.

— A plastyk?

— Ja myślę... Widziałeś, jak oczy mrużył, modela żywcem jadł...

— Talent — psiakrew!

Rozeszli się, a każdemu myśl w głowie zasiadła:

— Takim być, tak czuć, tak rozumieć!

I pomknęła wieczorem po kawiarniach wieść lotna o synu chłopca z pod Łowicza, o Chluście, co czerzy stypendja bierze, ale rysuje, jak sam Holbein, a kolor... kiej Tycjan: Chlust świeższy!

Minęły dwa tygodnie, i całe miasto wiedziało o samouku genialnym, bo oto dziennik poczytny z ciepłych słów wzmiankę o nim zamieścił, kończąc a capite:

Cześć ludowi naszemu! W nim odrodzenie!



Choć tym sposobem talent artysty stał się już dobrem społecznym, a promienna droga sławy otwartą mu była, trwał on jednak w dawnej skromności, pracował ciągle w tym samym kącie i, osłonięty tajemnicą nimbem, dzieła swoje krył przed okiem ludzkim, z brutalną godnością. Obok niego przesuwali się codziennie smutne twarze, trawione gorączką wiedzy nigdy niedościgłej, zmęczone głodną troską postacie, i młodzi zuchwalcy, drwiący z przeszkód, jakie życie im stawia, a on zawsze zimny, spokojny, odrzucał korzystne prace, gardził pieniędźmi i rósł ponad szary, ubogi tłumek malarski. Ten i ów z mizernych, zawistnych przebąkiwał niekiedy, że Chlust nie wypowiedział się jeszcze, że nikt prac jego nie widział, patrzono na niego wtedy z pogardą, jak się patrzy na ludzi, co ponad proch ziemny zaledwo wyrosli, a marną odurzeni zazdrością, chcą stawiać zapory na drodze olbrzymów...

— Poczekajcie, pokaże on kły i pazury, zgnebi padalców!...

I oto nadeszła chwila nareszcie, w której talent miał zajaśnieć tym blaskiem, co sowie oczy nikczemne oślepia na zawsze, z serc zawieść wypala — żądło bezsilne.

Ogłoszono konkurs na freski w kościele. Chlust stanął.

Nie mówił o tem nic wprawdzie, bo przecie on wogóle nic nigdy nie mówił, cóż się jednak przed przenikliwością malarską ukryje?

— My wiemy, a skąd wiemy, co komu do tego?

— i drwili z tych, którzy Botticellemu, Rafaelowi sławy zazdroszczą, a dzisiaj z Chlustem pragną się mierzyć.

— Buchalterzy, pacykarze, trąd sztuki polskiej...

Zbliżył się dzień upragniony, przyszła chwila uroczysta, i świat malarski, rzeźba, literatura, czekały sercem zamarłem wyroku. Aż nadeszła wiadomość, potwierdził ją dziennik, zdarty w jednej chwili na strzępy, ale niepotrzebny był wcale, bo już w miescie, od krańca do krańca, huczał głos jeden:

— Chlust nie wziął nagrody!

— Dlaczego? — wtórował mu pomruk zły, podejrzliwy.

— Dlaczego? Dlaczego? Wycofał swoje prace, więc nie mógł otrzymać nagrody — dlatego.

— A-h-a!... Intryga w komitecie, koteryjki, wzajemne adoracje. Chlust mądra sztuka, przeczuł chłopskim rozumem...

— Ale jaki taktowny...

— Dzielnie się spisał!

A Chlust zimny, niewzruszony, ramionami poruszył, obfity obiad pilzneńskim już zapił, o przeszłości duma, jak to za lubem chadzał bydelkiem, i wiatraczki strugał, a rzeźbił i jak przyszedł pan dobry, znudzony...

— Hej, galante portczyńska mi sprawił, hej, kurtę, ino, że uczyć się kazał... — do myśli się uśmiecha laureat niedoszły.

To jedyna troska, bo poza nią dobrze mu dzisiaj,



wesoło: ma przecie talent, stypendja, i całą czere-  
dę tych głodnych, wierzących, co krzyczą:

— Dobrze że cofnął... On teraz dopiero pokaże!

Nic nie pokazał, bo poco?... Opromieniony sławą,  
ciągle otoczony tajemnicy zazdrośnej urokiem, sam  
już w siłę swoją uwierzył, i jak inni — mali-wielcy,  
zasłużonymi jął gardzić.

Uśmiechał się lekceważąco, gdy o starych malar-  
zach mówiono, drwił w myślach ze szczerých unie-  
sień i pracy ofiarnej, ale w rozmowy nigdy się nie  
wdawał. „Ja zrobię, i wtedy pokażę!“ — obiecywał  
niekiedy, ale pracownię swoją, jak i dawniej, przed  
ciekawymi zamykał, kto jednak w Józefa Chlusta  
uwierzył, tego bliski triumf już czekał...

A choć proste to były środki, co go do sławy przy-  
wiodły, choć nikt dotąd powiedzieć nie umiał, dla-  
czego, Chlust właśnie, ma stać się sztuki polskiej  
ozdobą, jednak zawsze wiara w niego była tak wiel-  
ką, że jeszcze po roku oczekiwania na dzieło, gdy  
gromadka spóźnionych malarzy ujrzała nocą świa-  
telko w Chlustowej pracowni, zatrzymali się wszy-  
scy, i jedno wielkie westchnienie pobiegło w tę stro-  
nę, gdzie mistrz Józef...

— Jakiś kapitalny nastrój maluje przy świecy! —  
szepnął głos jeden.

— Kata-akumby... — czknął drugi, o latarnię się  
oparł, oczy wzniosł wgórę.

— Widziałeś?

— Zawsze to głupie „widziałeś?“ Widziałem!  
Studja ba-ajeczne! — Ręką szeroko ogarnął, na no-

gach się rozparł. — Widziałem: ciżba, tłok, podzie-  
mia, kaganki, wojsko, chłód, zimne blaski, same re-  
fleksy, ale kolor, ko-olor, i siła okrutna!... Widzia-  
łem... — improwizował pijany sztuki apostoł.

— I co my warci wobec niego jesteśmy? pytam  
się, panowie? — bełkotał drugi. — Co warci?

Porwał za mizerną pelerynkę bladego towarzy-  
sza i szarpał...

— Co warci? Pył, miazmaty, nic...

— Nic, nic! — wtórowali mu inni. — On Europe  
zadziwi... E-europe, A-azję, Amer... A mer - Pi-  
con... Zdrowie Chlusta, panowie!

— Niech żyje nam! Niech żyje nam! — aż zbu-  
dzony mistrz głowę przez okno wychylił.

— Czego? — zaryczał, godowników rozpedził.

W świat nagle pojechał. Teraz pokaże... Czeka-  
no, aż nadszedł znowu dzień upragniony. Mistrz  
wypowiedział się wreszcie, duszę wyśpiewał, moc  
ducha zaklął w potężnym rysunku, uczucie w cu-  
downych barwach, głębokich, tajemniczych jak du-  
sza artysty.

Tak, to był Chlust, cały on, w tym obrazie.

— „Widzenie w Colosseum...“ „Widzenie w Co-  
losseum!“ — huczało po mieście, a przed pięknem  
dziełem malarza tłumy w zastanowieniu i podziwie  
trwały. „Widzenie w Colosseum“ szeptali przejęci  
artyści, i w niemem skupieniu stali zapatrzeni przed  
plótnem, chłonąc w duszę wrażliwą barwnej harmo-  
nii tajemnicę.



— Chlust pinxit... Nasz Chlust z pod Łowicza. Pojechał do Rzymu, i patrzcie, i... — tak się maluje...

Dobra, wierząca rzesza malarska patrzy ze łzami. Zawiść uciekła, duma tylko pierś wznosi, ale w nikczemnych mózgach prostaczych, w podejrzliwych myślach filistrów tłucze się ciągle pytanie:

— Chlust, Chlust, a przecie podpisane Bell-Jurez?

O ciemny, zły motłochu, „co jak skorpion własnym zatruwa się jadem!“, o marna zgajo, niszcząca chwilę zachwyty obuchem własnej podłości! — toć jasne przecie, że Bell-Jurez — pseudonim, on was może oszuka, ale my w każdym calu Chlusta widzimy.

Ta siła obok miękkich półtonów, chłód wobec blasków gorących, sok, technika — rzeźba.... Tylko on jeden tak modelował, on jeden czuł kolor, szarość naszego pejzażu i włoską jasność rozumiał, bo on od dziecka małego kwiatami łąk naszych siwe oczy pieścił, ponure głębie wód naszych ukochał.

— Ale dlaczego Bell-Jurez? — pytają znowu mydlarze.

Dociekanie pospólstwa nie gasi płomienia zachwyty w duszach artystów; oni wiedzą, że Chlust i Bell-Jurez to jedno, ich przeczuć i przenikliwości nie oszuka ten wymyślny pseudonim, i korespondencja z Madrytu — podstęp taki prosty, naiwny, jak dusza tego szczerzego dziecka — siłacza. A chcecie? — są i dowody — rzucimy wam w twarz.

— Taki wąty, błądy człowiek, kto się po nim

mógł tyle siły spodziewać... — szepnął pewnego dnia gość jakiś ze świata, a śmiechem parsknęli Chlustowi koledzy.

— Co proszę? Kto wąty? Kto błądy?

— Bell-Jurez przecie, znam go doskonale z Hiszpanji. Taki czarny, suchy, w oczach płomienie...

Odpowiedziano mu wtedy z pogardliwą godnością:

— Pański Bell-Jurez nie był Bell-Jurez. Prawdziwy Bell-Jurez Józef Chlust się nazywa, i nie mógł być czarny i suchy, bo jest blondyn i tęgi. Tak, panie, a jeżeli pan—tego, oto karta moja i—s e r v u s...

Życiem wiary broniono, a mówią, że ją tak trudno u ludzi pozyskać...

I znowu rok minał, i drugi; obraz dawno w świat poszedł, na wstyd kraju całego, że kupić go za co nie było. Bell-Jurez zniknął ze wspomnień, kilka szczerych talentów przeszło przez szkołę: ten zmarł, ów rozpił się z żalu, a tamten z głodu gdzieś przymarł, dawno zapomniani. Było złe, dobre — przebrzmiało, Chlust jeden trwał tylko w pamięci.

— Co się z nim stało? Taki przecie nie zginął? — mówili starsi, wspominali go, z dumą, po latach.

— Tak, to malarz był duży—prawiono—to pan był, co czuł i rozumiał, a chociaż właściwie w tem jego „Widzeniu“, tak między nami, te dalsze plany były trochę puszczane, no i powietrza za mało, a i rysunek nie wszędzie, przy trochę szarym kolorku, i akademickiej kompozycji. zawsze to obraz był kapital-



ny, i takiego już dzisiaj nikt z młodych.... Gdzie im do Chlusta, pendzlarzom, obraźnikom sprzedajnym, „Zachęty“ sutenerom! Gdzie im do Chlusta, co może z nędzy gdzie zmarniał, bo dumna była figura: sztuka dla sztuki... Nie młode bractwo od zachodów i brzózek.

Tak gwarzyli starzy malarze „pod Matką Boską“, przy bombie ciemnego, wspominając dni przeszłych zapałów, dni młodej wiary uniesień, chwile dawnych żalów, zawodów, radości i — głodu, aż zjawił się, pewnego dnia, Chlust między nimi.

Pewny siebie, bogato odziany, złoto na brzuchu, pogoda na czole:

— Jak się macie, łapciuchy!

Rzucili mu się na szyję, ciesząc się szczerze, ścisnęli serdecznie.

— Jest nasz pocziwy Chluścisko, nasz zacny...

— Jakże ci idzie? Mina magnacka i złoto. Chwała Bogu, choć jeden się czegoś dorobił przy sztuce...

Chlust strzyknął śliną przez zęby, ręce w kieszenie wparł, zaśmiał się zdrowo.

— Ano, niezgorzej mi poszło... Piwo pijeta, bo po co gębę po próżnicy strzepić.

— Ma styl, ma jak dawniej, a my pijemy jak zawsze, gdy żal się zalewa. Ale jakże ci idzie? Ze świata powracasz, o sztuce gadaj! Dobrześ zrobił, żeś uciekł od naszego bydelka.

— Na bydlę nie trza wam gadać, jedno bydlę co macie pocziwe. Ano tulało się po świecie, było się i, Boże odpuść, malarzem, i ty! cukiernikiem, potem,

musieliście słyszeć, kantor służby otworzyłem na siebie, aż z Bożej łaski uciułało się trochę i jestem... Placu se szukam...

— Wystawa? Secesja! Tu cię poznajemy... Ślicznie!

— Wystawa!... Nacóż to komu? Roboty nam potrzeba, nie głupstwa! Mięśne przeroby, zakład wam wystawię fajny, będzie na co popatrzeć... jak w Ameryce... — ciesza się chłopaki.

Tyle szczerości biło z tych słów prostych, że tylko zdziwienie rozwarło żrenice dawnych kolegów, cisza zaległa, aż po chwili wybelkotał z nich jeden:

— A sztuka?! Ideały? A Bell-Jurez „Widzenie w Colosseum?“

— Jaki tam jura, funta kłaków niewarte to zagraniczne gadanie.... Piwo pijeta?

I pili, aż o świtanu, gdy Chlust głowę już zwiesił, odymając twarz czerwoną, spotniałą, rozczulił się stary malarz, i jasna łza, do „z rumem trzęsionej“ mu spadła.

— Tak się u nas marnują talenty, tak łaska Boża...

— Tak... — westchnął drugi głęboko. — Zagryzła go krytyczka, zmarnowali koledzy, publiczność, zmora bezdusznia. Hej, Chlust, taki człowiek, taki artysta, i co z niego zrobili?

Chlust głowę podniósł, blade, mętne oczy w nich wlepił:

— Nie jestem żaden artysta, bo uczciwie na chleb pracuję, fachu się swojego nie wstydzę, a do bydlę



zawsze serce mię ciągnęło, nie do waszych durnych secesjów — do grzechów malowanych...

— Spaczyli myśli, zbrukali tę duszę piękną, a prostą. Oj ludzie, ludzie!...

— Niema co wyrzekać, zarobicie i wy przy mnie. Portret starej każe malować, litery mi drugi na znaku odrobi. Byle bez figlów, wywijasów, a pod sztrych, równo, to się i dla was znajdzie robota. Zapłacę sprawiedliwie... wiadomo...

Westchnął, senną głowę pochylił.

Już chrapał.

## ZA CZEŚĆ ZAGRODY



Mieszkał w beczcze — solówce, pokrytej chróstem. Żywot pędził równie umiarkowany, jak starożytny pierwowzór lokatora tego rodzaju — filozofem był także i kochał słońce.

Z rodziny ubogiej, a uczciwej, oddany wcześniej na pastwę głodu i chłodu, wcześniej zdobył doświadczenie, jakiego uczy tak prędko twarda bieda szkoły; wcześniej też pojął życie, zrozumiał, że ginie słaby i tkliwy, zaś silny a chytry trwa w błogosławionej sytości...

Nie poządał nigdy zaszczytów, zasługi nie szukał, i rad byłby tak urządzić sobie bytu warunki, aby odbierać kijów jak najmniej, a jeść, byle głód nie skręcał wątlęgo ciała, co nie znało sytości.

Nie miał żadnych wymagań, kijów otrzymywał jednak zbyt wiele, nie ufał też ludziom, zato chętnie z psami przestawał; wierzył im jednak o tyle, o ile pragnął złudzeń na ziemi, o ile wrażliwe jego serce poządało przyjaźni, szczerości, wogóle tych uczuć, które postępowo, kultura wyżyły z myśli i serc ludzkich.

Posiadał wybitne zdolności, lecz bez jednostronnego wykształcenia fachowego, musiał przyjąć trud



ciężki, i żył jak pies, bo stał się wiernym stróżem i przyjacielem człowieka.

Żył jak pies, bo psem był z urodzenia o tak wybitnych cechach gatunku, iż nie mógł, z łatwością ludziom właściwą, zmienić skóry, uczuć, ambicji, i przedzierzgnąć się w mopsa lub pinczera, które to stworzenia, wiodąc życie bez troski, zażywają szczęśliwości obcej dla psa — wyrobnika.

Nazywał się „Cukier“, a nie znał jego słodczy, gdyby „Głód“ mu nadano, mógłby wiele powiedzieć o swoim imieniu. Człowiek często posiada w nazwisku szlachectwo, a nie wie, co ono znaczy; człowiek taki szarga niekiedy swe imię, wtedy przyjaciele, czy bliscy dodają do niego złe słowa: podły lub nikczemny...

Pies zwał się Cukier, a ludzie mówili: pies dobry...

Ale z niewiadomych rodziców zrodzony otrzymał po nich nieszczęśliwie, w krwi spadku, upodobania sportowe, tak bardzo nieliczące z jego położeniem i stanowiskiem.

Upodobania, tak właściwe tylko krwi niebieskiej dziedzicom, dowodziły niezawodnie szlachetniejszego pochodzenia, bywały jednak przyczyną niejednej ciężkiej zgryzoty psiego żywota.

Gdy był jeszcze trzpiotem lekkomyślnym, dusił nocą młode zające, ploszył zawzięcie kuropatwy, chwycił leniwe przepiórki, gonił po tatarakach podloty, a kilka śrucin, tkwiących dotąd w tej okolicy ciała, która przy ucieczce najwięcej na szwank na-

rażoną bywa, stanowiło jedyną pamiątkę chwil pierzchłych uniesień... Było to dawno, było to wtedy, gdy wiedziony przekazany krwi zapalem, postradał w zalotach część ucha i dużo kudłów burej sierści utracił... Hej, hej, jak sen zbiegły młodości porywy!... — rzekłby poeta.

Dziś, gdy zdrowy rozum zmógł płochość, a pańskich sportów, nieodpowiednich stanowisku stróża, zaniechać kazał, podeszły w lata oddał się z drobniactwem starca jedynie obowiązkom pilnowania chałupy Pęków — gospodarzy, ale i na tej placówce pozostał nie bez namietności, jakim wobec przyrodzonego temperamentu ulegać musiał.

Lubił się zapędzać za bryczką, nienawidził powozów, a patrząc na konie wierzchowe, aż skamlał z uciechy, ile to on strachu napędzi...

Jak każdy, którego cała treść życia zamknięta w obawie.

Na widok bryczki już zdaleka oznajmiał, że czuwa. Wypadał przed konie, poczem do kół wracał, a gdy na odległość, dokąd bat nie sięgnie, obszczał ją należycie, cofał się na stanowisko.

Powóz drażnił go niewypowiedzianie, rzucał się na koła, chwycił zębami, zbliżając drogę zabiegał, krążył, kotłował się w piachu, a patrząc w górę, jakby wymyślał siedzącym. U najbliższej chaty powierzał swój obowiązek oczekującemu już następcy, poczem dopiero wracał zmęczony, nakuliwając to na jedną, to na drugą nogę.

Jednak tylko widok wierzchowca wprowadzał go



w stan takiego podniecenia, jakie ludziom, zaślepionym nienawiścią, świadomość czynu odbiera, pies tłumił wszakże uczucia złości i działał rozumnie a chytrze.

Kładł się wtedy, szary, nieruchomy na piasku, a w stanowczej chwili postępował rozmaicie. Niekiedy wypadał tuż przed koniem, i wydawał jakiś dźwięk radosny, a jednocześnie płaczliwy — dźwięk o tonach wysokich, dochodzących do górnych, najwyższych w chwili, gdy spłoszony rumak zwracał na miejscu i sadił gdzieś w bok przez pole.

Czasami pozwalał przejść mu spokojnie, lecz w tejsze chwili zrywał się za nim, szczekając chrapliwiej, zajadlej i groźniej; koń wtedy sadił szczupakami, pies mu drogę zabiegał i naszczekiwał cienko a dźwięcznie.

Innym razem za kamieniem przycupnął, cichy, spokojny, nawet oczy przymykał, odwracając głowę w stronę przeciwną, dopiero gdy nienawistny odsunął się kilka kroków, biegł chyłkiem, tuż za nim. Wyciągał łeb i cofał go, w takt końskiego kroku, aż nagle, upatrzwszy odpowiednią chwilę, chwycił zębami za nogę powyżej pęciny — rzucał się w jednej chwili naprzód i radosnym głosem obwieszczał wszemu psiemu sąsiedztwu o pognębieniu tak potężnego nieprzyjaciela.

Temi sposobami zaszczepiał w koniu bojaźń przed ubogiem pokoleniem psich rodów, gęsto rozrzuconych, po chatach, wzdłuż piaszczystego traktu.

Gdy rumak już dostatecznie odczuł swą nicość,

a wiedząc o oczekującym go wrogu, zbliżał do chałupy niespokojny i, strzygąc uszami, prychał trwożliwie, wtedy Cukier stawał się wspaniałomyślnym: rozsiadłszy na środku drogi, jedno uszko zlekka nastawił i, przechylając głowę, przyglądał się koniowi obojętnie, gdy zaś ten, pobudzany przez jeźdźcę, mijał nieprzyjaciela — powstawał wtedy, a unosząc dumnie kudłaty ogonek, oddalał się wolnym, kołyszającym krokiem, boczkim zerknął jednak nieufnie, jak się też tak pognębiony przez niego ten duży zwierz zachowuje.

Z szeregu przesuwających się jeźdźców, Cukier nienawidził zwłaszcza jednego: na dużym, złotym kasztanie przebiegał on zwykle pełnym kłusem obok zagrody i ginał mu z oczów. Nienawiść wtedy ogarniała jego małe psie serce i pozbawiała dzielności, aż tak dalece, że dnia tego na widok innych koni szczeknął tylko raz, drugi, jakby zaznaczając, że widzi, groźnym być może, lecz nie chce, i powracał chmurny do obejścia. Pozorna ta łaska jednak nie świadczyła, aby zapomniał o przekazanej mu z krwią nienawiści dla zwierząt, nieposiadających określonych przez niego warunków zewnętrznego wyglądu, i dla ludzi pyszniejszych, niż jego otoczenie.

Pies pobił tylko koniowi, który był mały, chudy, ciągle w pracy z wytartymi od niej bokami, dużym hakowatym łbem, jednym słowem, koń dla niego musiał być chłopski. Człowiek zaś powinien być chmurny, w kożuchu czy białej koszuli, opasany bolesnym rzemieniem, chodzić z batem lub kosą,



pomrukiwać, wzdychać, narzekać, a gdy je chleb, powinien go krajać kozikiem, psu cisnąć mały kawalek, lecz nigdy się z psem nie bawić i pieścić, bo to obraża psią godność i powagę człowieka.

Kobieta—gospodyni powinna być pełna, jędrna, i ciągle gadająca, wolno jest jej rzucać za psem rozmaitemi twardymi przedmiotami, lecz obowiązana jest pamiętać o nim i dawać mu jeść, ale nigdy mniej ani więcej, jeno tyle, ile się patrzy... A pani Pękowa zacna to kobiecina, ona i słowo dobre dać umie:

— Naści, Cukierek, żryj, podła sobako...

Jeden ma tylko zwyczaj brzydki, którego pies uznać nie może i przyzwyczaić się nie potrafi; oto „skadina“ miła kobiecina polewa go, od czasu do czasu, wodą gorącą...

Bolesne to jest bardzo, szerść od tego wyłazi, a wtedy robactwo tnie okrutnie. Ano, cóż robić; przeznaczeniu naprzekór iść niepodobna, a życie z tem umartwieniem nawet posiada tak wiele powabów.

Zresztą przykrość tego rodzaju spotyka go raz, dwa razy na miesiąc.

Dzieci gospodarskie są bardzo rozkoszne, posiadają jednak tę wadę, że zwykle ich jest za dużo, przez co targanie za uszy jest zbyt częste, poza tem dzielnik wiktury staje się zbyt wielki, przez co iloraz kartofli z omastą, na korzyść psa, mniej znaczny. Człowiek takby obliczył, a pies tylko odczuwa.

Dzieci wogóle powinny być jasnowłose, brzuchate i trzymać w ręku kawał chleba z serem.

Ser rzecz bardzo pożywna.

Poza właścicielami czwartej chałupy, poza ich rodziną, najbliższem sąsiedztwem, nie istniały dla Cukierka organizacje wyższe. Żyje coprawda pewien gatunek stworzeń podobnych, są to jednak istoty bardzo złośliwe, wydające zapach przykry — figury pyszne, krzyczące a równie jak psy ich tchórzliwe.

Żył wtedy Cukier złość i żal do nich zato, że inni, lepsi czy gorsi, lecz inni niż jego otoczenie — żal tego rodzaju trwa i w ludzkim świecie, chociaż człowiek posiada więcej złożone zwoje mózgowe, a nawet tkliwość serdeczną.

Pies nigdy nie zaznał skutków tej cnoty z imienia, więc ludziom nie ufał, wierzył swej gospodyni i przywiązał się do niej szczerze, nie pamiętał razów. Przyzwyczaił się do nich, jak człowiek do krzywdy i troski, przez co i rzadkie dobro słodsze się zdaje.

Nie zastanawiając się, dlaczego świat, poza własną beczką i gospodarską chałupą, tak brzydkim mu się wydawał, wiódł pies życie spokojne, bez silnych wzruszeń i wybitnych wrażeń, aliści pewnego dnia słonecznego, zajęty gdzieś za stodołą badaniem treści jakichś złożonych zapachów, usłyszał nagle szybki tętent kopyt końskich.

Szczeknął w pośpiechu byle jak, i rzucił się ku ogrodzeniu, przewracając po drodze najmłodszego z dziedziców Pękowej zagrody, nie spojrzał nawet na wrzeszczącego „raka“, i wypadł na gościniec.



gdzie ujrzał gnającego całym pędem nienawistnego konia. Pogonił za nim, nagle przysiadł, rzucił się na prawo, skoczył na lewo, zawył żałośnie, naszczekał kamieniom przydrożnym i ruszył wolnym krokiem do domu. Oglądając się poza siebie, naszczekawał smutnie; gdyby miał odpowiednio urządzone torebki łzowe, płakałby niezawodnie, że jednak natura zaniedbała udoskonalenia mu przyrzadów, w których ludzie płynny żal mieszcza, szedł zmartwiony, ponury, uczuwał srogą przykrość, jaka psy dręczy tak wyraźnie w chwilach zaniedbania swych obowiązków.

Położył się u wrót udręczony i czekał... Toć przecie oni wrócić muszą, a wtedy...

— Cukier — Cukier, a pójdź ino... — zabrzmiał dźwięczny głos z chaty.

Pies znał ten głos, niby pieszczotliwy, a groźny, nie wróżył on nic dobrego, zwłaszcza, że już minęła pora obiadowa, wreszcie, o tym czasie sam pilnował chałupy, wzywany zaś był tylko na bicie.

Nie zawiodły przecucia. Twarda kijanka w silnej ręce żwawej gospodyni zaklekotała po kościach bohatera, zaczem po jeszcze boleśniejszej chwili wiązania na sznurku zaciągnięty został do beczki.

— Widzisz, tera cię uwiążę, i będziesz se siedział, żebyś mi dzieciów nie roztrącał, kołtunie powietrzny...

Tak to smutki zmieniają się w rozpacz, tak to uniesienia zmieniają się w ból, a ból w twardy sznurek niewoli. Wtedy świat piękny, świat zielony,

słoneczny, stokroć piękniejszym się zdaje, beczka straszniejsza, a sznurek nieustępliwy i twardy, jak przemoc ludzkiego rozumu.

Bo przecie dość spojrzeć, aby to wiedzieć, że smutny pies myśli.

A na gościńcu rojno i gwarno, jak nigdy: turkoczą bryczki, przemknął powóz dworski, i stangret z bata strzela wesoło, przechodził żyd z depeszą, szli żebracy, jakby na odpust, a psy jakieś obce podeszły pod same wrota i poczęły harcować, jak-gdyby jego — gospodarza zagrody nie było...

Odwracał łeb, nie patrzył na to wyraźne lekceważenie, siedział bezsilny, marny, i pisał zcicha, jakby jęcząc:

— Oj smutna, oj psia dola moja!...

Zbliżały się do niego kury, a dzwoniąc dziobami w próżną miskę, zerkwały zdziwione, co się z tym psem wesołym zrobiło... Z dachu stodółki zeskoczył biały kot domowy, spojrzął, przystanął, usiadł bliźutko, grzecznie ogonek podwinał, zrobił postać układną, jak to koty umieją, i patrzył na zgnębionego Cukierka zielonemi oczami. Powstał nagle, wygiął się, parsknął w psią stronę, jakgdyby splunął.

Przed wrota wyszła gospodyni pogwarzyć z sąsiadką, spojrzęła w kierunku psiej budy i jeszcze pogroziła pokutnikowi.

— Pockaj kudłacu!...

Cukier powiódł za nią smutnemi oczami, poruszył wystrzępionym ogonkiem, na znak, że gotów uraz nie pamiętać, gdy nagle porwał się, szarpnął, wysko-



czył w górę i począł jęczeć, przyszcze kiwać, wyć, zgoła niepsim głosem — ujrzał bowiem rzecz straszna, niepodobną do wiary.

Tuż przy wrotach stał koń nienawistny, na nim jeździec od ust ręką przesyłał gospodyni pocałunki, coś mówił potem, a ona śmiała się do niego, ujmując w boki...

Pies nie rozumiał, o czym mówią, z czego się cieszą, czuł jednak, że dzieje się straszne, niebывałe bezprawie, że dzieje się krzywda tej chacie całej, Pękom gospodarzom, a jego spotyka wielkie, niezmierzonego żalu lekceważenie.

Rzucał się, targał, dławił, aż ochrypl wkońcu, i wyczerpany, dyszący, padł jak martwy na ziemię. Ocknął się z odrętwienia dopiero o zmroku.

Gospodarz powrócił z pola i wyprzągł chuda, siwą szkapinę. Z pochylonym łbem, wolno przedstawiając zbolale nogi, powlokła się do swej komórki. Człowiek pozostał przy wozie i coś przy kołach naprawiał, schylał się, prostował i w głowę drapał, co chwila czapkę przesuwając, wreszcie splunął, zaklął i, mrucząc, do chałupy ruszył.

W obejściu stało się cicho, wiatr tylko szumił, zlekka naginając drzewka wiśniowe, w kątach podwórza odzywały się świerszcze, a zdali płynęły łagodne głosy ptaków, nocą żerujących.

Pies wyprostował się, ziewnął, usiadł, dźwiękom przysłuchiwał, i snadź smutek miał w sercu, bo nagle szczechnął raz, drugi, wyciągnął mały kudłaty pyszczek ku górze i zawył żałośliwie... Zamilkły świer-

szcze, ucichły głosy, a wiatr poniósł tę psią żalność po chatach. Za chwilę pies zajączkał znowu, i już znalazł odpowiedź współczującego smutnej doli towarzysza, głosy pobiegły dalej, z niemi łączyły się nowe, i cicha przyroda rozbrzmiała tą smutną psią skargą, której wstrząsająca rzewność niepokój do dusz ludzkich sprowadza, bez myśli o tem, że jednak źle być musi temu stworzeniu, co żal taki głosi.

Wiatr niósł echa tych jęków pod słomiane poszycia, siał w proste dusze obawy, co rosły w śmierci przeczucie.

— Oj, zemrze się komusik — zemrze...

— Dumince, albo i Agacie najpewniej...

I żegnały się pobożne gospodynie z westchnieniem, w stronę pieków zwróconem:

— Azebyśta skapiały, parsywe...

Na rudawo-zawiedłym prostokacie kartoflanego pola odcinała się barwna postać gospodyni. Przegięta do ziemi, uderzała motyką w grunt szary, piaszczysty, skąd wygrzebane kartofle rzucała z ręcznie w koszyk, stojący o kroków kilka. Opodał widniał wóz samotny.

Robota szła szybko, a że zgóry prażył skwar wielki, uciążliwą była, często też pracująca prostowała się, przeciągając białe, pełne ramiona.

— A to ci gorąc okrutny!...

Na rozesłanej obok kwiecistej chustce siedział dzieciak dwuletni, i pokrzykiwał z uciechy, ciągnąc leżącego psa za uszy; wkładał mu palce w oczy, zę-



by, lub szerść tarmosił. Pies mrużył powieki i podsuwał do zabawy części ciała mniej na dotykane wrażliwe, rozumując zapewne, że przecie młodemu obywatelowi powinno być wszystko jedno, za co go targa.

Pękowa pracowała żwawo, raz po raz spoglądała w stronę dziecka, rzucając mu słowa pieszczoty, chwilami coś szeptała do myśli swoich, aż westchnęła głośno:

— Przegniły bestyje — latoś przymokro im było. Nie przebiedujem... oj nie...

Od wąskiej ścieżki polnej rozległ się tętent i parskanie konia. Pies zerwał się gwałtownie, spojrzał w stronę odgłosów, i nagle przypadł do ziemi, jakby przytłoczony siłą wrażenia...

Zwróciła się i Pękowa, przykrywając ręką oczy od słońca, spojrzała, zaśmiała się i szybko pochyliła do pracy. Zastłoniła całą szerokością swych wdzięków dziecko i psa, żwawiej kopać poczęła.

Cukier leżał i drżał — zbliżali się sprawcy jego nieszczęść wczorajszych...

Dzielny hunter, lśniąc w słońcu złotą maścią, pędził olbrzymim kłusem, aż dźwięczała ścieżka pod siłą uderzenia stalowych nóg, wybijających takt mocny, równomierny. Już się zbliżał — już słysząc było sapiący oddech, już wąty jeździec osadzał się w siodło, hamując bieg szybki, gdy nagle z przeraźliwym skomleniem wypadł pies i rzucił się koniowi do pyska...

W mgnieniu oka koń wspiął się, tylko błysnął żół-

tawem podbrzuszem, i już pędził w szalonym biegu przez pola.

Jeździec zato pozostał, a grzebiąc się w piasku, kłął.

Chudemi nóżkami, spowitemi w fałdy angielskich breeches, poruszał delikatnie, aby możliwego nadłamania nie złamać doreszty. Po chwili się uniósł i przysiadł, patrząc w zadumaniu na szeroko rozstawione piękne lakiery.

Zdawał się nie widzieć, że nad nim tak sponiewieranym, marnym, stała Pękowa silna, pełna, krasna — śmiejąca się rzęsiście, szeroko, a echo niesło ten głos, jak rżenie klaczy mocny, aż pod siny pas lasu, i powracało, łącząc się ze świeżym, jędrnym dźwiękiem.

Aż przysiadła do ziemi, aż jej łyzy z oczów płynęły...

— O paniczku, panoczku, aż me coś zatkło. Oj, Wielmożny Panie!...

Pan wielmożny mógł wiele, ale powstać mu było trudno. Leżał więc, uśmiechał się smutnie i kwilił:

— I wy się śmiejecie jeszcze, szydzicie z uczuć mych, i poświęcenia...

— Ady Wielmożny Pan ma piachu pełną gębę, i bez to nie pojme... niech no, przez urazy pozwola...

Pochyliła się nad nim i wytarła zabłoconą twarz podółkiem, aż mu łyzy wdzięczne na oczy spłynęły.

— O i galancie!... Tera niech Wielmożny Pan przywstanie krzyne...



Wzięła go za rączyny i uniosła w górę, aż stanął.

— Boli co paniczka? — zajrzała mu w oczy z przymileniem.

— Nie boli — przy was się o bólu zapomina.

— A juści!... juści!... — cichaj, ty draniu! — zakrzyknęła na dziecko.

— Nie mów tak, kobieto, bo mi duszę rozdzierasz...

— Kiej znów pan cosik baje; bo czy to dusza je perkalowa, czy ze śmaty jaka...

Spojrzał na nią wypłowiałymi oczyma i westchnął:

— Piękna jest prostota, ale niechże będzie mniej — prosta...

Z pola powrócił pies zadyszany, utykający, a choć miał wielką ochotę zbadać gatunek kortów, okrywających wąską postać młodzieńca, usiadł opodal jednak, w obawie, że pomścił krzywdy zbyt srogo, i za chwilę usłyszy propozycję niemiłą:

— Cukier, a pódź ino!...

Siedział więc cicho, od czasu do czasu tylko na głośniejszy dźwięk głosu zakurzonego panicza pomrukiwał złowrogo, wnet się jednak miarkował i przetykał ten pomruk, wynikające stąd bulgotanie tak niepokoiło młodzieńca, że zwracał co chwila w psią stronę blade, trwożne źrenice, prowadząc wszakże w dalszym ciągu urywaną, lecz ważkiej treści rozmowę:

— A gdybym wam dał krowę?...

— Za cóżby mnie chudzinie Wielmożny Pan krowę darował?...

— Za nic, za chwilę wzajemności...

— Kiej nie miarkuję...

— No, żebyście mnie kochali...

— Niby zebym Wielmożnemu Panu do siebie zezwoliła?... Jakże to tak, kiej ja jednemu chłopu przysięgała.

— To nic nie szkodzi...

— Jakże nie szkodzi, kiej chłop je sierdzysty, a tu i widły, siekiera...

Zaśmiała się, błyskając białymi zębami, a pod nim zadrzały brzośce fałdliste. — Baba żartuje ze mnie — pomyślał.

— A gdybym dał wam dwie?

— Niby z cielokiem, i piernastkę drugą?...

— No — tak...

— Ano — zadumała się chwilę. — Chłopa się poręde.

— Broń Boże, kobieto, zrozumcie, że uczucia nasze muszą być w tajemnicy, zdala od podejrzeń ludzkich...

— Kiej pan znowu cuduje... Jo się chłopą poręde, a gadzinę niech już Wielmożny Pan przyśle...

Schyliła mu się do kolan.

Nastroszony Cukier, jakgdyby zrozumiał co się święci, oczy przymrużył i oblizał się; śmiać się inaczej nie umiał...

Zato wabiła uśmiechem Pękowa... Z poza pełnych soczystych ust, lśniąc zębów białością, słała pokusę



przesłódką w kierunku młodzieńca. Ujęła się w boki, a podając pełną pierś naprzód, wabiła go mgławem spojrzeniem.

— Jakże paniczu... Panicku miły?

On stał przy niej mały, mizerny, a silny, bo wierzył, że tą licytacją kupić ją musi, prędzej czy później. Kupi ją świeżą, i tak wdzięcznie głupią... Teraz jednak przeczuwał podstęp, bał się straty i śmieszności.

— Nie mogę tak, nie wierzę wam...

— Takie to i kochanie wasze, paniczu — niewierne.

— Kocham naprawdę, bo dam dwie krowy, w lesie zbierać pozwolę, korale kupię... Ale...

Rękę ku niej zuchwale wysunął.

— No, jakże?...

— Ej!... Ej, Wielmożny Panie, ino nie za chybko... bo zdradnie.

Oczy jej zabłyśły, zacisnęła pięści, podała się wtył, bez bojaźni. Z poza spódnicy pies zęby wyszczerzył, a dzieciak wrzask podniósł okrutny.

Drgnął zlekka młodzieniec, nie spodziewał się tak stanowczego odparcia zalotów. — Czy wogóle warto? — pomyślał, a choć piękne zęby miała Pękowa, Cukier z wyszczerzonemi kłami wstrętnym mu się wydawał. Przytem ten dzieciak, o którym nie wiedział...

Zapalił papierosa, podeptał trochę na miejscu, wreszcie uśmiechnął się z pewnością siebie:

— Zostańcie z Bogiem, gosposiu — złośnico... do jutra.

— Niech pan Bóg prowadzi... — i poszedł wąską ścieżką, dzwoniąc ostrogami; odwrócił się jeszcze i psu stick'iem pogroził.

— Porachujemy się, piesku.

Cukier mu coś przyszczechnął krótko a zjadliwie, i głowę odwrócił, jak to zwykle psy czynią, gdy im widok niemiłym się staje. Gdy odszedł kilkanaście kroków, pies począł naszczekiwać, a sądząc z wysokości tonów i zawieszenia głosu, te psie obelgi musiały być bardzo złośliwe, a mogły być przykre, gdyby je panicz rozumiał... Nie o psie jednak myślał, bo przed oczami stała piękna, dumna Pękowa, a w uszach brzmiały ponure jak wichher cmentarny słowa: a tu widły, a tu siekiera, bo chłop je sierdzisty...

— Aż wstyd, jak mało nasz lud kulturalny...

Zmierzchnęło się tymczasem i nadszedł gospodarz, prowadząc konisko.

— Jakże ci?... — spytał.

— Ano udziubałam ze dwa korcyki, maluchne to takie, o... insze wielkie, a zgnite...

— Nie daj Boże, bo coraz gorzej na świecie, a gorzej... — westchnął...

— A bez co tak, Wawrzon?...

— Bez bidę... Bez to, że człowiek nieradny, kiedy ani to nawieźć, ani narządzić. Bez to i źle, aż dojma do żywa....

Chłop zaklął, ona podolek zbliżyła do oczów.



— Może ta i Pan Jezusik będzie miał zmiłowanie, nie zabaczy bidoków...

Chłop ręką machnął.

— Nierychliwy, nie...

Zaprzągnął konia, oboje wozisko podparli — stęknęła szkapa i ruszyła noga za nogą. Dzieciak uczepony matczynej spódnicy dreptał pośpiesznie, przewracał się, szedł, a pobekiwał. Pies, idący obok, lizał go po twarzy, oglądał się co chwila, jakby coś przypominał i warczał.

Smutno było w chałupie tego wieczora, Pęk siadł na ławie, głowę zwiesił i medytował; niewesołe miał myśli, bo wzdychał a kłął.

Baba krzątała się u warzy.

Nastawiła wody w bańkę, przygotowała gliniany garnek z kisem, spróbowała, splunęła, podeszła do stołu i poczęła krajać słoninę.

Spojrzała na męża raz, drugi, potem spytała nagle:

— Wawrzon?

— A ino?

— Kochasz ty mnie aby?

Chłop porwał się z ławy i splunął.

— Cóżes ty babo zeszalała, cy zjadłaś co niezdrowego, że ci we łbie głupoty?... Kartofliska oto pogniły, żyta trzy ćwierci, potrawu ani, ani, gnoju dwa razy na widły, a ona z kochaniem. Tfy — jucha niewstydna!

Pękowa w jednej chwili załała się łzami i jęła zawodzić.

— Oj biedna ja sierota, oj chłopie podły, coś me zagubił, zmarnował...

Pęk nie mógł się uspokoić z oburzenia. Chodził po izbie, potraçał sprzęty bosemi nogami, spluwał, kłął, mruczał, wreszcie odsapnął jakoś, podeszedł do płaczącej i trącił ją:

— I bez co tak, głupia?

— Oj biedna ja sierota...—wybuchnęła głośnie—  
oj biedna... jak ta samotnica — gdowa...

— Cichaj, nie bec na tę dolę jesce... No, cichaj  
Jadwuchna...

Uspokoiła się powoli, wreszcie przytuliła się do męża, podniosła piękne zapłakane oczy i spytała cicho:

— Wawrzon?

— A ino?

— Nic mię nie kochasz, ani tyła?...

— Cy cię złe jakie, kobito? może cię co ugryzło? Miarkuj, żebym cię aby za to kochanie nie zeproł...

Patrzył na nią osłupiałemi oczyma i groził, zgoda jednak zapanowała pomiędzy małżonkami, gdy zasiedli do wieczerzy. Na stole dymiła misa z żurem, obok się wznosił pagórek kartofli. Przeżegnali się i, biorąc łyżki, jeść poczęli żwawo...

— Cie-go, sperkę już wyżar...

— Tyła mojego, co se podjem zdziebko...

Po zaspokojeniu pierwszego głodu, jedli dalej powoli, spokojnie i dużo, jak na osiadłych gospodarzy przystało.



Zniknęły kartofle, chłop misę bliżej siebie podsunął, i już po jej dnie łyżką dzwonił, wzdychać począł i głośno poziewał.

Ona oparła rumianą twarz na rękach, utkwiała błyszczące, siwe oczy w zmęczonej twarzy męża i rzekła z uśmiechem:

— Kiej byłam u kartofli, psylecioł ten chuchrocek ze dwora i zagadał do mnie...

— A cóż ci zagadał?

— Nic potem takie gadanie... Prawił ci ta różności, o krowie gadał, dwie mi obiecował, niby za kochanie moje, dwie — zara, mówi, dam...

Chłop spojrzał na nią, pomyślał i, po długiej chwili, rzekł obojętnie:

— Ano krówszaby się zdały. Ino że — z wypasem jak?

Zerwała się z ławy gospodyni.

— Cóż ty, Wawrzon, bój się Boga, chłopie, takam ci to żona ślubna?... Ja myślałam, że mię prać będziesz, żem gadała, że mi obiecował, a on nic — jesce tu przyświadcza... Jakże to, chłopie, Boga nie bojący?

Poczęła go szarpać za sukmanę.

— Jakże to myślisz, na grzech me chcesz dać?...

Chłop znowu zastanowił się chwilę, podniósł do ust okruszynę kartofla, cyknął śliną przez zęby, i, patrząc gdzieś w stronę, mruknął:

— Jo nic — ino powiadam, że krówszaby się zdało, a dwie, to — ha!

Pękowa porwała się za głowę i, rwąc włosy, z głośnym płaczem wypadła z izby. Chłop oparł

leb kołtuniasty na łokciach i myślał; po chwili ruszył z chałupy, podszedł do płaczącej na przyźbie.

— A to, Jadwuchna, na jutro obleczenie daj mi z komory. Na jarmarek siwą prowadzę...

— Ostatnie żyjące z obejścia... — przez łzy szepiała kobieta.

— Ano cóż, kiej nima sposobu, a i tak nie przebiedujem bez zime.

— O Jezu, o dobry Boże!...

— Ino nie zabec, Jadwuchna... A wracaj do izby, bo ziąb idzie.

Za progiem chałupy odwrócił się i dodał:

— A jakby ten chudziok psylecioł, to niechze ci i tę łaczkę ode grobli na wypas zezwoli...

Kobieta powstała, chciała coś odpowiedzieć, lecz opuściła się na ziemię, zakryła twarz zapaską i cicho płakała.

Obok niej kręcił się pies, niespokojnie skomlał, trącał ją nosem, drapał łapami, odbiegał do drzwi, wracał, i znowu piszczał, aż przysiadł i wycę począł żałośnie, tym razem nie nad swoim nieszczęściem.

Pękowa podniosła się, odpędziła go i, powstrzymując łkanie, chłonęła powietrze przez spieczone wargi.

Piękna jej twarz miała wyraz zaciętości, usta jej drżały, szepcząc:

— A niechaj!... — I krówszka będzie miał, i łaczkę, ale mnie to już nie... oj nie... podły chłopie...

I znowu zapłakała rzewnie.

Chłodny wiatr jesienny suszył jej łzy, rozwiewał



ciemne włosy z pod zsuniętej chustki i chłodził twarz płonąca.

Z poza chmur wyrzał księżyc — stary szyderca, co widział leż tyle i śmiał się z nich zawsze: widział tylekroć miłość i zdradę — na śmierć patrzył i na poczęcie, śmiał się i wtedy... Cóż go dziś lży jednej Pękowej obchodzić mogą — martwe oczy w nią utkwili, zimny, niewzruszony, jak żywy człowiek.

A ona patrzy w jego bladą twarz, i modli się, bo przecie za tym księżycem słodki Pan Jezusik mieszka — Jezusik miłosierny. Ten, co uczciwości broni i biednym ginąć nie pozwala.

Niebo zaledwie zbladło po ciemnej nocy, gdy skrzypnęły drzwi u chałupy, i wyszedł z nich chłop ubrany do drogi; powlókł się do stajenki, kopnął leżącego konia, a gdy ten powstał, założył mu parcianną uździenicę i wyprowadził na podwórze. Coś tam do siebie mamrotał.

Podprowadził szkapinę do kamienia, już nogę przełożył przez chudy grzbiet, pięścią huknął po gnatach, koń stęknął i ruszył... Zaspany Cukier wyrzwał z beczki, a widząc, że nie dzieje się żadne nadużycie, zaszył się znowu w słomę i nagarnął jej wysoko od wyjścia, bo wiatr dał zimny, od wschodu, a pies był rozumny i wiedział, że idzie przymrozek.

Późno wstała dnia tego gospodyni, a ukończywszy pośpiesznie codzienne ranne zajęcia w izbie i obejściu, zasiadła na kamieniu przed chałupą i zamysliła się nad czemś, popłakując od czasu do czasu.

Coś widać w myślach ważyła, aż ci poderwała się nagle z rozpaczą. — A niechaj!

Jakoś o południu podeszła do psiego mieszkania i wywołała stamtąd „Cukierka“, rozkazując mu iść za sobą... Pies wyskoczył chętnie, łaszac się i podskakując, w chwili jednak, kiedy zbliżali się do stodołki, ogarnęły go złe przecucia, zamienione w przykrą pewność, gdy gospodyni stanęła w ciemnych wierzejach i poczęła gościnnie zapraszać do środka:

— Cukier — Cukierek, chodź-no, piesku.

Pies począł się związać, tulić do ziemi, piszcząc pokornie, jakby chciał wyrzec: — Sługa twój niegodzien, o pani... — ale nie poruszył się naprzód. Wszelkie pieszczoty i obietniki chlebow, kotów, przyjmował ze szczerą wdzięcznością, uderzał ogonem po ziemi, oblizywał się, czołgał, ale nie szedł, owszem cofał się nawet nieznacznie w przeciwnym kierunku... Uśmiechnęła się na to Pękowa.

— Cie-go — jaki mądrala...

Podeszła ku niemu, wzięła na ręce i po chwili zamknęła w ciemnem, niemiłym wnętrzu.

Cukier musiał się poddać tej przykrej niewoli, ale wcale się z nią nie godził, wiedział, że wydostać się stąd może, gdyż rozumny pies ma wszędzie swoje przełazy, zwykle nocami kopane, rozumiał jednak, że spotka go wtedy kara i drugie zamknięcie. Tam, w samym rogu, pamięta, podkopał się zeszłej zimy do wnętrzości z wieprza, zachowanych w stodole. Pamięta tę noc doskonale; rozpoczęła



się tak pięknie, jak sen rozkoszny, ranek był jednak przykry, jawa bolesna, w twardym rzemieniu zakłeta.

Przełaz zasypano wtedy, nietrudno jednak będzie powołać go znowu do pożytecznych celów osobistego pożytku, nato czas jednak o zmroku a do tej chwili spać można spokojnie, cieplej tu nawet, jak w becze...

Budził się często, i nasłuchiwał, nie zauważył jednak nic podejrzanego. Obok gdały kury, jak co dnia; na starej gruszcze wróble odprawiały zwykle wiece jesienne, z oddali dobiegały psie głosy, a Cukier, znając okolicę, rozróżniał je łatwo, skąd który, poza tem szum wiatru, pluskanie deszczu, usposabiały go do snów i marzeń, tak zawsze bogatych w piękne, wesołe obrazy.

Zbudził się już po zmierzchu. Nad zagrodą unosił się spokój — spokój wsi, przerywany łagodnymi dźwiękami dalekiej muzyki i śpiewem pijanego chłopca, którego głos brutalny rozchodzi się jakoś po roście, łagodnieje, dostraja harmonijnie do odgłosów pola i brzmi miękką muzyką nieuczonego zespołu dźwięków przyrody. Pies słuchał, nie słuchał, nozdrza mu drżały, coś wietrzył — nagle zerwał się niespokojnie. Podbiegł ku wierzejom, przysunął nos do szczeliny, sapnął, szczebkał, pociągnął nosem, znowu i znowu, aż począł ujadać wściekle, drapał twarde klepisko, gryzł wrota, wył, piszczał, ciskając się na wszystkie strony...

Na dworze był jego wróg, przechodził tam... Jest

jeszcze — nie wyszedł... Takie wrażenia błon śluzowych mózg psa pochwycił, sercu żywo bić kazał i zbudził w niem złość...

Podbiegł do rogu stodoły i począł drzeć ziemie pazurami... Trudna robota, bo przełaz zawałili ludzie kamieniami i żwirem, pracował też z zapalem, aż dyszał ciężko i w pracy ustawał, kładł się wtedy i odpoczywał i znowu brał do pracy mozolnej... Oddech stał się krótki, świszczący, ciało ogarniało wyczerpanie, a im przełaz był głębszy, robota cięższa się stawała, piasek gliniasty zalepiał nos, oczy... Wykopie — nie wykopie — darł ziemię i skomlał...

Gwiazdy już wystąpiły na niebo, gdy ukończył trud ciężki i przełazł... Pędem rzucił się naprzód z nosem przy ziemi, skoczył do wrót, zakreślił się i popędził zpowrotem — zatoczył kilka kół coraz mniejszych, aż przypadł do drzwi chałupy — przycisnął nos do spodu... Jest...

Odbiegł kilka kroków, wietrzył trop znowu i znowu do drzwi się cisnął: — Jest, na pewno jest....

Chciał wyć, szczebkać, radować się, ale przywarował w progu i czekał — nie odpoczywał, bo drżał cały...

Gościńcem śpieszyła poczta, głos trąbki zbudził po chatach psy wszystkie, i wszczął się hałas wielki... Cukier uchem poruszył, drgnął, ale pozostał... Na podwórzu gryzły się szczury, kot obcy czarny przesunął się tuż obok niego, pies spojrzał i głowę odwrócił... Czekal...

Minęła jedna i druga godzina, a gdy znikły gwia-



zdy, zabrzmiały pierwsze hasła poranku; na gruszcze odezwała się sikorka, po niej raz po raz zaświergotały wróble, od pola przyleciał z wiatrem głos poranny dzwonka — „do doju“, zaklekotał bocian na łące, porykiwały krowy, śmiał się gdzieś żrebiec do kobył.

Cukier powstał, nastawił uszy, bo dosłyszał szmer cichy, potem szept, kroki... Ktoś szedł ku drzwiom, nacisnął je i powoli otwierał...

Przysiadł i trząsł się — nagle warknął głucho i skoczył, wpił zęby w szarą postać człowieka... Krzyk bólu, potem chwila szamotania, nagle krótki strzał buchnął, przemknął cień jakiś i znikł na gościńcu.

Z poza lasów wyszło słońce i wielkie czerwone sunęło powoli, darząc światłem szczyty grusz polnych. Potem zabłysło złotem na poszyciu chałupy, zamigotało tęczą na szybach, a wkońcu promień ciepły i jasny zszedł na próg chaty i usłał się świetlaną smugą na drgających, jeszcze krwawych kudłach zwierzęcia.

Wesoło powracał Wawrzyniec Pęk z jarmarku, jechał truchcikiem na swej kobyłce, chwiał się, a podśpiewywał, wybijając okutymi butami takt, na chudych bokach wierzchowca. Kłaczka trzęsła starą hakowatą głową i śpieszyła z wyteżeniem, czując stajnię blisko, gospodarz zato, dojeżdżając do chałupy chmurniał widocznie, rozweselił się jednak

gdy ujrzał w obejściu dwóch parobków a przy nich krowy, powiązane sznurem za rogi.

— Wi-jo, siwa!... — Zakołatał butami po żebrach szkapiny i wjechał w ogrodzenie.

— A cóż...

— Od dziedzica, od młodego, dwie krowy przywiodłem...

— Lo mnie?

— Jo ta nie wiem, lo was, cyli dla baby, cyli za babę... — uśmiechnął się, mrugając, parobek.

Pokraśniał Pęk, oczami ponuro błysnął i rzekł groźnie:

— Nie gadaj bele cego, bo...

— A co mi ta — nie moje dzieło... Kazali, to i przywiodłem, ino miarkuję, ześta mu tyz co musieli ochwiarować...

Uderzył krowę po grzbiecie, aż się przygięła i prawil już pojednawczo:

— To wielgie krówsko niezgorsze, a i jałoska galanta.

Zaś drugi dodał:

— Ale insza baba także i biała i paśna, piersista i w sobie...

Pęk skoczył ku chałupie.

— Będzie proł... — zwrócił się parobek do towarzysza, bladego kudłatego chłopca.

— A bedzie... Jakze inacej?...

— Ale krowy jego?

— A jego...

Westchnęli obaj.



Z izby rozległ się krzyk przeraźliwy — odgłosy razów i przekleństwa. Parobcy podeszli pod okno i, przyglądając się, wykrzykiwali:

— Sprawiedliwie tak — kozicą wydrę... Jesce ją...

— Za kołtuny Wawrzonie...

— Bez łeb sukę — matkę...

Za chwilę z izby Pęk wyszedł, krew miał na rękach. Z chałupy dochodziły jęki nieszczęśliwej.

— Tera krowy już wasze... — uśmiechnął się parobek oblesnie.

— A moje — za krzywdę moją.

Wziął za sznurek i pociągnął ku oborze opierające się zwierzęta — ustawił je przy żłobach i starannie oglądać począł: uderzał po krzyżu, ścisnął za gardła, zaglądał w zęby, oczy, racice, wkońcu rzekł:

— Niezgorse bedloki.

Zarzucił im trochę słomy, uderzył raz jeszcze po szyjach, i spojrzał z zadowoleniem.

— Niezgorse i w sobie podufale...

Dochodząc do chałupy przystanął i mruknął:

— Zeprołem, bom zeproł, ale tak było potraza...

I pięścią ku izbie pogroził.

W progu potknął się o trupa psa; spojrzał bezmyślnie oczami i kopnął go w wyszczerzone zęby.

## MAŁE KOBIETKI



Wiosna, nie wiosna, ale już sezon, więc choć mróz ostry, drwiący z barwnych, ciepłych wystaw sklepowych chwyta za uszy, łyży do oczów ciśnie, szarpie za wątłe kończyny, w letnią kratkę odziane, to jednak już paryżanin wiosennej fantazji nie straci. Choć dzwoni zębami — na upał narzeka, wciąż w górę blade oczy podnosi, rychło-li wesołe słoneczko przedrze chmury ponure, w duszy rozbłyśnie, do serc nowe przyniesie uczucia — na długo — na cały sezon wiosenny...

Niechże tylko rozbłyśnie choćby na chwilę, już wnet zbudzi pieśni natchnienie, a niech tylko pierwsza z tysięcy zwrotka wiosenna gdzie na bulwarach zadzwoni, niema już zimy, koniec troski węglowej i chłodnej niedoli. Wtedy, choć i mróz zleci, w lodowym uścisku zatrzyma Sekwanę, któżby na to uważał, kiedy się kocha i śpiewa o wiosnie...

Śpiewają starsi, żartują z chłodu; piszcza za nimi i dzieci, a cała sinoltydka czereda już po Luksemburgu harcuje. Kto na wyludnienie Francji narzeka, niechże tam idzie, w świat młodych — najmłodszych, a serce ucieszy. Świeżość i zdrowie, zapał, fantazja, wogóle dobry gatunek tych próbek przyszłego spo-



leczeństwa, pokryje niedobór w ilości. I człek się uśmiecha, już marzy:

— Hej, wróci Alzacja — odbierzemy miljardy!...

Rozmyślają tam, marzą o tej lepszej, szczęśliwej przyszłości i mamut-arystokrata, i kwiat Rzeczypospolitej — sklepikarz, i dobra wróżka Paryża — kokota, i szare matki robocze, a choć różne ich myśli, porywy, patrzą ze szczęśliwym uśmiechem na tę Francję najmłodszą, co jakby w przeczuciu przyszłych trosk wojny, od rana do zmroku, morskie prowadzi batalje. Miejsce owych zapasów, przy wodotrysku sadzawka, tu serce ogrodu, tu kipi życie. Gwar, śmiechy, zabawa, bo tędy przechodzi główna arterja państwa kwiatów i dzieci; pędzi ona od wczesnego poranku falę barw, śmiechów, jaką tłum ludzkiego drobiazgu błyska i dzwoni.

Oh — l à, l à !... — wesoło jest tutaj, choć czasem i strasznie w morskiej bitwie brać udział. Dość popatrzeć na mężnych kapitanów twarze rozognione, na łzy małych żon, a usłyszeć ten jęk na wybrzeżu, gdy okręt, za dwa s o u s wynajęty, fala wody zabierze... Wtedy, doprawdy, tych mocnych, gorących wrażeń, duży, chłodny pan małym bojownikom zazdrości i duma, idąc za duszy polotem, czy tylko jak człowiek przyziemny:

— A może między nimi jest wielki bohater przyszłości, co znowu Europą potrząśnie, krwią nowe określi granice? może genialny twórca odrodzonej Panamy, co świat stary i nowy, arcydziełem oszustwa zadziwi? a może to tylko rzesza przyszłych

ludzi—porządnych, dążących drogą małych nikczemności, pospolitych wyzysków, do wielkiego międzynarodowego ideału — korzyści dla siebie, pod gromkiem hasłem społecznej zasługi?

Młode pokolenie zaprawia się do marzeń ludzi dojrzałych, pieniądz i dla nich pragnieniem gorącym: kto ma s o u s'ów dwadzieścia, z taką flotą wystąpić jest w stanie, że nikt jej nie zmoże... Triumf jednak i wtedy trwa krótko, bo oto się kończy godzina, i stary obywatel, wynajmujący żaglowce, strąca admirała z urzędu:

— Idź po pieniądze do mamy... — Ale wnet drugi bohater zjawia się — świetny bohater: aksamit, guzy złociste, rana na kolanie a przy nim świta i „jego kobiety“. Małe, żywe lalczki, w czerwonych, niebieskich, żółtych blaskach jaśnieją, dawnego admirała odbiegły, wdzięczą się i szydzą z upadku.

Za chwilę już zapomniany, gdzieś za drzewkiem laurowem, tuli do chustki nos rozżalony, a „łzy czyste, rześiste“ po twarzy mu lecą. Ból jakby ucieleśnia się w tej małej figurce; wszystko w niej płacze: żalność, co piersi rozpiera, drży w marynarskim kołnierzu, nieczułe guziki porusza, wstrząsa majtkami febrycznie, zaś cała postać złamana, zgnębiona — żywy posąg boleści.

A przed nim i za nim dzwonią głosy dziewczynek, śmiechy, okrzyki... Triumf innego i zapomnienie okrutne...

— Ach, jakie fałszywe!...

— Wstydź się i nie płacz... — uspokaja go bona.—



Dostaniesz od cici znowu trzydzieści centymów i będziesz miał flotę... Dzisiaj i tak bitwę przegrałeś. Zabłociłeś ubranko...

— Dajcie mi okręty, okręty mi dajcie!—tupie mały nogami. — Teraz jabym im już pokazał, tym wszystkim przewrotnym dziewczynom, tym podłym kobietom...

Zbliża się ciocia, czy mama, znowu pociechy słowo, potem chwila ożywionej rozmowy, aż nagle: pęc — pęc — i dwa klapsy gorące...

A la guerre, comme à la guerre... a tam u sadzawki nowe zjawisko:

Zwraca uwagę blady, ładnie ubrany chłopiec, amerykański magnat zapewne, bo z własnym jachtem przyszedł pod pachą.

Kobiety świetnego admirała patrzą na przybysza z podziwem, wahają się chwilę, ale oto opuszcza go biała anielska dziewczynka, za nią już biegną dwie liljowe empire'ki, już i czerwona dyrektorjatu markiza, żółta moderne. W zachwyceniu krzyczą:

— Parowy ma statek!... Ma statek parowy.

I już otaczają magnata wieńcem barwnych sukienek.

— Canailles, oh — canailles! — porusza się z oburzeniem jakiś zawiedły staruszek, śledzący dotąd zabawy dziecinne. — Oh, canailles! — trzęsie głową w cylindrze drugiego cesarstwa i ciężkim, sękatym kijem grozi spowitej w lekkie gazy markizie.

— Jak pan śmie... Na małe dziewczynki?...—mierzy go złem spojrzeniem, zajmująca połowę ławki mama w sile wieku.

— Małe dziewczynki? To są złe, przewrotne kobiety, to klęska Francji. Hańba, upadek... Dziewczynki! Zgraja małych kokotek—córk nieodrodne...

— Panie! pan matki znieważa!...

— Niema dziś matek w Paryżu... Tylko automaty, dobra pani — automaty publiczne, pani kochana... — sapnął staruszek, odwrócił się, ręce oparł na kiju, brodę na rękach i tak upodobniony cyfrze 41 zamarł bez ruchu.

— Oj, musiały jednak panu dokuczyć te, jak pan nazywa...

Jakby ugodzony boleśnie, zerwał się stary, splunął, do sąsiedniej ławki podreptał; posunęła się jejmość, rozłożyła szeroko ciemne dekoracje wdowieńskiej żalości, westchnęła:

— Stary kawaler. Całe życie od szczęścia ucieka....

A nieporozumienia przyczyna — parowy statek, już pruje ciemną wodę sadzawki. Właściciel jego, chłopiec w aksamitnym, marynarskim ubraniu, otoczony sztabem i barwną świtą, objaśnia „głupim dziewczynom“ zasady mechaniki, urządzenia kotła i tłoków. Mówi dosyć od rzeczy, do słuchaczów się zwraca z pogardą, niby dojrzały, świadomy swych celów prelegent.

— Czy to wy wiecie, co to jest para? co to jest motor?... Nie na wasze rozumy...



— Ja wiem... Para jest biała...  
— A motor?  
— A motor?... Spytałem się pani...  
— Oh, dużo wie twoja pani... Motor jest to, co się kręci; motory bywają różne...

— A czy tu jest taki, jak na prawdziwym statku?

— Mój statek jest także prawdziwy.

Ale odzywa się i głos wątpliwości nieśmiało:

— A czy każdy statek prawdziwy musi być także na sznurku?

— No... naturalnie... Ach, nie nudźcie mnie, proszę...

— Nie nudźmy go... — powtarzają sobie dziewczynki, strwożone chmurą, co zasępiła blade czoło młodzieńca.

Cisną się do małego despoty, wdzięczą, schlebiają próżności, a w każdej główce myśl jedna, jedno ciche pragnienie:

— Żeby chociaż za sznurek pozwolił potrzymać...

Możny właściciel parowca zna te marzenia, ma na ich rozbicie twardą odpowiedź:

— Jeszcze czego?! Przecie ty jesteś dziewczyna...

Tak — dziewczyna — istota niższa, słaba, niedołączna. Wiedzą o tem małe kobiety i godzą się z losem, nie walczą; obce im jeszcze równouprawnienia ideały, okrzyk: „A bas les hommes!“ — jeszcze nieznan.

I stoją przy panu stworzenia ciche, uległe, w doskonałość wierzące.

Nagle niespodziewane zjawisko porywa oczy,

zajmuje wszystkie umysły. Na wodach basenu zjawiał się współzawodnik parowca. Skąd się tu zjawiał, do kogo należy, nikt nie wie, ale — prześliczny. Le-ci, jak strzała, cały czerwony, i jest na nim chorągiew.

— Oh, il est électrique, c'lui là! — pisk się podnosi — i żegnaj kapitanie parowca!

Już też go odbiegły dwie liljowe empire'ki, już i markiza, za nią żółta moderne i biały bur-nusik, jedna tylko Pompadour nóżkami przebiera, niepewna jak się zachować, w myślach waży co lepsze.

— Chcesz, trzymaj za sznurek... — słyszy słowa zdławione.

Ale — électrique, électrique — aż dzwoni w powietrzu pokusa; małą jeszcze chwilę się waha, w oczy chłopca spogląda, a tam już lży błyszczą.

— Mazgaj!... — szepcze z pogardą. Odchodzi.

— Masz pani kobietę! — krzyczy z ławki staruszek. — O, biedna ty Francjo!

Z godnością porzuca małą zwodnica, lecz że młodość nie zna jeszcze wytrwania, drepczą żółte buciki coraz pośpieszniej, bo piękny jest statek i jakże mizernie przy nim tamten wygląda. Piękny jest także jego właściciel: jasny blondynek, włosy ma w puklach, cudownie mu w tem niebieskiem ubra-niu, a jaki w obejściu wytworny... Cóżto za porów-nanie do źle wychowanego Gastona.

— O, nawet mu już pary zabrakło!...



Ale biedny wzgardzony nie chce triumfu ustąpić; klnie jak dorożkarz paryski, oczernia współzawodnika, jak przedsiębiorca żeglugi na Wiśle — i pali pod kotłem siarczyście.

— Niech pęknie — ale on teraz pokaże.

I drżą ręce w pośpiechu, a lży wielkie, gorące:— puk, puk — spadają na blaszany pokład okrętu.

Za pałac senatu ucieka słońce; pas złoty, płomienny, wysunął się ponad kępy lip i kasztanów, zabłysnął drobnymi światłami na zmarszczonej powierzchni zbiornika, jakby rozrzucił blaszki złociste na głębokich szafirach, jakimi przedzmrok brudną wodę ustroił.

Przed gmachem zmieniła się warta, głos bębna zadrgał w powietrzu, poleciał falą w przestrzenie, codzienna żalność w sercach obudził:

— Zamykają — do domu iść trzeba.

Przedsiębiorca, wynajmujący okręty, już całą flotę na wózek ułożył, złym czasem posłał przekleństwo, pchnął budę przed sobą, i sunął za starą towarzyszką, wolnym, zmęczonym krokiem. Dźwignęły się mamy z ławek i krzesel, rozległy nawoływania, płacz rzewny i sprzeczeki, gdzie niegdzie głos żalu:

— Ja nie chcę!...

— Mówi się: dziękuję, ty dziecko niegrzeczne.

— Ja dziękuję z ogrodu... — i raz po raz, przysiadła na ziemi, wleczony za rękę.

Z ławki uniosła się jejmość. Potężna, wspaniała, kołyszająca się niby pancernik, przeszła obok suche-

go staruszka. Pięknymi jeszcze oczami zmierzyła jego postać mizerną; zdawała się mówić:

— I poco taki stary wielbłąd żyje na świecie?

Dziewczynki, w gromadkach, zebrały się na zwykłą naradę: coś mówią, coś radzą, twarze uroczyste, poważne, tajemnicze szepty, z „sekretoów“ zwierzenia, i plany na jutro.

Nagle jakby ożył staruszek, powstał szybko, trwożnie rozejrzał, w ciżbę dziewczynek chyłkiem się wsunął, małe paczki cukierków z kieszeni dobywał, gubił po ziemi, cisnął je w rączki.

— Macie, marne istoty!... Macie — złe, przewrotne kobiety...

Małej blondynce na złote włosy, ciemną, drżącą rękę położył, i gładził niezgrabnie; pochylił się ku niej, i szeptał wzruszony:

— Dziecko kochane, — ty... — radości nieznana...

Oczami zamrugął i — uciekł na ławkę.

Po chwili zbliżył się do niego policjant, w pochylone plecy go trącił.

— Panie, trzeba wychodzić — pan spóźnia się zawsze.

— A tak...—Podniósł trzęsącą się głowę, uśmiechnął boleśnie: — Prawda... ja zawsze...

Wsparł się na kij, i ruszył z ogrodu.

— Warjat, warjat! — krzyczały za nim dziewczynki.



## O ŚWIERKU



W zwartym, tysiącnym szeregu pierwsze lata życia mu zbiegły, jak jeden dzień wiosny, bez troski, bez walki. Już zrazu, ponad gęstwę współbraci się wybił, był silny, rad życiu, a może—szczęśliwy, bo jedno, a mocne, w nim tłało pragnienie: wyżej, a wyżej, w pąkach nadziei, ku wolnym przestworom. A tam wiosna koroną trud dumny przystroi; tam znowu, o maju, strzelisty przewodnik pobiegnie.

Ale, tuż rzesza tysiączna, kołysząc się zwartą gromadą, zaszemrze. Jak w szkółce, wśród ludzi, gdy losów szczęśliwych, czy Bożej łaski wybraniec wybije się górnio, z zakreślonych szeregów; ponad miarę myśli i czynu zuchwałą głowę wyniesie, i ruszy w życie — swoim sposobem.

Jakby żal wzbiera, żal — zawieść w wątych pieńszkach, gdzie w drzewku jest dusza i już wnet, na wyprzódki, młode pędy wybiegną.

Lecz tu i owdzie osypie się pożółkle śmiertelnie igliwie, tu i owdzie słoneczko płomienistą pieszczotą młode życie wypije, a tam, zrzadka, gdzie nigdzie, pęd silny wychynał, już ustał, jakby rzekł sobie: — co mi tam blaski — i drzewko wszecz się rozpiera.



Aż zjawia się ludzie dojrzały, rozumni, rozejrza po zwartym, tysiącnym szeregu i stanie się akt sprawiedliwy przezorności człowieczej:

— Hej, kopać, co większe, bo głuszą.

Wraz, zanurzą się w ziemię ostre, stalowe łopaty sięgną po bujną radość, po wolne życie i pochyli się pierwszy ten najdumniejszy i, jakby dreszcz, cichy szelest po misternem wiązaniu przeleci, gdy twarde garście nim targną, ale, jeszcze nie zmożły.

Wtedy chłop buciskami, szeroko się zaprze, w wysiłku nateży, aż wśród cichości podziemnej coś nagle rozpęknie, coś w czem dziwna żałość starganego tworzywa, w zamyśleniu schodzi na duszę.

A gdy już legł dumną koroną, wolny syn gór, niebosiężnych dziadów tatrzańskich prawy potomek, spojrzy po nim wysuszony, jak stara wierzbina na słońcu, człowieczyna — ogrodnik i na dożywotnią służbę zapisze:

Willa Franusinek małż. Kwiatkowskich.

1 szt. świerk pospolity. . . Rb. 2 k. 50.

Bo właśnie, tak się niepomysłnie dla małżonków zdarzyło, że jeden z dwóch świerków, u willi podnóża, schodków cementowych strzegący, śmiercią się z niemiłego stanowiska wyzwolił, zaczęł należało go odpowiednikiem gatunku, wielkości i kształtu zastąpić — dla widoku — jak pani mówiła.

\*

\*

\*

Jakże mu było, gdy z czarnej, ciepłej próchnicy, z lubej świeżości gliniastego podglebia poczuł się w szczyrku suchym i zimnym na tak zwanej „parceli“?

Za nietknięty, wypieszczony przez słońce pęd wierchołkowy stróż Michalak garścią go ścisnął, do prostości zrychtował, i wokoło zajadle udeptał, poczem piasku przyrzucił, rozgarnął i już z wolna, starannie, jakby z pewną twórczą miłością, kolistą miskę pod drzewkiem uklepał, niby koronę dzieła wieńczącą.

I wody dwa kubły studziennej, aż zdało się, że zadygotała każda igielka chłodem bolesnym, nieznanym przejęta.

Żaś człowiek w poczuciu spełnienia czynu dobrego, szepnął z uśmiechem:

— A widzisz, jak ci lubuje... — i odszedł opodal, wilę okiem ogarnął. Schodki, dwa świerki przeniósł w całości wrażenia, na myśli zwierciadło.

— Oddaje.

Właśnie z budynku pan Feliks Ferdynand Kwiatkowski już wyszedł, zaciągając się smakowicie pierwszym porannym cygarkiem. Po trzech schodkach własnej realności zstąpił szczęśliwy i zapatrzyli się obaj na nieszczęsną ofiarę.

Odniechcenia, do siebie, chłop mruknął:

— Dobrze oddaje.

— Tak. W tem miejscu tylko dwa świerki czynią korzystne wrażenie.



— Wiella, niby że biała, a tera oto, dwoiste zielone. Ale to głowy, głowy potrza na wsio.

Łypnął ku panu podejrzliwemi ślepiami, czy nie przesadził w szczerości uznania i dodał z ferworem:

— Hej, różów by tera spodem podsadzić! — aż czapę baranią na ucho przesunął, że to i swojej głowy nie uważał za byle.

— Różów tera — musowo. Pański kwiat, róża.

Lecz pan już oczy odwrócił, innem zjawiskiem się cieszył, kędy wypłynęła, kołyszac się zlekka, niby korab — małżonka, w białe żagle spowita, a tuż piesek z krzyżem przez liszaj dobrobytu wyżartym, jako że suto i błogo żyło się ludziom i wszelkiemu stworzeniu na owej własności, gdzie marło dzikie, wolne drzeweczko.

Dobra była kobiecina pani Kwiatkowska tklowie ucieszyła się drzewku, a i piesek, dla pamięci zdarzenie zaznaczył, zaś stróż, choć człowiek surowy, z przyjaznym uśmiechem na ową idyllę spoglądał, zanim ruszył ku swojej robocie.

Otulony mgłą siwych dymów słodko-wonnej machorki, sięgnął łopatą w skraj blado-żółtego zagona, zastanowił się chwilę i, westchnął:

— Hej, słodki Jezu, ila to ila, pod te caszy, rozpleniło się tego ciaciarstwa! Gdzie dawniej jeden dziedzic, przez butów, owe piachy oganiał, tera ich, na półwłóczku siedzi — trzydzieści... Panowie!

I jakby snuł dalej rozpoczętą rozmowę:

— Różów ci się zachciało, gdzie nawet bylica nie rośnie.

I jeszcze po chwili:

— Hej, głupie ludzie!

\*  
\*                      \*

Ze śmiertelnego odrętwienia obudziło go słońce. Jakże upragnione, lube, gdy po dniach bezlitosnych wskrzesza umęczone żywoty, w każdej grudce ziemi tysiące święci narodzin, w każdym paku cud sprawia. I tkliwą pamięcią żdźbło najdrobniejsze ogarnie, sięgnie na dno przepastnego wadołu, gdzie jeszcze jesienią maleńke ziarenko zapadło.

Nagle w drzewo skute jeszcze chłodem zimowym ciśnie żarem płomieni i zbudzi je z raną śmiertelną.

Lecz świerk — pospolitak zna pańską łaskę, grubawą ma skórę. Ani chłód go zrazu nie ściśnie, ani przejmie słoneczko okrutną pieczęcią. Pod wiosnę powoli się budzi, a gdy już nawet i ruszy pędami, łuskę, od słońca, na nich zachowa ostrożny, niby ów ojciec, co oddala od dzieci zbyt nagłe, choćby radosne wzruszenie.

Ale oto czas przyszedł, czas drogi, majowy. Przez pień żywe soki pobiegły, uderzyły w paki. I wraz soków przybrakło, jakby popłochi wszczął się pod ziemią, kędy moc życia stargana, w zimne piaski przemocą wciśnięta, wątlami niemi, wczepiła się w kilka grud ziemi ojczystej, co z doli minionej,



szcześliwej zostały... Zamało, aby żyć można. Świerk zamarł w poźółkłej niemocy.

Zaś pan Kwiatkowski się dziwił. Z rękami wciśniętymi w kieszenie, mały, brzuchaty, aż na palce się wspinał ku misternym, pragotyckim wiązaniom kunsztownego drzewka. I prychał żółtymi wąsami, że to świerk ani myśli odwdzieczyć za tak wyjątkowe starania.

— Bo, niby, dlaczego? — zastanawiał się nad nim Franusinka gospodarz, człek, co żadnej fantazji, ani w ludziach, ani w rzeczy do jego użytku służącej nie znośił. Na wszelką odrębność się krzywił, a tu nagle dzik taki iglasty i jakieś kaprysy, że to niby przesadzania nie lubi.

— I żeby to jeszcze owoce, żeby, panie, pożytek, a tu, pożał się Boże, szyszki rodzi drewniane.

Co dnia z silniejszą niechęcią pan Kwiatkowski od drzewka odchodził, zaś gdy jeszcze dni kilka minęło, i trwał świerk jednak w dziwnym, niepojętym uporze, a nawet igły poczęły już — z gałgana — się sypać, pan Kwiatkowski się wzburzył:

— Hej, Michalak!

Z kłębow dymu leniwie podniosła się czapa barania.

— A ino?

— Wyrzucić!

Lecz Michalak był wrogiem wszelkich środków gwałtownych, a wogóle patrzył, z zasady krytycznie na panowe gospodarcze rozkazy.

— Zaś ta, wyrzucić... — i czapy odgarnął, po-

chylił się u drzewka i — wraził palice. Gdzieby mu tu, zaś, jaka krzywda być miała?

— Wyrzucić... wyrzucić, a tu mierzwy trza było — nie kazać. Bo insza drzewina tego nie lubi.

Pan Kwiatkowski aż zdumiał, lecz nie uwierzył, bo i jakże mógł wierzyć, gdy sprzeciwia się coś logice życia, ideałom ogólnym wszechbytowania.

I już ani słyszał, co chłop tam dalej prawił, że insza drzewina, jak człowiek: tyle w nim szczęścia, ile przy nim, biedy...

\*  
\*      \*

Maj kwietną łaską spłynął na drzewa. A stało się nagle, po dniu dżdżystym, po ciepłym świtanu. I jakby cały świat lotny gońców — owadów zawezwał, co poniosły się szybkie, przez ogrody, przez sady, od pąka do pąka, naszeptując o słońcu, o życiu, o radosnej pieszczocie skrzydeł motyli.

Aż zbudziły pragnienie w każdym życiu zakłete, czekające wezwania, co z pieśnią wiosenną przychodzi, czasem z jednym słonecznym promieniem, jak w jednym uśmiechu.

Białe czarki wiśniowe rozchyliły się pierwsze. Ku sobie się zeszły i zwarły w gromadki, dygocące w chłodnym podmuchu i, jakby trwożne, co to życie przyniesie.

Ale zaledwie zaśmiało się słońce, już z całą ufnością rozemknęły się ptaki, wnet w długich szeregach



wszystkie drzewka młodzięcze, zakołysały się zlekka, w rozszeptaniu nieśmiało, jakby cichem szczęściem przejęte, niby dzieci białych gromada w dzień święty. I wnet, ponad drzewka, na lotnych skrzydłach radosnego ptaka wzbiło się — szczęście, blasków, głosów przybrało i przez drogi, przez pola poniosło wieść śpiewną brzękliwą.

A gdzie tylko z promieniem słonecznym wieść śpiewna dosięgła, zdawało się ludziom, że w nich serca, jak te paki wiośniane wezbrały, myśli poety osypały się kwiatem, rozchyliły się usta dziewczyny tłumionym szeptem bojaźnego wzywania, a skryta tęsknota, za czemś, czego życie nie dało, podniosła się z duszy kobiecej, przysłoniła oczy.

W ciszę nocy majowej wpiły się lubo, miłośnię pierwsze pienia słowicze.

Zaszamotały się nagle czemś strwożone wisienki.

Jakby chwilę zadumał się maj i wichrem w nie cisnął, aż otrząsł kwiat dziewiczy, kwiat płonny.

W białe szczęście nie wierzył, ale z gorącym oddechem przypadł do paków jabłoni, przemógł ją czarem pieśczęoty, bo rozchyliła się cała, krasą wstydu płonąca.

Poczęły się dni miłosnego zachwyty, czerwone dni barwy i szału.

\*

\*

Zaś w smutkach niemocy trwało drzewko iglaste. Zasadzone przez ludzi, aby oczy cieszyło, gasło powoli, w pełni świetlistej radości, wśród koloru i blasku, osypane martwem rudem igliwem.

Chłop z łopata się zjawił i zadumał chwilę, jak miał we zwyczaju.

— Pódźże, chudzioku — kiej kazali, na wynos... — i garścią ujął za pieniek, a łopata od dołu podważył i, powlókł przez żółtą ścieżynę świerkowego trupka, a za nim u słabych uczeplone włókienek tłukły się grudki ziemi rodzimej, jakby śpiesząc, z ostatnią posługą.

I gdzieś tam za przeoraną miedzą graniczną, za drutem kolczastym, cisnął nim chłop z usypiska, przy dawnej gliniance.

— Widzisz, masz tera, za hardość... — zaśmiał się rad, ale tu zastanowił się chwilę: myśl pocziwa zbudziła się w duszy, a może losów pokrewności przeczucie, dość, że jeszcze ku niemu się zwrócił, kilka łopat ziemi podgarnął i jakby mogiłkę pod nim uklepał.

— Ale żeś się ta, byle komu wysługować dziś nie chciał, naści, oto — sprawiedliwy pochówek.

I półsennie, leniwie chłop ruszył zpowrotem, przygiął zlekka druty kolczaste, między niemi przesunął, bo choć droga otwarta, taki przecie obyczaj, zaś chwilę posłuchał gromkiego wołania, co leciało od willi, het, po dziesiąte włości.

Tedy przystanął, sięgnął w zanadrze po małe pudełko blaszane, żółtych trocin na gazetkę nasy-



pał, skreślił i z wielką rozważą zapalił. Jak to zawsze już czynił, gdy myśli naraz zbyt wiele, a zwłaszcza pod lato, do głowy się zbiegło, a tu trza każdą, należycie rozpatrzeć, posmakować rozumem i zaś:

— Jakbyś na te wagi, bracie, położył, a ty, ino miarkuj, w którą stronę pociąga.

\* \* \*

Jakoś o jesieni pociągnęło go w stronę glinianki. Aż oczy przetarł rękawem, nie wierzył: cud Boski, czy złe zwodzi. I jakby w nim cosik, z uciechy przysiadło i zaśmiało się jakby, gdy ujrzał, że owy nieboszczyk a w pędy tylachne się zawział, aż kipiało w nim zdrowie.

— Hej! — miły Jezu! — pamiętliwy Panie!

Zaś, od tej chwili żałość w nim tak osobliwa przybrała, że ani sposobu, bo tylko w myślach odratowany mizerak i codzień do niego, codzień, jakby z żyjącem gawędy:

— Mojeś — ty biedne, moje chudziatko, a honorowe to jakie, na wolności oto se rośnie... Widzisz, panie Kwiatkowski, przez twojego dołka, przez twojego wachania, rośnie oto Boska drzewina.

Aż nawet sobie kotyrę jakąś przydźwigał, żeby to było gdzie przysiąść. W spokojności ucieszyć się drzewku, popalić, a tu i zleci godzina i, zaś trzeba do roboty się zbierać, jakby kogoś bliskiego odchodzić.

— Ale! Bo czyż to się trafi taka ambicja w człowieku?

Któżby spamiętał, co tam przemyślał, co wypowiedział, ale przecie, wszystkiemu jakiś koniec pisany, a osobliwie, gdy na żywocie — serwitut.

Ano, przyszedł chłop, jakoś grudniowym wieczorem, jakby ździebko markotny, jakby zamroczony ździebko i sięgnął po kozik...

— Pódź że chudzioku.

Ano, kozikiem po cholewie przeciągnął, pozaciął pieniuszek wokoło. Ano i przygiął, aż pękło w nim życie.

\* \* \*

I ktoś tam kupił drzewko wybrane. Ponawieszał na niem cudaków, świecideł, malowanych pierników...



## NA SZÓSTEM



Nie można powiedzieć, aby w mieszkaniu dwóch moich przyjaciół nic zgoła nie było. Ściany wielkiej, a zdobnej w festony pajęczce pracowni, zdobiły całe szeregi aktów — modelek w sile wieku i starszych, wyobrażających w znękanych pozach piękną i niewymuszoną naturę. Nad nimi ciemniały soczyste studja węglowe, dobre, sumienne prace akademickie, dalej rząd krajobrazów.

Szczere, ciepłe płócienka jaśniejące gorącemi barwami lata, słońca, zieleni, żyją tu, niby czar wiosny, jakby naprzekór tej złej mocy, co drzwiami potrząsa, przez szczeliny się ciśnie, chłód mroźny do pracowni niesie. Godzą się jej mieszkańcy z tą zimową zgryzotą, dzwonią zębami, a pocieszają się myślą, że w lecie zato będzie gorąco, oj gorąco, jak bywa w pracowni paryskiej, z oknami na północ, i dachem do słońca.

Poza barwnemi ścianami, istotnie nic już nie ma — ci wrażenie pustki, dopiero gdy wzrok wielką płaszczyznę krzywej, spaczonej podłogi ogarnie, nic na niej nie znajdzie, do kątów sięgnie ciekawie, poczną się wyłaniać z zasnutej szarości nawet zbyt-ko-  
we przedmioty w mieszkaniu człowieka, co jedna



sztukę ukochał, a nieśmiertelnych wzorem, doczesnymi majątkami pogardził. Tedy, wzrok cieszy miednica do kuferka przytulona, nad nią szmat złotolitej brokaty, która już dawno przestała być sobą, obok, złamana staluga, na orzechowych ramionach dźwiga zdecydowanego kształtu strój w paski, a dalej butów kolekcja. Rozbita lampa z kloszem nabakier, trochę masła w papierze, konwulsyjnie skręcony kołnierzyk, pończocha z krawatem splecione w uścisku, pudło z farbami, jakaś nieokreślona martwa natura płócienna, przy niej były gobelin i — już, gdyby nie dwie skłębione masy szczatków ubrania, szmat, gazet, gdzie tylko ciemny gospodarski tłomok i cynamonowe palto oparły się niszczącego czasu przemianom i zachowały dawna, niespożyta godność. Jak człowiek, co to i na ławie i pod ławą się wytarł, a zawsze po nim widać z jakiego to rodu pochodzi.

I przyszedłeś tu oto, gospodarzu zbożny, bo nieopłacony kwartał przed półrokiem się skończył, kiedyś tych lokatorów na pracownię pozyskał, i oto stoisz bezradny, w tym chłódzie a smutku i jak w grocie z dawnej epoki śladów zamieszkania szukasz. Wzrok twój błądzi po kątach, łoża pierwotnego wypatruje, a myśl snuje pytanie zawile. Zali prawdą być może, aby artysta, losów wybraniec, Bożą łaską zdobny, uczeń cudnej natury, władca barwy i blasków, pan światła i cienia, piękna apostoł, pod ową w kącie sypiał walizą?

I stoisz w dociekaniach pogrążon i dumas, aliści

trwoga sercem, w bojach o komorne hartowaniem uderza, bo oto rozłożysty statek podróżny porusza się, wzdycha jakoby, a z poza kłębu rękawów, kończyn rozmaitych, wyłania się kudłata głowa sztuki pomazańca.

Zaspane, niemniej promienne oczy błądzą po tobie, myśl się otrząsa z marzeń uścisku, uświadamia cel twego przybycia i, ginie wnet głowa maestra pod ciemnym, ponurym kadłubem.

— We środę... — brzmi stamtąd dźwięk, niby głos Jonaszowy.

I idziesz człowiecze, i dumas, że środa to z rzędu trzydziesta, a za tobą, po schodach, głos leci:

— Malarz nigdzie nie płaci!... Łaskę ci robi, że mieszka pan ducha!

— I poco to ci bazgracze na świecie potrzebni? — myślisz już szczerze. — Dziury z tego tylko po ścianach i w kieszeni dziury. Ale jakże ja tę hołotę wyrzucę?

Myśl zawsze pogodną zasnuwa ci troska, bo ani lokalu pustkami zostawić, ani się ludzi nadzieja, że trafi się malarz — solidny lokator. Mroczysz, o dobro zabiegliwy gospodarzu zbożny.

Sen to był, czy jawa, bo cisza w wielkiej pracowni, cisza chłodu i pustki. Mija godzina jedna i druga, aż nagle rozwarte łono walizy westchnienie podnosi, potem kaszel niem wstrząsa. Dźwięk ten budzi z uśpienia palto syberyjowe, porusza się ono, chrząka, wkońcu głos ludzki dobywa się z niego:

— Janek!



— Czego? — mruczy waliza.

— Zimno?

— Zgadnij!

Palto porusza się energiczniej, klnie i narzeka, nagle, jak olbrzymi nietoperz, leci na środek pracowni. Jednocześnie, niby czarodziej, zjawia się smukła postać młodzieńca, i dziwne skoki wyprawia.

— Brrr!... A to ci jest zimno... Ja-a-nek!

— Czego?

— A to m-mróż dopiero! Ładną gwiazdkę mamy.

— Pal w piecu.

— Już pa-pałę.

Z temi słowami młodzieniec pochyła się do ciężkiej belki pod ścianą leżącą, chwytą ją w krzepkie ramiona, i... biega tam i zpowrotem po obszernej pracowni.

— Drzewem się pa-pali, nie jak hołota, węglami.

Jeszcze chwil parę: łomot! I toczy się kloc po podłodze; z twarzy, promiennej od ciepła — radości, pot spływa.

— Janek!

— Czego?

— Ciepło! Cug doskonały, aż we łbie trzaska!...

Leci teraz waliza, jak dzieci za nią, różne części ubrania, i już belkę pochwycił drugi oblubieniec:

— Ciepło, ciepłutko. Hu, ha!...

Bosemi piętami hołupce krzesze, jak dziewczyna

w tańcu, z przyśpiewkami obraca i, znowu łoskot wstrząsa podłogą.

— Co za hałasy! Boże, mój Boże! — jęczy ktoś z korytarza.

— Taisez — vous. Co to za krzyki? W piecu się pali, kochana pani.

— Oh, sales Polonais... Barbares!

— Wilja jest dzisiaj, nie Barbara. Ferme ta boîte! Ciepło ci, Stasiu?

— Ciepło... Kapitalny ten twój wynalazek.

— Ja myślę... Ale też ziąb tu morowy. Paryż, Paryż, a zimno, jak w jakich Kielcach, albo Łowiczu. I co za porządek, pytam się, w tym magistracie niebieskim? Zima — mróz, lato — upał, żeby to choć naodwrot kiedy było.

Stach się nad projektowanym przewrotem atmosferycznym zadumał; rosły, czarny, kudłaty Janek koszulę już ściągnął, żyłasty kark wodą polewał

— Zimna, jucha!

Parskał, chlustał bryzgami po całej pracowni, potem otrząsał się, i krzyknął:

— Prześcieradło dawaj!

— A już! Do wieczora nie wyschnie, a potem całą noc zimno.

— Dawaj, ja w róg tylko, jak kupię drugie, to także będziesz używał.

— Kupisz, kupisz... Od roku to słyszę.

— No, przecie dziś muszę mieć pieniądze. Urządzimy wilję, że ha!... Naprosiłem gości: damy ze świata, dziewczyny z nadświata — anioły... Jedna



księżniczka, incognito, Burbonka, Van-Houten, graf holenderski, dwóch grandów, bo malarz z arystokracją żyć musi. Dawajże prześcieradło!

Ładny, jasnowłosy Staś szarpnął kawał perkalu i podał go koledze.

— A tak, kochanku. I pieniążki być muszą. Muszą, uważasz! O dwunastej przyjdzie tu rodak, mecenas sztuki, dobrodziej, uważasz, co od zdychających malarzy obrazki lubi kupować, a potem, że mu na nos nie kapie — kucharkę bestja ma — może poczekać, aż sprzeda, więc z przyjaźni, uważasz, pięć razy tyle zarobi.... Godny pan, szanują go ludzie! W każdym razie trzysta franków pewne, mурowane. Masz swój gałgan, udław się, ty Petronjuszu bez butów.

Zmiał białą, moką płachtę, i w kąć rzucił.

— No, to doskonale, Janeczku... — cieszył się rozpromieniony Staś, jak dziewczyna różowy — to doskonale będzie. Bo to dziś nawet głupi sen miałem...

Starannie prześcieradło wyżał i składał.

— No tak, jesteś przecie jego autorem. Nie masz kawalka Marylanda, albo jakiej innej tabaki?

— Nie mam... A śniło mi się, Jasieczku, że sam gospodarz był u nas.

— Śniło ci się, powiadasz... Cóż dalej?

— Ano, powstał, powstał, rozejrzał się po meblach...

— No i?

— I poszedł.

— Więc doskonale! Zupełnie, jak na jawie. Niech-

że ci się te sny jak najdłużej sprawdzają. Dawaj no spinę od koszuli.... Już się ubrał, lalo malowana... Ściągaj kołnierz.

— No, a ja?

— Ja! Naturalnie, ja przedewszystkiem. Egoista, fryzjer, elegant! Za godzinę obrazy sprzedaje, może tysiące franków biore, a on mi kołnierzyka żałuje. Masz ty tam jeszcze przychowany, zacząjony na święta, nie bój się....

— Wszystkie trzy w praniu.

— Machaj do pralni!

— Nie da mi baba, winien jej jestem za twoje koszule.

Pośpiesznie kołnierzyk zdejmować począł.

— No, masz, ale oddaj, mój Janku, bo ja dzisiaj do ciotki. Może mi wysypie z pięć franków na gwiazdkę.

Janek porwał kołnierzyk, obejrzał go i skrzywił się:

— Brudas!

Następnie rękę po krawat wyciągnął, i już ubrany na kuferku usiadł.

— Tak, kochanku, niezdaro. Społeczeństwo nie składa się z samych płacących za komorne. Organizacje wyższe nie znoszą tej szczątkowej przemocy drapieżnych kamieniczników, a dusze wybrane szukają nowych dróg, nowych kierunków...

— I ciągle bywają wyrzucane wraz z ciałem i pustymi tłumokami, których już nikt licytować nie chce.



— O, tylko nie dowcipkuj!... Pomyślmy serjo: masz ty jakie pieniądze?

— Żadnych, pieniędzy.

Janek czarną, kędzierzawą głowę pochylił, i zamyslił się.

— To nie jest dobrze — westchnął. — To nie jest dobrze, bo taki mydlarz to czasem przyjdzie, nagada o pogodzie, spyta się: co to, proszę pana, właściwie znaczy symbolizm? — i pójdzie. W przyszłym tygodniu zajdę, we środę — na pożegnanie ci powie. Aha, we środę go czekaj, to stale mój dzień pechowy.

Staś ku niemu się przysiadł, i po chwili półgłosem mówić zaczął:

— Szkodaby było... Zawsze wilja, głupi sentyment, powiesz, ale... wilja, to — wilja.

— Wygadałeś się.... Tak, wilja, to wilja. Jedyny dzień w roku, kiedy mi bieda dokucza — trochę... Tak — gwiazdka... A nowy rok: ordynarny, szelma. Bлагier. Ale gwiazdka, tak... Właściwie niewiadomo dlaczego?

Oparł głowę na rękach, i jakby do siebie, półgłosem:

— Taki biały, niebieski obrus, talerze fioleto, opłatki, masa refleksów. Ciepłe, żółte światło... Potem jakiś głupi brat, siostra idiotka, zabezpieczona krewna, wszystko to razem się ciśnie, a pocziwe to, a szczerze... Matka płacze, tuli gałgana: „popraw się“ — wzdycha. Stary ręką tylko machnie, w kąć idzie, a biedna ciotka, najbiedniejsza ze wszystkich,

w garść ci coś wtyka... Psiakrew! A ciasny ten twój kołnierz, jucha...

Zerwał się nagle, i po pracowni przeszedł.

— I nauczają to od dziecka głupstw różnych, naprawiają bajek o prawdzie, o cnocie, jakieś kochania do serca przyczepiają, gwiazdki, bzdury, a potem morduj się chłopie, z biedą zmagaj, póki życie z ciebie tych kwiatków nie oskubie, śmietnika wspomnień nie wymiecie z duszy. Czyto nie lepiej dzieciaka do łgarstwa zaprawić, żeby mu w życiu łatwiej było? Zamiast bajek, kodeksu kryminalnego nauczyć, żeby wiedział, co za co... I cóżeś łeb zwiesił, jakby coś rzeczywiście w nim było...

W pochylone plecy go palnął.

— Kupiłeś mak?

— Ku-kupiłem. Jest w torbie na kominku, od tygodnia już leży.

— No, to i dobrze. Przyjdzie Jeanne, to się ją do kręcenia zapędzi. Cóżto byłaby za wilja bez maku? Pokażemy Francuzom, jak się to u nas żyje...

— Żeby się tylko nie skończyło na maku.

— Dla ciebie to i dosyć, bo jest takie przysłowie, ale dla nas będą dziś i sole, i turbot, kawiorek się znajdzie, białego buteleczka i druga — puk, puk... A potem z dziewczynkami igrzyska — i pójdzie w kąć klasyczny tan... Zuzanna, Madeleine, Berta, Tonetka, Yvonne, mała Cléo, czarna Fanchon — wszystkie tu będą.

— Modelki...

— Nie... Ciotkę twoją prosiłem, telegrafowałem



po polskie dziewice z białego dworu i wypłowiące matrony, plotkarki z prowincji, w oryginalnem opakowaniu... Już będą, już jadą — hipopotamy z nad Wisły. Modelki... Cymbał!

Wparł ręce w kieszenie, i zbliżył się do niego:

— Modelki!... A cóż jest piękniejszego na świecie, jak ciało, ty, artysto z pod Kawęczyna! Ta boska forma — ramiona kobiece, a ta słodka, miękka linja, co ci płynie od bioder, ucieka, rozpływa się, i znowu łączy; a ton: lilje i złoto, wschód słońca, a głowa, jeżeli jest głowa... Włosy, idjoto, kark, ślepy kreciel!...

Tych cudów nigdzie nie spotkasz, bo u nas, tam w Kielcach, Sieradzu, Włocławku są może uczciwe, godne osoby, ale Bóg sprawiedliwy: nie da cnocie szlachetnej budowy, bo poco? W piwnicach, katakumbach kwiaty nie rosną, tylko purchawki. Weźmie ci taką jaki buchalter, czy inny mydlarz i rad, bo czy on wie co to jest linja, co to jest forma, co to jest kolor? Dla niego tłusta kobieta — ładna kobieta. Byleby była, byle miał z kim spać, a przedewszystkiem nad kim się znęcać, bo to dla nich radość najwyższa.

I co on ma, taki? Guziki! Jak mu którego zabraknie, to z tej swojej ślubnej kwartę łez wytoczy... Albo...

Stach głowę podniósł, i słuchał. Ożywił się nagle:

— Mam kompozycję... — szepnął.

— Gadaj!

— Rozumiesz: krzyż, na nim baba, taka Ewa słodka, jak to Rodin ją czuje, a Tycjan malował. Leży taka w pysznem skróceniu, trochę na bok. Głowa cudowna: ból, duma, pogarda, a obok... obok zgięty, skrzywiony, wiesz, szary bez koloru, bez czaszki, zepsuta kreweta — taki człowiek porządny, ubrany: lakiery, getry, taki, uważasz, zbójca mizerny — przybija młoteczkiem nogi i ręce, gwoździkami przybija do krzyża... równiutko.

Zamilkł, jakby zawstydzony spoznał na Janka.

Ktoś do drzwi zapukał, potem pięścią uderzył.

— Głupsi, mój Stasiu, ale styl ci się wyrabia... Entrez!

Z prądem grudniowego wiatru do pracowni wpadła młoda, jak maj świeża, dziewczyna. Z głośnym śmiechem na szyi Janka zawisła, dźwięcznie pocałowała go w usta, potem schwyciła wpół Stacha, okręciła nim kilka razy, i znowu ku Jankowi skoczyła:

— Vilain!...

Podniosła głowę, patrząc mu w oczy z miłością.

— Trompeur...

Ucałowała go serdecznie.

— I za co ja ciebie tak kocham?

Ugryzła go w brodę, i już tańczyła po pracowni, tuląc się do Stacha.

— Viens, poupouille-e, viens, poupouille-e, viens. — Komm, Karlinchen, komm, Karlinchen, komm — śpiewali oboje, a — oj, Ma-



ryśka, oj, Maryśka, oj! — międzynarodową melodję wspierał bas trzeci.

— Dama chce spocząć, gdzie się tu siada?

— Na podłodze, hrabino.

— Mais, c'est épatant ça... — i już siadła, uderzając czerwonymi bucikami o ciemne, pokrzywione deski.

— Jannek, chosz tuttaj, daj bougie... — krzyczy jak papuga, powtarzająca wyuczone wyrazy.

— Zaraz, zaraz, będziesz miała inne zajęcie. Skocz-no, Stasiu, do voisine'y niech ci dużej glinianej miski pożycz, wiesz, jak to do tarcia maku się bierze.

— Nie da... Wczoraj na drzwiach jej wymalowałeś „Vive le roi!“, a stara republikanka aż lzy miała w oczach ze złości.

— Ale da! Już zapomniała. Powiedz, że pour les pauvres artistes polonais. Musi dać Zrób jej tylko taką pocziwą gębę blond, z niebieskimi oczami. Baba ma serce.

— Ale miski nie da.

Poszedł jednak, i za chwilę już zjawił się z uśmiechem w jasnych, pogodnych oczach. Miskę pod pachą niósł.

— Dała, ale prosi, żeby już nigdy...

— Pocziwa baba — śliczności donica!

Porwał ją uradowany, wybiegł na korytarz i już bębnił do drzwi sąsiadki.

— Vive la république! Vive la république!

— Merci, monsieur.

— Pas de quoi, madame... Vive la commune! — krzyczy, aż szyby dzwonią i tynk leci na głowy.

— Merci, monsieur, merci — jęczy wystraszona.

— No, zrobiłem babie owację, ale warto, bo miśka pyszności, polska, prawdziwa, styl grecki, kochana miśka! Cała wieś nasza przed oczami mi staje. Widzę taką Horpynę, jak mak na wilgę morduje, aż jęczy donica, a wszystko naokoło tańczy w tej kuchni, śpiesz się... Hej, Stasiu, jak długo my się tu jeszcze wycierać będziemy? Kawalek pejzażu naszego dawaj, te mordy płaskie, pocziwe, dawaj, bo... bo — rznę miskę o ziemię!

— Jannek, Jannek, daj bougie!

— Zaraz, zaraz, dam ci robotę.

Krzętał się po pracowni. Miskę w wodzie opłukał, starą kamizelką wytarł, potem z torby maku do niej nasypał, i z uroczystą miną, niosąc, jakby wagę kosztowną, do siedzącej na podłodze dziewczyny się zbliżył:

— Oto niosę ci szczytne posłannictwo w tej donicy wraz z makiem zawarte.

— Oto niosę ci...

— O h, tais — toi!

— Poczekaj... Oto weźmiesz, córo pięknej Lutecji,



dziewico słońca, weźmiesz tę oto amforę, postawisz ją sobie w ten deseń...

— A h, n o n, n o n!...

— Inaczej nie można, musisz być w stylu... O, tak... Zespolisz się z nią, niby dwa serca, a jedno bicie, poczem weźmiesz pendzel w prawicę, nie tym końcem, niezdaro, i będziesz rozcierać ten dar bogów indyjskich — ziarna snu, zapomnienia, rozcierać tak długo, póki ci się papka nie zrobi. Tutaj masz cukier, tam wodę i pracuj szczęśliwa, i niechaj cię Siva i Wischnu potężną opieką otoczą, ja zaś idę po franki, bo mydlarz — nie przyszedł.

Dziewczyna uderzała bucikami po podłodze, rzucała się, rozbawiona, lecz gdy zrozumiała nareszcie, że tu rzeczywiście o jej pomoc chodzi, jęła się roboty z całą pocziwą gotowością.

— C a y e s t!... P a s m a l c a... — wykrzykiwała, próbując tartego z cukrem maku.

Smutny, cichy Staś ręce skrzyżował, patrzył i uśmiechał się, lecz widać po nim było, że myśla gdzieś błędzi daleko. Z zamyślenia zbudził go głos towarzysza:

— Miał być o dwunastej, bije już trzecia. Masz polskie słowo, polską uprzejmość. Zostawił nas z bosą gębą, ale sam, nie bój się, będzie żał cztery ryby, leguminy, ciasta, w dzień pokuty umartwiać się będzie — koń Jezusowy.

— Żle, żeś już gości poprosił...

— A niech ich!... Przyjdą, zobaczą, że ciemno, do-

myślą się przecie, że niema przyjęcia. Gorzej to, że my sami... i dziś właśnie...

Siadł, głowę zwiesił, długą chwilę myślał.

— Ano, chodźmy. Ty do ciotki, a ja powalęsam się trochę, może znajdę jakiego melancholika, co mi garstkę miedziaków pożyczy...

Pelerynkę zarzucił, Stach po palto na podłogę sięgnął.

— Idziecie?... — szepnęła smutno dziewczyna.

— Idziemy po złoto, a ty siedź tutaj, rób honory domu. Jakby kto przyszedł, niech idzie. Albo nie: przeproś i powiedz, że panowie wyszli, bo... no — bo im się tak podobało...

Pochylił się ku niej, pocałował w usta, skrzywione, jakgdyby do płaczu.

— Trzyj mak i bądź grzeczna. Jak ci będzie zimno, to możesz w piecu napalić. Tam leży belka.

— F i c h e — t o i, t a q u i n!

Leniwie, ciężko ku drzwiom ruszył, do smutnego Staśka się zwrócił:

— Wiesz, to życie nasze dobre jest, ale w nowelach. Po obiedzie przeczytać, Bogu podziękować, że ci się w duszy nie pali, i — trawić, ale tak, wiesz, przeżywać samemu taki żart z nędzy, to jednak chwilami...

— Wracajmy do kraju.

— Poco? Wracać do tej mydlarni, o polskim modernizmie słuchać, łązić po suchotniczej, własnymi murami zgębionej Zachęcie, i czekać, aż ci jaki reporter, z Bożej łaski, napisze, że malować nie



umiesz... Nie, nie, tam szkoda moich ofiar i głodu, mojej miłości, na poniewierkę, szkoda. Tam las, a tu świat!...

Machnął ręką, i westchnął po chwili:

— Tak, ziemi kawałek, z jedną krzywą wierzba, ze strugą... Hej! Ale chodź, gapiu, bo widzę, że ci na beki się zbiera. Nie dla tych ziemia, co ją kochają...

Poszli. Porwała ich ulica, wchłonał tłum paryski, tłum rozbawiony, wrzaskliwy, kipiący weselem, radością, obłany potokami światła wystaw sklepowych, tłum barwny, strojny, samolubny, ciągle śpieszący, aby z krótkiego życia wziąć wszystko, dla siebie, co daje to życie, w kłębowisku szalejącej gromady, gdzie kupuje się wszystko.

I czego chce tutaj ten blady, jasny chłopak, z szarych, cichych równin, z pod lip starych, modlących się zabrany. Śmieszny on tutaj ze wspomnieniem łez błogosławiącej matki, z tą myślą marzycielską, cichą bezradnością swoją, i sercem kochać i tęsknić nauczonem — śmieszny wobec tych ludzi doskonałych, wolnych od uczuć, co żadnej korzyści nie dają, tylko łyżę cisną.

— I czego ty chcesz, mazgaju? Trzy miliony ludzi się bawi, a ten jeden ma taką minę, jak grób rodzinny na dwanaście osób.

— Tak, smutno mi jakoś; to już czwarta wilja taka... Dziwnie mi pusto...

— To tylko z głodu. Pójdiesz do ciotki, to się pożywisz. No, ja na prawo, a ty?

— Na Menilmontant.

— Oj kawał! Deszcz, zimno; wytrzymasz ty aby?

— Ja tak, ale — buty...

— Kpij z butów, kiedy poczucie formy masz w duży. Patrzaj, ten tam pod ścianą, senatorska gęba, orderzy a sandały także, ledwo, że ledwo.

Pod murem stał człowiek, o twarzy rasowej starego żołnierza, zziębły, trzęsący się. Drżącą ręką numer gazety podawał: „La patrie“, „La patrie“... — jęczał...

— Popatrz na niego: ciekawy mordotyp. Ojczyznę sprzedaje, powinienby mieć gotówkę, bo to zawsze popłatny interes. No, do widzenia, o ósmej na kawie, u Durand'a, na dole, jeżeli grosza dopadnę; a teraz machaj do ciotki, niech ci tam czego w papier...

Uścisnęli się za ręce. Janek w tłum sunął.

Huczy ulica, wyje Paryż od końca do końca, chociaż szumi stara Sekwana, o dawnych hasłach rozmyśla, o krwi, co za święte prawa człowieka z jej falą spływała.

„La patrie!“ „La patrie!“ — jęczy stary wojak pod murem.

— Byłeś u ciotki?

— Byłem. Przed miesiącem umarła.

— Głupia ciotka! A jadłeś co?

— Nic...

— No to masz... Ciastek z kremem, mały mi dali:



na deser po wilji, mówią. Obrazków namalowali, pejzażyków z bydłem, na podarunki gwiazdkowe, i dziś, kielbas cała góra stoi. Żrą, o sztuce gadają, poncz piją. Krawaty, kołnierze, zegarki... Alfonsy, sztuki kapłany — psie dusze!...

Jasny, blady chłopiec przez łzy się uśmiecha, westchnął:

— Tak widać trzeba. Nie można w nic wierzyć, nic kochać, bo to — za drogo kosztuje. Ten stary z ulicy, on także pewno kiedyś...

— No, bez elegji — jazda do domu!

Po ciemnych, krętych schodach, smutni, milczący poszli do siebie. Janek od „dobrej pani Bichon“ świecę pożyczył.

W zimnej, ponurej pracowni, pod kominkiem, na tem samem miejscu, spała dziewczyna, a w glinianej donicy, objętej nogami, w czerwonych pończochach, bielił się mak, starty na miazgę.

Janek spojrzał i skrzywił się.

— Poczciwa dziewczyna, ale — ordynarna w kolorze. Psuje mi nastrój tej miski... — zbliżył się, suknię poprawił.

— Niech śpi, a my, Stasiu... — Twarz miał zakłopotaną, jękał się jakoś. — A my, uważasz, może to bardzo głupio, uważasz, no... ale mam tu kawał opłata, od mydlarzy wzięłem, więc, tego...

Wysunął rękę — trzask cichy po pracowni się rozległ.

— Dajże ci, Boże, Stasiu, no... — Drgnęły mu usta, skrzywione i nagle;

— Cóż ci się łapa, niedołęgo, trzęsie... — zapłomował nad sobą, odwrócił się, krzyknął:

— Mazgaj! Idjota! Nie dzielę się opłatkiem, z idjotą, wogóle.

— Hu-ha, kochana! — Już tańczył z belką po wielkiej pracowni, i śmiała się dziewczyna.

A Stasiu głowę do chłodnej, wodą ociekłej szyby przytulił. W cichej, na bóle wytrwałej duszy, coś wrzało, tłoczyły się w myślach wspomnienia, i uciekały, jakby spłoszone uśmiechem szyderstwa, co na tej jasnej twarzy zawitał.

— Nic niema! Bajki dla dzieci!

Już Paryż brał w posiadanie to serce rozżalone, i uczył modlącą się duszę swej sztuki życia, drwił z uczuć najszczerzych, z miłości dla piękna rwał, deptał wypieszczone kwiaty wiary, kochania.

— Chodź ze mną: Masz talent, jesteś młody, świeży i głupi — sprzedamy to wszystko. Chodź, póki głód, nędza towaru nie zniszcza.

Wtedy z ciemnych mgieł nad miastem wzniesionych, w tej czarnej oddali, dokąd biegły jasne oczy chłopaka, z za gór, z za rzek, od szarej, cichej równiny przyszła drobna staruszka, w wyschłe ręce głowę ujęła... Janek za ramiona go porwał.

— Cóż ci to Stasiu? Na ziemię się walisz....

— Nic... Nic — to już przeszło...

— No to chodź. Pani Bichon kawał ryby przysłała. Trzeba jej zrobić owację.

— „W żłobie leży, któż pobieży, koledować ma-



temu“ — zagnalony Staś już ciągnął szczerze, załośnie, pod drzwiami sąsiadki.

— Za rrybę, za rrybę, za rrybę... — jednostajnie, niby basetla, wtórował mu Janek.

— Merci, merci, merci! — a w pracowni krzątała się pośpiesznie dziewczyna, ustawiając ubogie, jak ona, tanie francuskie smakołyki. Oczy jej śmiały się radością.

— Voilà pour Jannek — voilà pour l'autre.

## POBOJOWISKO



Gdy zrazu dalekie, jakby kroki złowrogie, już bliżej a gniewniej podeszły i, nagle w gromów tysiące rozległy po lasach, a szerokiem koliskiem, jednym grzmotem kawał Polski objęły — wicher trwogi wstał nagle nad ziemią i zrazu w chłopskie chaty się cisnął.

I chłopem zatargał, aż ruszył z tłumu ludzkiego, gnany przez trwogę — pierwszy chłop polski. Krew z krwi, kość z kości ten sam, co przed wiekiem na armaty szedł z kosą i, pono, armaty zdobywał.

Węzeł pościeli, skrzynka zielona, krówsko żałosne, strach za nim, strach przed nim, a gdzie tylko minie sąsiedzkie opłotki, wnet zakotłuje się w małym obejściu i, jakby nachyliła się, chata wysypuje z siebie lud, dobro, i już cicha pustka za niemi, jakby chata umarła. Tylko Kruk, stary, niepotrzebny pies, głowę obróci, wystrzępione uszka nastawi, bo gdzież to dobrzy, kochani ludzie odchodzą w samo południe i w roboczy dzień?

Ani dzwonów nie słyszeć, ani drogą wesele...

Coś dzieje się źle... Niepokój w serce uderzył; targnął łańcuchem, a tuż, jakby z batów gęsto palić poczęli i, coś dziwnie rozśpiewało w powietrzu,



pszczoły — nie pszczoły i wraz w stare deski zatłukło, zaś od lasu, po ostrej grudzie, jakby wóz dudni, jęk przed nim ucieka. Aż znowu podniósł się grzmot, spadł ciemną falą na wieś.

Kruk zjeżył się, zadrżał, nagle wystraszonemi oczyma zabiegał i, skomląc, ziemię pazurami jął rwać.

Wśród ciemnej fali, szerokiem, migotliwem łożyskiem biegli ludzie zziajani, dyszący; obcy jakiś zgłęb, niepojęte słowa...

\*

\*

\*

Ale zanim czarne ptactwo śmierci, ważące się górą, niepewne i trwożne spadło na pole jej okrutnych pokosów, zanim przyległy mary dymowe — czarne, ślepe widma, włóczące za sobą, od szarokrwawych rumowisk i żałobnych zgłiszcz, ciężkie pasma kirów, a jeszcze nie przycichły złowrogie dygoty oddalającej się walki — już zjawił się we wsi, rozwłóczonej, starganej, ukochany syn ziemi — kміeć polski. Pierwszy powrócił.

Troska o chatę, umiłowanie zagona niezawodnie go tutaj przywiodło — któżby troski kochania nie pojął? Ale chłop przecie nie malowany, lecz żywy i zawsze nie taki, jakim go myśl ludzka stworzyła; tyle tylko, że spojrzał ku swojej zagrodzie i ze szlashedł w pole, naprzelaj. Tam, za drogą, za strugą

stary kościół trwał pono trzy wieki, aż przyszła noc bitwy, nad zwałoną wieżycą tylko ptak krąży, płacze głosem żalosnym.

A człowiek pobladły, jeszcze dygocący ze strachu, oczy od zburzonej świątyni odwrócił, nie rozumiał modlitwy i żalu, gdzie nie palą się światła i nie grają organy.

Nawet jakby złość w duszy, że oto Bóg silny i władny, i jakże zezwolił?... W myślach, gdzie tylko przemoc, strach, pomsta coś znaczą i ważą, budzi się nagle wątpliwość. Bo i jakże? Zburzyli dom boski, a Pan Bóg?...

Od pogorzelska i gruzów kościoła pod sine kraje rozległo się szeroko pole bitewne. Rozwartemi grozą oczyma chłop patrzył, słowami litanji poruszyły się usta z nałogu, w zaciętości ścichły. I już pewna swej władzy powróciła myśl wolna, człowiek się otrząsnął, już rozglądał daleko, przez zasnućte dymami przestrzenie, i, jakby czegoś tu szukał, na zwiewnych poletkach, gdzie oracz ciężki trud złożył, a siewca szczęśliwych dni żniwnych nadzieję. Kędy, nad krętą wyrwą okopów, jakby snopy w mendle złożone — zwały ludzi półnagich.

Dalej pustka ogorzała, czarna, i znów szereg spleciony, jakby śmierć ułożyła pod linję. A tuż miazga brunatna, wbita w złom roztrząśnięty polnego kamienia, szczątek głowy człowieczej — krwawa skrupa, biały włór kolby strzaskanej i złote sznury, i wydarte blado-sine jelita, a na nich czarne, krwią oplużone ręce, w ostatnim wysiłku zastygłe.



Po kawałek rzemienia chłop się nachylił. Pchnął nogą zmięty kociołek i przeląkł się dźwięku. Na sztywne, wysoko sprężone lędźwie się natknął i zaklął.

Dalej się włókł, frasobliwy. Jakby w myślach niósł troskę, czy ból. Zeszedł w parów, czepiając się gałęzi, i precz jakby szukał, aż nagle nad zaparciem w gęstwą olszyny ciałem się schylił, do nóg mu przypadł.

Ojciec, czy brat? Może syn ukochany?

Nie—tylko trup, który miał, jeszcze, buty.

Od białych, zimowych horyzontów wysuwają się cienie. Idą ludzie, pochyleni zgryzotą, że przyszli zapóźno. Nurzają ręce w skłębione zwały ciał martwych, rwą krwawe strzępy, szarpia w zacieklej chciwości lśniąca guziki ze szmat czarnych, spalonych, a tam gdzieś mundur się widzi, jeszcze nie-gorszy — na spodzie. Może jeszcze co przy nim?...

— Kumie, ulżyjta-no ździebko.

Za nic robota, bo leży człowiek z nogą urwaną, i jakby cały był w ogniu. Czerwone austriackie rejtuzi, czarne sople z nich wiszą, w gruzłach rudego błota zamarzły.

— Hej — szkoda portków!

Długa chwila bezradnej zadumy i znowu westchnienie:

— Kapota także na nic.

— Ale!... Dźwigajta-no, kumie... plecy, musi, ma zdrowe.

— Dźwigać, to dźwigać, ale jakże z niego co ze-wlec, kiej twardy na szczet.

— Ano, pies z nim!... — A w myśli skarbnicę jeszcze jeden klejnot życiowych doświadczeń zapada:

— Trza na ciepło z nich brać...

Ciagną ludzie od drogi. Już ich więcej, pod wieczór, niż tych, którzy leżą i jakoś — jakby jaśniej od ciał nagich, na żółto-burym ugorze.

Górą czarne ptactwo się waży, niespokojne, trwożne, niecierpliwie czeka, rychło li człowiek odejdzie.

A gdy zmrok przedwieczorny nagość ludzka przysłoni, zgasi oczy drapieżne i w ciemność pole walki zasunie, schodzi chłop z pola. Niesie krwawe buciska, węzeł szmat ubroczonych. Ten, co z pieśnią na ustach, na armaty szedł z kosą i, pono, armaty zdobywał.

\*

\*

\*

Gdy zaś podejść do niego, kiedy przez pola wle-cze się ponury, zawsze skrzywdzony:

— Hej, gospodarzu, ciał nie grzebiecie? — spoj-rzy złemi oczyma.

— Jo ich ta nie bił, jo i grzebał nie bede.

— Ale obowiązek chrześcijański...

— Jo ta nie ksiądz.

\*

\*

\*



Strach już myśli odleciał, tedy chłop spojrzy przytomnie po drodze, z ciekawości do opuszczonych domów zaglądnie, czy bardzo tam, juchy, napsuły?...

A gdy drzwi znajdzie zaparte, tedy Pietrzak z Kostrzewą dźwigną podkład dębowy — pełno tego przy drodze, w krzepkich garściach podniosą, rozhuśtają go żdziebko.

— Od sie, od sie! — somsiedzie.

Zaczem, aż zaśmieje się dusza, gdy kum Pietrzak garście czarne, sękate w miękką pościel zanurzy, sprawnie w węzeł ją zwinie, zaś Kostrzewa starownie miedź zbierze, tu i owdzie zerwie zamek siekierą...

— Zawdy lepiej, gdy swój człowiek się dobrem pożywi, nie obcy.

A zaś, gdy swoi ludzie odejdą, zjawiają się goście.

Z niezmiennym, żałośnie drapieżnym uśmiechem na ustach.

Z duszą zawsze naścieżaj otwartą i z tkliwym wyrzutem:

— Ty nam, bracie, nie żałuj; my za ciebie krew naszą...

I już tylko ze szczerej ochoty, żwawo rąbną siekierą po stołach, po szafach. A tam, już jękiem żałosnym struny rozdźwiękły, śpiewne nici żywota, niby rzewny płacz ludzki, rozpaczliwe wzywania, gdy ból nagły brutalną przemocą uderzy. Nie zabija, targa.

I wraz hukną wolne dzieci, Dońcy-sokoły:

— Płacze — chytra maszyna! Bij po niej!

I — bij! — w liczne głosy urośnie — bij! — jednym głosem odhuknie i, jakby huragan, runie na cichy dworek podmiejski, zerwie z trzaskiem, łoskotem lustra, stare obrazy, dawne pamiątki, książki rozniesie, skłębi w rumowisko białych skorup, obłoconych strzępów i wiórów złożonych — dawne, drogie czasy i czary, dawne, nigdy niezgasłe marzenia, ofiary i serc okłamanych gorycze.

Rzewnym płaczem jęczą struny targane, wyje śmiech ludzki, i jakby się słania pół-pijane, żałośnie drapieżne:

— Ty nam, bracie, nie żałuj...

\* \* \*

Roku 1914 się działo — w Ojczyźnie.







Chyżo pędzi życie. Mgłą szarżyzny i smutków owiane, sypie ciernie, kamienie, zrzadka w barwach i blasku rozbłyśnie, gubi laur, kwiaty i złoto. A człowiek zbiera a pamięć chowa. Lecz złe dary życia szacuje: co dziś skarbem szczęścia się wyda, jutro ciska do śmieci; śmieć zapomniany podniesie, czarem wiary upiękni, w barwną złudę ustroi, do ust tuli modlących.

Aż przyjdzie starość — i dziw człowiekowi, że tyle przetrwał wzruszeń, przeżył radości, łez wylał tyle, a tak niewiele w sercu zostało. Młodzieńcze porywy głupstwem się zdają, wiek męski zatarł się w myśli: jeśli życie mu grało, zgrzyt życie przyniosło; jeśli miał barwy — wypełzły, i oto z istnienia jakby zetlałe szmaty zostały. Dziad po nich depce, snując leniwie wspominki: jak to się uczył, jak kochał, jak zdradzał, jak majątek chciał zdobyć, jak zdobył i jak wreszcie życie zmarnował, bo wszystko to należało zrobić... inaczej.

I jedno tylko, co błogie, i jasne, i czyste, to lat dziecinnych wspomnienia: każde lube i drogie, a nad niemi, niby ptak białoskrzydły — pierwsze chłopięce kochanie.



Pierwsza troska i pragnień niepokój, pierwsza noc nieprzespana, gdy coś dręczy, coś słodczya przejmuję, a serce, głupie serce, na wszystko, o czym głowa zamarzy, ma zawsze jedną odpowiedź: „Tak, tak, tak!”

Zabiło też mocno, gdy ją poznałem, i odtąd już panią moich myśli się stała — aniołem, co w noc dobrą nadzieją do snu kołysała, i złym duchem, co za dnia mię kusił:

— Bierz mnie... bierz, bierz!

Ale powiadali, że jestem jeszcze za mały. Że siły mi brak, że za krótkie ramiona; a gdym kiedyś do niej się zbliżył stanowczo, zuchwale, dziadek ściągnął cybuchem. Przecierpiałem ból pierwszy pierwszego kochania i tem-ci była mi droższa.

Z obca jakoś, Bekerówka ją zwali, dla mnie jednak nie miała nazwania — jedna była podówczas na świecie. Ona — toć przecie, nie nauczycielka, nie kucharka Maryna, nie wieża kościelna, nie grota w ogrodzie, gdzie chodzić nie było wolno, tylko ta właśnie, ta jedna... co wypełniła myśli, marzenia, spokój zabrała — jednym słowem — strzelba.

Ale cóż to była za strzelba! Dość było postać przy niej choć krótką chwilę, popatrzeć, aby ci wszystkie pragnienia, wszystkie sny twoje pod swą niepodzielną władzę zabrała.

Ani poświeć dziś takiej. Dość spojrzeć po ludziach, a każdy uwierzy, że nowy człowiek nie ma w sercu takiej miłości, aby tym kunsztem i z tem ukochaniem mógł, umiał swoją pracę ozdobić.

Komużby to dzisiaj się chciało (komużby się zdało?) pleść taki dziwer misterny, jakby z gwiazdek srebrzystych? Ktoby sobie taki trud zadał, aby kurki snycerską robotą w dwa delfiny wyrobić, jakby spięte do skoku, albo drzemające na żółtych łbach kapiszonów. A wokoło girlanda, złotem szmelcowana: tu lis, a tam zajac, owdzie kuropatwy, nad podziw udane, zaś kolba — niby dwa skrzydła stulone, a pas od niej, starej roboty, paciorkami dziany...

I jakże mi było takiej cudnej nie kochać? jak do niej co dnia, co rana z powitaniem nie śpieszyć? jak nie żegnać wieczorem, a potem nie marzyć, kiedy się to stanie, że już nie będę za mały, a urosną ramiona, że ją całą będę mógł objąć?

A raz, kiedy dziadek do siewu pokulał, zaś babka gdzieś w sadzie prażyła powidła, i gdy cicho, jak makiem siał, było we dworze, tylko muchy bzykając, tłukły się o szyby, jako mię tu żywego widziacie, zagadała do mnie.

Strach mówić, o czym prawila, jakie to zabronione wspominała dzieje, a raz wraz — coś szepetem, jak to dziadek, gdy o „polityce“ marzył, o Francuzach, co idą i wiozą dwadzieścia milionów, bo coś tam mają budować, od morza do morza.

I mówiła mi szeptem:

— Idź! idź! Jak ojciec, jak dziad.

Aż mi lzy w oczach stanęły.

— Kiedy jestem... za mały.



— Idź, idź — niech oni wiedzą, że z każdego pokolenia ktoś idzie.

Aż rozochociła się stara i dalej świetne strzały wspominać: do wilków, niedźwiedzi, odyńców, a w czas pijanej uciechy, jak to szły kula na kulę, w bale starego lamusa — po dziś dzień znaki....

I znów szeptem po chwili:

— A jak pod Kurowem starszy pan plunął kacza-kiem, a grubym z lewej poprawił, to ich dwóch, jakby dwie świece, zadmuchnął... Che, che, che!...

A potem, gdy mię, snem zmożonego, stara piastunka do łóżeczka niosła, narzekając, że chłopaczysko takie już ciężkie a takie głupie jeszcze, i gdym do strzelby ręce wyciągał, pocieszała mię babka:

— Będiesz miał lepszą, kiedy urośniesz.

— Ja nie chcę... Ta, albo żadna!

Bo tak mówi się zawsze przy pierwszym kochaniu.

\* \* \*

W tej mojej trosce serdecznej nie oszczędziło mi życie zakosztowania goryczy pierwszej zazdrości. Złe uczucie ścisnęło za serce, a nawet zbudziło chwilę niechęci i żalu do starszego brata, gdy, przyjechawszy na święta, zaraz podszedł śmiało do strzelby, wziął ją pewnie do ręki i zmierzył.

— Stary gruchot, ale jeszcze niegorszy.

I tak mi się wydało, że ta Bekerówka, do której jam się modlił codziennie i dotknąć jej nie śmiał, gdy

on zuchwałą ręką kurków spróbował, a potem stuknął brutalnie i w kąt prawie że cisnął, tak mi się wydało, że... że... nie powinna była na to pozwolić, a ona jeszcze jakby więcej promienna, jakby wypiękniała jeszcze.

— Proszę Józia, strzelby ruszać nie wolno... — jęknąłem głosem przez łzy.

A Józio spojrzał na mnie zwysoka.

— Jak się jest w szóstej klasie, to wszystko już wolno, mój mały.

Ku wielkiemu przerażeniu mojemu papierosa zapalił i dodał niedbale:

— Jutro na wychodnego z nią pójde, ze dwa ko-ty zabiję.

— A mnie czy Józio... zabierze?

Tak pyta mazgaj-kochanek, gdy mu wielka krzywda się dzieje, gdy mu szczęście zabiera silniejszy, a on z miłości własnej składa ofiarę, byle być przy niej, przy lubej.

— Zabiorę cię... Może...

— Może... — jedno i takie krótkie słowo, a noc taka długa, bez snu!

Jak smutny pies, snulem się za nim od rana; lecz on, innemi sprawami zajęty, to biegał do stajni, to czegoś szukał po strychach, to z ogrodniczką coś szeptał w leszczynie i wtedy obruszył się na mnie:

— Co łazisz, jak to ciele za krową!

— Bo... bo Józio powiedział, że... może.

I stało się wreszcie — nadszedł zmrok upragniony, sam dziadek klapę kantorka uchylił i — cuda,



oj, cuda, a wszystko ze strzelbą związane. Leżały tam rzędem woreczki ze śrutem, i sarniak, i kaczy, i ptasi, i półkulcza siekane i ołów, jak orzech. Prochu wielka butelka, proch przemycany, obok tęga garść pakuł i rzędem piguły z bibulastego papieru. Najmilsze, zasuwane pudełko stalowe i prawie że pełne kapiszonów złotych.

Sam dziadek strzelbę wziął z kąta, dźwięknęły kurki, aż w sercu oddźwiękło, potem dziadek lufy przedmuchał, i po butelkę z prochem sięgnął powoli. Garstkę nasypał, spojrzał, dwie, trzy grudki zgrabnie do butelki strącił, i z suchym szelestem potoczył się proch do prawej, do lewej. Udarł pakuł porówno, w dwa otwory zakręcił, stemplem zlekka zasunął i, przybił, a stempel, jak żywy, odskoczył i jeszcze uderzył i jeszcze oddało.

Garstkę śrutu dziad zważył na dłoni, zasypał — potoczyło się ziarno, na podłogę spadło.

— Poszukaj!... — mruknął do Józia.

Jak kot sunął Józio, bo ważne ziarenko, to właśnie, które trafia.

Gdy je lekko z dwóch palców w lufę opuścił, dziad przybił papierową pigułę i westchnął, bo papieru żałował, potem dłonią w panewki uderzył, dwa kapiszony zasunął, znów westchnął. Siwemi oczami z pod białych nawisłych brwi surowo spojrzał na Józia, strzelbę mu oddał i rzekł:

— Mierzyć w zająca na komorę, do boku, a lisa w nos. — I po chwili, jakby chcąc obniżyć uroczy-

stość wyprawy: — Kiep, nie myśliwy, co na wychodnego bije zające...

Podniósł kłapę kantorka i zawarł się cud.

Przez sad do przełazu. Zasiadł Józio za płotem, strzelbę wziął byle jak i mocno mię przygiął do ziemi za kark.

— Cicho mi siedź... Ani pary z ust!

A tu serce — w cwał.

Raz jeszcze w życiu bije tak mocno: gdy o n a, ta pierwsza, ma przyjść, i jeszcze raz: gdy już stare, znużone — zaboli.

Jakby wczoraj się działo, pamiętam: Górą skrzy niebo, dołem przez białe równe poletko chybko mróz leci, wiatr pogania, a z nim suną w płasach z kłębów pyłu wyrosłe widma-latawice. I, jakby z wielkiej uciechy, cisną raz po raz w twarz tysiąc szpilek. To znów zaśmieje się wichur, zakotłuje na miejscu, z białego całunu ukręci cudaka na śmiech i, zmaga się z nim, to znów nisko nad polem przeleci, zwał wielki zgarnie, od prawa, od lewa zabieży, aż górę usypie, na niej sobie odpocznie.

I znów cisza, ale coś jakby szmer niepojęty sypie się w ciszę, a z niej chwilami unosi się strach i już ścisza serce bijące, a tu jeszcze i ziąb drobne stopy już przejął i za uszy drze, a nie widać nic. Nie widać nic i bolą oczy. I już tak pewno godzina, a może trzy.

Nagle jakby prąd ciepła przeleciał, szerzej w pierśsiach się rozszedł. Od smugi lasu oderwał się wielki, wielki kłęb i, jakby sunie... Tak... tak. I serce



widać na spotkanie wybiegło, bo ani go słyhać, a wielki kształt sunie, już sady. Nagle przypadł do ziemi, nagle w górę się wznosił — smok z bajki, a taki straszny, w tej nocnej pomroce... aż serce zpowrotem wylęknione przybiegło, a gdy kształt już o staje, o pół, nagle radość, jak blask, i krzyk, prawie jęk potężnego wzruszenia:

— Zają-ąc!... proszę Józia!... zaj...

Coś jakby ukropem oparzyło mi twarz, potem dwie ręce porwały za uszy zdrętwiałe...

A zając spłoszony przystanął, patrzył chwilę, co to się dzieje w tej nocnej zadymce, i szarpnął do lasu.

O boleściwa chwilo powrotu do domu! — o pierwszy wstydzie młodzieńczego zapалу!

\*  
\*  
\*

Wstyd uszedł powoli z pamięci, nie zgasła w sercu ochota. Zaś w strzelbie jakby rozpętało się jakieś лихо kuszące:

— Bierz mnie... bierz!... Stara jestem, ale bardzo przykładna Bierz... bierz... Zobaczysz, jak to jest słodko...

Zły duch szeptał nocami:

— Weź, weź! Za stodołą całe stada poświerków... Wrona też w zimie dotrzyma.

Ja zaś, niby broniąc się słabo:

— Cóż po tem, kiedy dziadek pewno naboje wykreśli.

— Ale... Nie wykreślił nic dziadek... Wiesz ty dobrze, że strzelba nabita.

A strach aż tarmosił, że to ja wiem dobrze, że strzelba nabita. Toć przecie codzień stempel opuszczałem do lufy, codzień na cztery palce wystawał.

I smutno mi było, że to, ani poradzić się kogo, ani komu zwierzyć się z troski, aż wreszcie znalazłem duszę pocziwą — powiernika, co moją zgryzotę zrozumiał.

— Ano, niech ino śnieg spadnie, to już ja ta panielczka do kulasa podwiozę.

Tak mi rzekł stary Michał, porządkowy we dworze. Człowiek jedyny, co nie bał się dziadka, jako, że to razem chodzili na Węgry, razem, na dwóch siwych kobyłach, do Taczanowskiego przystali, o czym, letnim wieczorem, nieskończone snuli gawędy, gęsto spluwając na wszystko, co choć pół wieku żywota nie miało.

Ale wobec możliwości tak bliskiego spełnienia marzeń najtajniejszych, strach wielki mię objął, bo cóż to się stanie, gdy jutro właśnie śnieg spadnie, a może jeszcze i dzisiaj, bo tak jakoś dziwnie w powietrzu i jakby duszno...

Nie, nie, nie będzie już śniegu; ale jeśliby wypadł, to już widać sam Pan Bóg tak zechce — sam Pan Bóg rozgrzeszy.

Tylko, że to Pan Bóg wysoko, a cybuchów w kancelarii — sześć stoi.



Jednak po dniach kilku niepokojów, co też to w niebie postanowiono w tej sprawie, jakoś pod wieczór, gdy w pobliżu Michała na podwórzu myszkował, a ciągle był mu na oczach, skinął na mnie staruszek.

— Na dwoje się wróży: albo z odwilgi plucha wypadnie, albo na noc śnieg nam się zdarzy. — I głową trzęsącą w stronę chmur ciężkich, mglistych, poruszył i spojrzał wokoło.

— Ta mi się widzi, że na ważny śnieg idzie. Będzie kot zmrużał i dotrzyma twardo.... — uśmiechał się stary.

Zmrok szedł powoli i przyszła noc długa.

Znają kochankowie te noce, gdy to, wieczorem, pierwszy raz usta się zwały, jakby spłoszone uciekły od siebie, a choć nikt słowa nie wyrzekł, jutro śpiewa im w duszy, sen spędza z powiek.

Świtkiem w oczy uderzył mnie blask. Wypadłem do okna. Jakby puchem szyby zasnuwane, na modrzewiach, na świerkach kłęby śniegu leżą, a dalej pole białe, białe, dalekie.

— Hej, będzie kot zmrużał! — i w duszy blask, ale wnet jakby cień na nią padł, bo oto grzech idzie... pierwszy grzech w życiu, z całą świadomością w przemyśleniu poczęty!

Chyłkiem, za owczarnię stary wyjechał. Wąskie, niekute saneczki, dropiata kobyłka. Ja, strzelba i strach siedliśmy we troje. A strach najsilniejszy,

bo nie mówiąc o sobie, tak mi się zdało, że i strzelba jakoś dygoce, choć mocno kolanami ją sparłem i garść obok garści — za lufy.

I sanki telepały się jakoś — to górą, to dołem, z brózdy na zagon, z zagonu do brózdy, zamiatając płozami, jednym słowem, jakby działo się coś, do czego w nikim szczerej ochoty nie było.

Tuż przy wycinkach stary pół twarzy ku mnie obrócił.

— Pilnuj! — jakby wiatr szeptem wionął.

Podniosłem strzelbę, strach siadł na ramieniu.

— Co?... Gdzie?...

Głową zlekka poruszył, coś mi wskazywał, i ślimakowatą linją kołując, począł do czegoś upatrzonego się zbliżać.

— Gdzie?... Gdzie?...

— Wej... Zmruża za kępka, ino ździebko łeb mu czernieje. Wysiadać i przy saniach iść.

I po chwili, przez zaciśnięte usta, jakby ze złością:

— Ady... bo pójdzie. Ady grzać! Ady-y-go!

Zakotłowało się nagle, potwór jakiś wychynał, rozczapierzony, niezdarny, zaszamotał się w śniegu, w oczy mi buchnął biała kurzawa. Zmierzyłem się szybko... ledwie cyngla dosięgnął, coś grzmotnęło straszliwie, coś mną określiło na miejscu i, cisnęło o ziemię.

Stał Michał nade mną i trzęsło mu się stare brodzisko ze śmiechu. Ciepła krew ciurkiem biegła mi z nosa, a zając rwał w las.



— Przysłaby panicz jeszcze do strzelby, przygorący paniczek.

Placz buchnął mi z piersi, a stary pocieszał:

— To nic, to pierwszy raz przecie; a pierwsze koty za płoty.

I westchnął z przyjaznym uśmiechem:

— Jak to pierwsze kochanie.

## W SIODLE



— Goon!

Na angielskim crack'u i w czerwonym dress'ie.

Bo zbiegły już czasy aż do niepamięci, kiedy posiadaliśmy własny swój język na wszystkie terminy i, kiedy o polskim koniu, o polskiej jeździe wielki głos szedł po świecie. Aż rozdzwonił się w echa tysięczne wśród skał Somo-sierry — i zmarł, przemocą zdławiony.

Zbiegły, jak sen, któremu trzeźwe życie się dziwi, zbiegły jak sen, owe czasy i czary, gdy na pańskich zamkach, w złotogłowie falach, klejnotami skrzących, przy hucznej fanfarze a myśli beztroskiej, odprawiono turnieje, kawalerskie igry. Kiedy to najpiękniejsze ludzkiej duszy dary — odwaga i miłość — wiodły rycerza w barwach kochanki, „z dwornym ukłonem i zniżoną kopją“, w szranków jasne kolisko.

„A białe się pióra chwiały na szyszaku,

„Przez lewe ramię pas przewieszon drogi,

„A koń się wspinał od złotej ostrogi“.



I jak sen dawny zmierzchły wspomnienia, gdy imć pan Ossoliński przepychem świat zdziwił, a chwała polskiego narodu poszła po dworach, gdy jegomość książę Sapieha w tysiąc pięćset koni „co najcudniejszych“, w sto landar poszóstnych, a piórno, barwisto, w złotolitych blaskach, z chmarą sług, ciurów, poselstwo do Moskwy odprawił, hosudarowych panów na harce rycerskie zaprosił, wspańnością zabawy, królewskimi darami ich olśnił, dla uciechy pospólstwa srebrne gubił podkowy.

Odwróciła się karta.

W ręku program konkursów: — 600 rubli nagrody i przedmiot od pułku dragonów.

Już nawet wspomnienia uciekły; żal za tem, co było, już w sercach nie mieszka.

— Goon!

Na crack'u angielskim i w czerwonym dress'ie. A mundury rosyjskie wokoło.

I gwar rozmaity — nie polski.

\* \* \*

Koń ruszył w krótkim galopie zebrany, jeździec mocniej osadził się w siodle, ku dołowi sprężył nogi w strzemionach i z koniem się zwał, na dobrą dolę, na złą.

Dzwonek uderzył, a wraz w ludzkiej ciżbie odpowiedziało mu serce bliskie, jedyne — niespokojnie zatłukło. I jakby ścichło strwożone, gdy koń w nagłym rzucie się wydarł, w szerokim skoku

mgnienie zawisnął, ulżonym krzyżem ponad płotem się przeniósł, ciężar opadł na siodło.

— Flying! — krzyknął ktoś w tłumie.

— Ach, czort tie dieri! — odpowiedział z uznaniem ktoś drugi.

A tam rozchyliły się usta, oddech zaparty ulgą z nich spłynął, i znów serce pędem pobiegło, zamarło, znów zakołysał się tłum.

— Dobrze, dobrze, bez błędu.

Ale ten nasyp — złośliwie, zdradziecko pochyłe wzniesienie. Chwila krótkiego wahania przez uszy końskie przebiegła, ale już w pędzie miękko przycięły się nogi, już się wgórze podniosły i w dwa takty pochylił się jeździec, odchylił. Już za przeszkodą krótkimi skokami rwie przestrzeń i dalej koń nad barjerą zabłysnął, dalej czerwoną plamę przeniósł przez „triple barre“, przez mur — już jej oczy się śmieją szczęśliwe, gdy nagle zbyt siłom zaufał, do skoku przed czasem się wyniósł — zwały się drągi. Łoskot grzmotem po mózgu się przeniósł, żgnął w serce ból.

Wtedy tuż obok, w drugiej kobiecej duszyczce rozplynęła się radość i na mgnienie skrzydeł motylić oczy zabłysły szczęśliwe, bo oto ubył współzawodnik, ten najgroźniejszy. Już żegnał go dzwon.

A za chwilę, gdy skończył się bieg, radosna twarzyczka oblekła się w smutki; a tej z żalu pobladłej powabny uśmiech usta rozchyła:

— Jakże się cieszę z zasłużonych sukcesów!

— Dziękuję, ale — przykro, doprawdy... Mał-



żonek pani tak bez zarzutu i, nagle taki wypadek...  
Bardzo, bardzo odczułam...

— Słowo pani współczucia będzie mu drogie...

I patrzę na siebie z uśmiechem, z tklwością.

Gdybyż to można było oczami — zabijać!

Chwila milczenia: dzwonek w porę uderzył, już w sarnich susach, lansadach wypadła od stajen My Ownest. Suchy i drobny, lecz jak stalowy pręt giętki jeździec rwie na niej ostrym galopem.

— Dobry ma p a c e.

I tak się wydaje, że drobna figurka ciska silną hunterką na wysokie przeszkody, a klacz sadzi sussem szerokim, zdaje się cieszyć szczęśliwa, że tyle oczu ją ściga.

I znów spadły drągi — przeszkody, klacz wyrwała się skokiem i znów łoskot złowrogi, a w gromadce sportsmenów i ladies z ożywieniem rozmowa, dlaczego się to stało?

— Bo H e r z'u w nim, panie, za dużo.

Jakgdyby to serca być mogło za wiele.

Znów w pięknych oczach, jak cenne klejnoty, lzy błysły, a tam, chyłkiem, od stajen, klapiącym truchcikiem, wysunął się podkasany, gniady, zgoła bez wyrazu, a na nim jeździec, bez duszy, bez krwi.

Targnął cuglami, bo koń mu się zdawał jeszcze zbyt szybki, przewinał się gładko przez pierwszą przeszkodę, a dalej, jakimś psim skretem, poskoikiem pracowicie przełaząc, zdobył wszystkie, bez błędu.

Bez uśmiechu i śladu radości przyjął kokardę, i do stajni truchcikiem tym samym pokłapał.

I tak się zdawało, że nikt tego zwycięstwa dla niego nie pragnął, ani się martwił zwycięstwem, a gdy mu składano życzenia i ktoś się zapytał, jakiej rasy jest klacz nagrodzona:

— Bez rasy.

Gdy zaś inny zwrócił uwagę, że jednak może „serca“ w niej trochę za mało, uśmiechnął się po błazniwie:

— Serce, panie, nigdy nie płaci.

\*  
\*       \*

Dzielny King, doświadczoną prowadzony ręką, ponad dwumetrową wysokość się wyniósł, oczy tłumu porwał za sobą.

— Wziął! — do oklasków złożyły się dłonie.

W długim galopie rozciągnęła się faworyta Dąszkiewiczowskiego stada — rosła klacz „Marysina“ i, chwila odskoku, jakby mgnienie zastanowienia jeszcze, i, już zaważyła nad drągiem, zad lekko wyniosła — — bez błędu!

Za nią, z wdziękiem, w skoku się przygiął, rozprężył — „Barin“, koń z bajki.

Chwila ciszy, gorące rozprawy: dobry jumper... puller... bascule'a tempo za krótkie... a ów najgłośniejszy, co nigdy na koniu nie siedział. I znów natężona uwaga, gdy jeszcze ponad dwa metry podniesiono wysokość, a nie byle o co chodzi, o miłość



własną jeźdźców Warszawy, o pobicie rosyjskiego rekordu.

King ruszył znowu. W potężnie szerokim odbiciu, nadkońskim wysiłkiem podniesione drągi przesadził.

— A — aa! — zakołysał się tłum.

A tam, jakby sercu ciasno w piersiach się zdało, radeby wyrwać się, biec, gdzie drobny jeździec już na klaczy się wspiał i, z okrzykiem, jakby duszę oddać jej chciał, bodaj kawał życia własnego:

— Ho — oop!

Za piękną chwilę bohaterskiego wysiłku tłum ludzki dziękuje. King, Marysina na ustach.

Z ulgi odetchnieniem, z oklaskiem szczerym, serdecznym, mocny głos polski się wydarł:

— Rekord pobity! Zwycięstwo!

— Zwycięstwo! — falą poszło przez park, powtórzyła ulica.

I nagle zakołysała się myśl. Jakby jej ciasno, do dawnych dziejów ucieka...

— Polskie zwycięstwo...

I jakoś dziwnie na duszy, jakoś małym, nikłym się zdaje, co tak mocno przed chwilą wzruszało.

\*  
\*      \*

A jednak, choć przemożny czas, ciągle nowe życia warunki, a przede wszystkim zła moc twardego bytu zwolna zadręczyły dawnopolską świetność jeздеckich zapasów, jakby ktoś krew po kropli

wytoczył z rycerskiej, serdecznej ochoty, aż opadła bezsilna i w samochodach raid benzynowy odprawia — jednak to pewna, że w polskich dusz ukochaniu jeździec dawny wciąż żyje, niby owej karabeli szczątek czy stary ryngraf, choćby strzęp pasa słuckiego. Do nich zawsze oczy pobiegna, myśl z rozrzuconą ciekawością się zwróci.

Dość tutaj spojrzeć po szarej ludzkiej gromadzie, co snadź głębiej zachowała dawnych animuszów jeздеckich tradycje, bo z jakimże uczuciem, przyrodzonym znawstwem, śledzi konia każdego i nim się lubuje, a niechże tylko czerwony frak błysnie na torze, wnet zewrze się gęsto gromada i z niej głos, jakby wzruszeniem zaparty:

— Nasz jedzie!

Wtedy myśl każda, każde serce rwie się i biegnie za jeźdźcem, a gdy niepowodzenie się zdarzy — chwila ciszy w gromadzie, gęsto mocne przekleństwo.

Jakże inaczej w barwnej, wielkopańskiej ciżbie, u trybun, gdzie i zachwyt kłamię, i wzgarda nieszczera, a mówić o jakichś myśli pamiątkach, o serca porywach, a zwłaszcza po polsku, będzie zawsze w złym guście.

Ale pono zawsze tak było.

Bo, jak mówi poeta: ażeby pokochać, trzeba wprzód stracić.

Już do stracenia — niewiele.







Na łąkowem, stoczystem uwrociu rozsiadły się  
zwalisto krzaki dębowe i kręte wiązy, a z nich śmi-  
głe brzoźki bieleją. Niżej jakby kto, nie do rzeczy,  
kępy leszczyny rozrzucił, ale i mądry, bo przykre  
brzegi rwącego strumienia olchą wygrodził.

Cicho i parno, szafirowe podniebie od zachodu się  
młodzi, pod niem ptak nieruchomie zawisł na skrzy-  
dłach, jakby zasłuchany we dzwony i lutnie niepo-  
jętych odgłosów, drżących w fali powietrznej, prze-  
pojonej żarem i blaskiem.

Dzień letni — południe. Życie radosne w rozto-  
czy barw, w szeptach tajemnych, niecierpliwych  
wzywaniach bije od ziemi, od wód. Msza święta  
przyrody — gloria miłosnych upojeń.

W kępie krzów ciemnych, gdzie nie dopatrzy czło-  
wiek, w małym kraiku, gdzie tylko rozśpiewanie  
i szczęście, gdzie ptaki, motyle, owady, którym ob-  
ca złośliwa ciekawość i ludzkich błędów nazwy wy-  
myślne, zeszło się dwoje: panicz, dziewczyna.

Lat siedemnaście, pierwszy poryw młodzieńczy,  
bojaźna ochota i moc; u niej dwadzieścia na bezrok,  
złe burzy krew, jakoś się cni, i tęskno i — wstyd.



Osypane kwiatami posłanie, całują się ptaki, wiją motyle, zaś nad dwojgiem — strach...

A gdy zeszli się znowu w leszczynie, pod wieczór i jakąś książkę ze sobą przynieśli, żaba — gad mądry, ciekawy, podsunęła się bliżej, w pytającym spojrzeniu zamarła.

— No, dobrze... Ale poco im to?...

I zadumała się chwilę, poco przyszło tych dwoje w ciche ustronie — czy dla własnej, żadnemu stworzeniu niewzbronionej radości, czy może na zgubę rodu żabiego? I dała jeszcze pół skoku, przysiadła i patrzy gad mądry wypukłymi oczyma, przenikliwie patrzy.

— O — aa! Ziaba... Ziaba, paniczku! — zerwała się chybko dziewczyna, na białych nogach obcisnęła kieckę.

— A cóżto żaba? *Rana palustris* po łacinie nazywa się. Ale są jeszcze inne tych płazów gatunki, jako to:...

Nieciekawa wykładu, do jakiego ją tam gatunku człowiek zalicza, w niezdarnych skokach oddalila się żaba, a gdy już w ojczysty dołek zapadła, wysunęła łeb z wody, rzechotnęła zjadliwie:

— Na — u — ka!

A za nią w tej chwili jej towarzyszki — kumki zadukały pośpiesznie:

— Nauka, nauka, nauka!...

Bo to nic ludzie nie wiedzą, że każde żyjące doskonale człowieka rozumie, zna jego sprawy i z wielką ochotą jego kłamstwa wyśmiewa.

Co dnia panicz w leszczynie się zjawia, co dnia biegnie tam dziewczyna i, jakby coraz więcej krótką drogą znużona, dysząca, radością wezbrana, opada na złotych jaskrów posłanie. I co dnia bliżej ku sobie panicz dziewczuchę przygarnia, a i ona, co się ziaby bojała, tuli się wstydnie, ale chętnie.

Zato z czytaniem idzie jakoś niesporo, jak przy pierwszym spotkaniu, gdy panicz książkę otworzył i wielkie A, jakby zbite ciesielską robotą, pogładowo objaśniał.

— A — nazywa się taka litera. Widzisz, jakby szczyt u chałupy, a w środku beleczka.

— Kiej niema wjazdu... I drabka nie stoi.

Dorysował panicz drabinę, drzwi w szczycie i pyta z uśmiechem:

— No, będziesz pamiętać? Powtórz, jak się nazywa taka litera.

— Zaś tam litera, kiej stoi chałupa.

Niecierpliwie stronicę przerzucił, inne A wskazał.

— A — się nazywa. A, a... Jakby szczyt u chałupy.

— Kiej niema wjazdu...

— Głupia jesteś, Marynka.

— Jakby ja była głupia, tobym po wsi latała.

— Patrzaj... B — ma dwa brzuszki.

— Rychtyk — stara sołtyska.

— Powtórz: Be — ma dwa brzuszki.



- Be-e... mo dwa — dwa... niechta se mo...  
— Powtórz. Be — ma dwa brzuszki.  
— Be — mo-o... Moo-oo... kiej me już śpik mo-  
rzy, paniczku.

Osunęła jasną głowę na kwietne posłanie. Chwila i śpi, a nad białem jej czołem, nad czerwonymi ustami chwieją się dzwonki i dziegle, zwiewne stokłosy i brzanki kołyszą, jakby w nich życie i podziw; już i trzmiel brzeczy, boć pewno nielada słodkość musi być w dziewczusze, co pachnie kwiatem, a jak owoc soczysty.

A górą czajki, z niecierpliwem wzywaniem:

— Ii? I — i?

Zaś w paniczu ze dwora krew bije, kotłuje, do skroni się ciska, i głowa jakby ciąży, do dziewczyny się chyli: ku ustom, co jakby drgnęły leciutko, ku oczom, gdzie z poza rzes cienia, jakby błysło światełko, a tu i nagle rozrzuciła ramiona, drżą jeszcze, jakby za chwilę zamknąć je chciała, rozchylają się usta, powoli, powoli, z oddechem... drżą prośbą usta...

Po twarzy płonącej panicza zimna trwoga pobiegła. Mchów, kwiatów, łakowego ziela garść pełną cisnął na wrogie piersi i w twarz.

Wtedy ona rozprężyła się, lubo utuliła kwiecie miłośnicie, odczuła dar młodej nienawiści, droższy i słodszy, niż mądre kochanie.

— Bóg zapłać, paniczku.

— Idź, głupia.

— I za to — Bóg zapłać!

Powstała zwolna i z wielką radością, świadoma swych czarów i władzy, poniosła ku chacie pęk kwiecica na piersiach, jak padło.

Jakby zaś kto odmienił nagle dziewczynę. Do nauki czytania przywarła ze szczerą ochotą, a kształt każdej litery odnajdując w jakimś statku domowym, czy gospodarskim pożytku, z poza którego śmiały się do niej jasne oczy panicza, biegła myślą do niego, a wdzięczna, że nie po próżnicy ją męczy, ale z kochania.

I co dnia była kraśniejsza, zato co dnia bleśdzy paniczek, choć w nim przecie moc była, a w niej tylko — wstyd.

Aż nagle poczęło ją dręczyć zwątpienie.

Toć przecie już dobrze rozumiała czytanie po składach...

Toć przecie wiadomo, że dziewczucha rośnie dla chłopca, dla dziewczuchy chłopiec, zaś jemu ani to w głowie, żeby ją chociaż mocniej przygarnął, choćby wytuzął, ukoił owo, co, bez sposobu, w niej burzy!...

Ino mu te białuśkie ręce dygocą, ino mu te ustka latają, zaś oczy od niej odwraca, a tu serce, jakby we młynie, kiej na dwa ganki robota.

A zaś jeszcze i żabska dukają, jakby we złości, gadzina porykuje żałośnicie, jak nigdy i, ani sierzpa w garści utrzymać, ani jak należy obrządzić, ani dnia, ani nocy...



Nieporada — i cóż?

I nagle usta zbladły dziewczynie, jak pąki różane, gdy w nie znagła gorącość uderzy, mąt oczy przysłonił, jak te wody pod chmurą.

Musi, krew w niej się zastała, powiadali we wsi.

Na kamieniu, u chaty, dziewczucha przysiadła, żalnościwie rozmyśla:

— Żeby nie te ręce bieluśkie... żeby nie te oczy śmiejące...

— Żeby nie ta cała osoba, jak lalka... — i jasne, jak żyto warkocze rozsula; w jeden je splata, modrakami przetyka.

— Żeby nie te usta wiśniowe... — I warkocz nad czołem upięła kolistą.

— W ziemię chłopabym wdepła.

Ale znów żalność powraca.

— Czyż ja to krzywa, czyż ja to straszna? — patrzy ze smutkiem w lusterko. — A może... Ale ino poczekaj, niech ci się oblekę... — żwawo ruszyła do komory, po szmat od święta.

I jakby przyodziała się w tęczę. Strojna, pasiasta, schodzi w leszczynę. A że pali się w słońcu dziewczucha, i wnet, zdało się, że szarość zesła na błonie, pociemniało niebo, i jakby pustka a smutki wokoło, taka już kraśna. Złotą niesie koronę, turkusami nizaną, pod nią dwa światy i nie wypowiedzieć, co świeci, z kochania.

Zwolna se idzie i drobi, a w biodrach kołysze, bo

tak trzeba, że to przecie nie pilno, choć się serce wydziera.

Zwolna se idzie i drobi, a tu już oczy młodzieńcze na spotkanie wybiegły i chłoną upojenie, w rozręsknieniu radosnem i dzwoni gorącej krwi fala.

— Dziś... dziś...

Lecz oto, coraz bliżej dziewczyna, fala zbiegła od głowy, a bojaźń chłopięca z zamierającego serca do mózgu się ciśnie, dławi pragnienie...

Zwolna se idzie — spotkały się oczy.

Aż furczą wstęgi, grzechoczą paciory, biegnie, dyszy dziewczyna, już do kolan chłopcu przypadła, ramionami oplotła, a niebieściutkie źrenice ku niemu.

— Paniczku!...

— Co?... Co się stało?

— Paniczku... Nie uredzę ze sobą.

— Paniczku!...

— Co — co? Czego ty chcesz?

Opadły jej ręce i zbladły jagody, moc jakaś tłukąca się serce porwała, uścisnęła do bólu — ustało. W jakąś głębię żalności zapadła się myśl.

Przycichło rozśpiewanie w leszczynie, jakby na rzeszę skrzydlatą padł strach czy zdumienie. Ale wnet, jak to bywa, z większą mocą podniosła się wrzawa, ćwierkanie, skrzekot i piski. A gdy, za chwilę, znów się uciszył ów wrzask podniesiony, cała zaś chmara hałaśna przeniosła się ponad leszczyną i nawodne rokiciny obsiadła, panicz książkę otworzył.



— Czytaj!

— Nie bede!

Zaczem spozrzał w zgasle jej oczy, i wtedy żartki niepokój zakolał w płonącej głowinie. Coś stało się źle, i nagle jasność zeszła na myśl, że — kocha dziewczyna... Kocha — jakby krzykiem rozniosło się po nim, czerwone kręgi przysłoniły oczy, porwał ją w krzepkie, szalone ramiona...

Wysunęła się z objęć niedbale.

— Trza puścić... zobacza.

— Kocham... ja... kocham ciebie... Kocham... — dławil się głosem, rwał ją ku sobie.

— La pannów takie kochanie... — i odsunęła go lekko. Harna, wyniosła, obleczona w tęczę, odchodziła zwolna, a tak się zdawało, chwilami, że pod ciężarem wisną jej gibkie ramiona, zapadają się nogi, w kwietnem podścielisku.

I pochyliła się nagle i sunęła, jak ptak barwny, nad ziemią.

Jak ptak ugodzony śmiertelnie sunęła bez głosu. Nagle żal w niej rozjęknał w łkanie się zmienił, i — śmiała się, śmiała, a wiatr śmiech skręcał w bicze długachne i panicza po sercu, po sercu.

Wnet, dosłyszawszy głos ludzki, okrzykneły się czajki i zbiły gromadą w żalościwe głosy i wnet, jakby tylko znaku czekając, rzechotnęła kumka:

— Na — u — ka!

A za nią z wielką ochotą:

— Nauka, nauka, nauka! — wszystkie żaby po dołkach.

## W STARYM PARKU



Panna Renata, dumnego rodu ostatnia dziedziczka, cała ciemna, wyniosła, idzie długim, blado-żółtym szpalerem klonowym. Pod drobne jej stopy wielkie liście powoli się kładą, górą czernieją nagie, splecione konary, a przed nią jakby wielkie okno gotyckie — na jasną roztocz jeziora. Co dnia, na poranne modlitwy stara pani tutaj się zjawia, z pajęczej, szlarkami bramowanej chusteczki szafirową książeczkę Tomasza z kempis otworzy, jego myśli czyta z wielką miłością, zaś, w ukojeniu, marzy o tem, co było.

Z dawnej fortuny, z włości, których chłop długim dniem wskos nie przejechał, z borów, gdzie w czarne ostępy, od królewskich czasów nie zachodził człek nieścigany, a mieszkał bezpiecznie zwierzę wolny, z żywnych łąk, z rodnych pól, z całego bogactwa nigdy dokładnie nie znanej przestrzeni — dawny park tylko starej pani pozostał — gniazdo rodzinne, świętych wspomnień kaplica, gdzie stare wierzby, jesiony opuściły konary i płaczą. Toć trzy walki przeszły przez pańską fortunę, trzy razy ją



wrogie ręce szarpały, darł ją zły sąsiad, okroiły procesy, aż wkońcu się zjawił swój człowiek, oprawca- parcelant...

Z tysiąca dusz, z trzystu chat, z pańskich cugów, landar poszóstnych, z mrowia sług, ze świetności i blasku — jedno serce zmartwiało — trzęsący się dziad. I klaczka, osypana tatarką, o której nikt nie wie, ile ma lat i, posiwiały, drętwy pies, Rozbój — na śmiech takie nazwisko. Tyle z inwentarza zostało.

I dworek, ze starego śpicherka. Zdżiczałe grusze już go dawno przerosły, koronami nad kalenicą się zwarły, wiosną sypią kwiecie na strzechę, mchem szmaragdowym utkaną, a jesienią — w purpurze opadłego listowia nurzają się białe gołębie.

Czerwone kwiaty w małych okienkach, skąd ktoś na starym szpince miętko dziewczczą modlitwę wydzwania, a z wysokich łodyg do okien się chyla, jakby zasłuchane w muzykę, dawną modą trefione, karbowane główki.

Wyśmiana pieśń i wzgardzone kwiaty.

A gdy ścichnie muzyka, godna pani, dumnego rodu dziedziczka, pocznie poranne modlitwy. Raz wraz suchą, drobną ręką uderzy się w piersi i korzy.

— Wybaw nas, Panie... Zlituj się nad nami!

Tysiącem blasków jesiennych płonie park stary, świętych wspomnień kaplica.

\*

\*

\*

Jako ów wiekowy magnat-karmazyn, co to rad w płomieniste barwy się stroi, jakby chciał zbliżając się starość omamić, że to jeszcze na niego nie pora, tak i park stary, przy schyłku lata obleka się w szaty weselne.

I, jako ów magnat stroi się w barwy, jakby zlekka wypełzłe: w złotogłów, stare bławaty, co w pańskiej szatni, z rodu na ród idąc puścizną, lat już wiele przetrwały. A choć stary nobilis nie żałuje purpury i złota, strój jego nie lśni nowym, zimnym połyskiem, jako że nawet blaskom i barwom potrzeba czarów przeszłości, jej niepojętych uroków.

Cztery razy do roku stroi się park stary, cztery razy odmienia. Jakby młodzieńczyk, kwiatami się mai, zielonością wieńczy, to znowu jakby rudział, poszarzał i trudu się jał, nagle rozbłyśnie na gody jesienne, a potem, jakby srogą pokutą dni świetne oplacał, w sen martwy zapada. I oto zły los, czy nieubлагana następność zdziera z niego rozwiewne dekle wzorzyste, ciężką purpurę, złotoblask. Gaśnie park płomienisty i w bieli śniegów zamiera, a tuż, stare świerki, niezmiennie strażę, zawsze kudłami zrudziałych igieł porośłe, strzegą martwych ostatków minionej świetności.

Cztery razy do roku stara pani snuje wspomnienia, cztery razy odmienia się pani, ale co roku bielejąca głowina i coraz niżej się chyli. Co roku dziwniej staruszcze, że drogi martwemi liśćmi coraz wyżej usłane, a przecież dawniej chodziło się po nich bez żadnego wysiłku.



— I ptactwo — powiada staruszka — nie śpiewa, żli ludzie wyłapali w sidła. I ciągle wokoło coś huczy, jakby w uszach dzwoniło — pewno fabryki. I serce zamiera chwilami... Z powietrza.

Do starego, roztrzęsionego dziadka-ogrodnika się zwraca:

— Prawda, Antoś, z powietrza? Niedobre powietrze...

A głos taki, jak szelest liści, gdy wiatr niemi poruszy:

— Niedobre, jaśnie panienko — a pewno — niedobre, bo cóżby ta było dobrego dzisiaj na świecie... — stary gniewnie mamrocze.

Ale gdy rozpękną kotki na iwach, gdy już życie zakipi w olszy, w brzezynie, gdy się odezwie pierwsza sikora, młode życie wstępuje w pannę Renatę i dziwno wtedy dziadowi, co z zimowej martwoty otrząsa się długo, że byle promień słoneczny na sto koni sadza panienkę.

Bo, jak młoda, po starym parku się zwija. Każde drzewo odwiedzi, do każdego zagada, a że pamięć najwierniej przechowała dziecinne wspomnienia, jakby znikło z życia pół wieku.

— Hej, hej! A to mi panna wyrosła... — tak się starej brzozie dziwuje. — Toć przecie nie tak dawno jegomość cię sadził, kory białej jeszcze wtedy nie miałaś. a dziś... dziś... hej, jaka panna dorodna!

— A tu z panny dorodnej już próchno się sypie.

Potem wielką kępę dębów wita panienka:

— Jakże się, stare dziady, miewacie? Oj, nie wiadać lat po was, a przecie sporo już latek, oj, sporo... Ale skądże tu między wami jarzębinka się wzięła? Przecie jej dawniej nie było. I skądże znowu takie rosochate klonisko? Cudeńka! Antoś — A-aantóś!

I po długiej chwili, głos, jakby z podziemi:

— Ady lecę na duch... I cóż tam, gore czy co?

— Powiedz-no mi kochanku, skądże ten klonik, tu między dębami?

— Ady... z ziemi, wiadomo.

— Głupi Antoni.

— Już nieporada, że głupi.

I smutnie głową potrząśnie, a utykając do swego zajęcia, gderze półgłosem:

— Słońce przygrzało, ta zara — i głupi Antoni. Nie bój się, pannuńciu, niech-no zima ostudzi, to i Antoś zmądrzeje... — i nad wielkim krzakiem leśszczyzny, z której już żółto-bure kotki wykwitły, przystanął.

— Kie lichy?... Skądże takie zielsko dużachne, skąd pobok to drugie? Toć była tu zawsze gładka polana... Figle jakieś djabelskie... — i przeżegna się stary.

A gdy już panienka widokiem białych dzwonków, pierwiosnków i fioletowych przyłasczek, szafrańców oczy ucieszy, gdy potem zabiela się przyziemne krzaki tarniny, a wyżej jej siostra czeremcha zwiesi kwietne swe kiście i miodnym zapachem spłynie po starym ogrodzie — wtedy dzień święta w myślach panny Renaty i, jak po dawny cenny



klejnot, do wspomnień skarbczyka po słodką chwilę sięga staruszką.

Pod starym wiażem, o szeroko rozpierzchłych gałęziach, gdzie ławka kolista i na wieczną pamiątkę serce z bukszpanów...

— Tutaj... — w myślach zatli promyczek, a serce zamrze na mgnienie.

Pod starym wiażem, gdzie ławka kolista, ktoś, kiedyś — ktoś dawno...

Grzech, grzech, ale przecz taki błogi?

Wnet Tomasz z Kempis, w jej drżących rękach odchyli się na poźółklej stronicy i już czyta staruszką, słowo po słowie, zlekka poruszając ustami:

*Za namiętnościami swemi kto idzie, wprędce niespokojnym się stawa, a pokoju nabędzie, onym się przeciwiać.*

— Toć przeciwiłam się onym. Oddał, Panie, pokusę grzesznego wspomnienia... — i w pokajaniu głowa się chyli.

A górą stary wiaż, jakby szumi:

— Nie przeciwiłaś się zgoła. Całował, całował... I nie dziwota, boć usta dał ci Bóg i pragnące i słodkie, dlaczegożby wzbraniał radości?

Zaś Tomasz z Kempis:

*Człowiek, który jeszcze doskonale w sobie nie jest umarły, prędko kuszony bywa, i zwyciężony w małych, a plugawych rzeczach.*

*A naydą naysłodszą Ducha świętego pociechę, którzyby dla Twojej miłości wszystkie cielesne. naypodlejsze porzucili rozkosze.*

— Bluźnierstwo, bo wszelka rozkosz z Bożej myśli wzięła początek...

I oto bolesne zwątpienie ogarnia myśli staruszki, z rąk jej bezwładnych zwolna się książka wysuwa, zaś górą rozśpiewają się ptaki wrzawliwe, przekorne:

— Całował? — całował!

Aż drgną usta panienki, w cichem, radosnem wyznaniu:

— Całował...

I już śmieje się do niej w blaskach słonecznych lubem wspomnieniem — wiecznie żyjące, wiecznie zielone serce z bukszpanów.

Pod drobne jej stopy wielkie liście powoli się kładą, górą czernieją nagie, splątane konary, a przed nią jakby wielkie okno gotyckie na jasną roztocz jeziora. Co dnia na poranne modlitwy stara pani tutaj się zjawia, z pajęczej, szlarkami bramowanej chusteczki szafirową książeczkę Tomasza z Kempis otworzy, jego myśli czyta z wielką miłością, zaś, w ukojeniu, marzy o tem, co było.



# SZTUCZKA



306

Z Bożej łaski czuł, cierpiał inaczej, niż wokoło świat. I głód umiał znosić z zaciśniętymi hardo ustami, bez skargi, prośby, bez żalu.

Za niespełna rozumu uważało go podwórze i bały się dzieci, rozbiegając z krzykiem, gdy ku nim się zbliżał, z dobrym uśmiechem na ustach.

Nie lubiły go psy z całej Furmańskiej ulicy, bo nosił pelerynę rozwiewną, jakoś dziwnie kłapał podartymi butami, a wogóle był inny.

I wogóle zaufania nie wzbudzał, ani jako domownik na własnem podwórzu, ani jako obcy przechodzień na szerokim świecie ulicy, gdzie dobrzy ludzie spoglądali na smutną postać nieufnie, zaś stójkowy na rogu, wiodąc za nim oczami, zamyślał się chwilę:

— Nu... — u! — ptica!...

I nie mylił się zgoła człek przenikliwy, bo orle były myśli w chłopaku, a w podniebia się rwała uskrzydłona dusza.

Lecz przyszedł czas walki i dusza zmożona przy-  
padła do ziemi. Wnet ją ludzie najbliżsi — rodzina,



dla wszelkiej pewności, że już nie podleci, zapragnęli w błotku unurzać.

Przedewszystkiem w rodzinnem, to znaczy: idź w ślady taty, co w zimnem sknerstwie, w pogoni za groszem najświetniejsze dary człowiecze roztrwoił, nawet co trzeźwą, chłodną duszą ukochał — własne życie i spokój.

Aż celu bytów dosięgnął. posłannictwo swe spełnił, powiada, gdy przez długie lata gorzał jednym pragnieniem, a zawsze z dobrem ogółu czy szczęściem rodziny na ustach krzątał się, zabiegał, w czyste krynice łez ludzkich i w czarne kałuże wyzysku sięgał po grosze i, oto w godzinę śmierci, doświadczaniem bogaty, w nic nie wierzący, odpoczął. Siadł na worach ze złotem i warczał.

A gdy już młoda dusza zdała się dostatecznie uszargana, znużona i w gotowości do życia, wedle wzorów i doświadczeń rodziny, wtedy, z serdecznym wyrazem i dobroduszną wyższością życiowego rozumu nad sercem młodzieńczem, drapieżny staruszek pouczał, jak to o ludzkie względy zabiegać, jak o stanowisko się starać należy, jak cześć własną i dumę byle łotrowi zaprzedać, a myśleć zawsze o jutrze...

— Choćby... dzisiaj sobie w twarz napluć?

— He... he... — a któż to sobie w twarz pluje? A wreszcie lepiej... lepiej sobie, jak komu, mój synu.

I ani mu na myśli, że krew z krwi, kość z jego kości, lecz inną duszę ma syn, a gdy, w serdecznem zwierzeniu, z gorącemi łzami rozpaczy spły-

nęły z ust jego tajonych marzeń słowa: sztuka... artysta... aż skurczył się stary na przykre wyrazy, odchrząknął pogardą:

— Hołota!

— Czy dlatego, że z głodu giną, mrą w nędzy, przez lata?

— Z próżniactwa.

— Całe życie się uczą, pracują, a cel wymarzony, niedościgły, daleki...

— Na stu jeden się czegoś dorobi... — i jakby kamienieje serce ojcowskie, kochające własnej duszy odbicie w dziecku jedynie, a starcza złość wzbiera na szczere słowa ukochań, zachwyty obcych, niepojętych dla niego.

I poruszył się dziad niespokojnie na worku i mocniej go przysiadł, boć przecie ten chłopiec bolesny, stojący tu przed nim z płonącymi oczami... ostygnie... nie wytrwa w uporze... nie zdoła... głód zmusi, że wróci z pokorą do ręki ojcowej, z wdzięcznością stanie za ladą sklepiku.

O, jakże nieszanowna jesteś starości, jakże brzydka, bezduszna i jak — nierozumna!

\*

\*

\*

Któż go nie znał... Nowakowskiego z Furmańskiej? Każde dziecko wiedziało, gdzie to za ciemną szybą okienną — z cukierkami słoje, czarny wychudły chleb świętojański, w żółtych paczkach cy-



korja, blade, chore jabłuszka, gwoździe, sznury i smoła, jednym słowem „sklep spożywczy i delikatesów“, jak obwieszczały w barwach państwowych dwa szyldy.

Zaś ponad niemi długie balkonowe flagi, zlekka muskając ustawione przy wejściu, niby straż honorowa, oleandry, dopełniały harmonijnie prawomyślnych uczuć. Dla głębszych jednak umysłów, nie bez znaczenia było owo flag połączenie z symboliczną barwą nadziei, liści zawsze zielonych...

Przytem z rewirowym przyjazna zażyłość, w porę opłacone podatki. Na widoku świadectwo gildyjne, Matka Bolesna powyżej i przegład na Saskim Placu, a że wszędzie ład, czystość, porządek i uśmiech na twarzy pogodnie trawiącego człowieka, zaś w razie potrzeby wyraz współczującej niedoli, gotowość do rady, a zawsze niezmienna troska o zdrowie klienta i jego rodziny — nie dziw, że szanowany był pan Cezary Nowakowski na Furmańskiej ulicy, w zachowaniu, powadze, z policją i Bogiem w porządku, od lat wielu trwający.

— Widzisz, lamparcie, i ty mógłbyś być taki, jak wujo, gdybyś ojca był słuchał.

Bo oto syn nieposłuszny ze świata przyjechał — pół przyszedł, zagłodzony, obdarty, ręce pani ciotki z rozrzewnieniem całował.

Ojciec mu umarł, wuj schedę przygarnął — opiekun, a rzewnem współczuciem wiedziony, otworzył sierocie ramiona:

— Biedaku!

— Stary, świeć Panie... nic nie zapisał... dla ciebie... — zachlipała ciotka przez łzy.

Zaś wujo stanowczo:

— Ani grosika. Lecz nie rozpaczaj, bo są jeszcze ludzie i serca... panie tego — są jeszcze.

Ale patrzą oboje w twarz chłopca, badawczo.

Nic... nic. — Twarz blada, znużona, tylko oczy, łzami płonące, patrzą gdzieś wdał.

— Ojciec... mój ojciec mi umarł...

— Głupawe jakieś chłopczysko.

— Artysta... psiakrew!

Po nieszczęśliwej do wymarzonego Monachjum wycieczce, po studjach krakowskich, gdzie wszystkich talentem zdumiewał, a nikogo nędzą nie wzruszył, po dwóch, trzech próbach literackich, w których z rozpaczliwą szczerością głód, smutki wypłakał i — przyjął „nieudolne elukubracje — do zwrotu“, uboższy, niż był, wyczerpany podróżą i bólem serdecznym, nad świeżą mogiłą — uległ wpływom rodzinnym, że przecie już dosyć zbijania bąków po świecie i należy się wziąć do pracy uczciwej, przy handlu.

— Bo darmo, kochanku, chleba nikt nie da.

I już nazajutrz we wszystkie tajemki sklepowych



urządzeń, z właściwą sobie godnością, wiódł blado chłopca brodaty, surowy wuj Nowakowski.

Gdzie co leży, po czemu, jak z „kondmanem“ rozmawiać, jak ważyć, zawinąć — szerokim gestem dumnej pewności szuflady z łoskotem otwierał, pouczał, co drogie, jak złoto, co w pierwszym gatunku, co w ciepłych krajach rośnie jedynie, ale można zrobić i tutaj, a na mózg chłopca gęstym gradem padały obce, dotąd nieznane wyrazy, obcej mu dotąd kolonjalnej wiedzy.

I dziwna w nich zdawała się dusza. Jedne uciekały z dźwiękiem, nie zostawało nic po nich, inne budziły jakby uczucia przyjaźni, a nagle zjawiał się wróg, w mózg wdrażał do bólu i dzwonił, dzwonił jednym nazwaniem.

— Kwercytron, Kwercytron... Kwercytron...

I zapytywał chłopiec siebie ze strachem, co jest — Kwercytron, gdzie leży, po czemu? Aż nagle przykre uczucie słabości przebiegło po nim od mózgu do nóg.

Aż lubo, miłośnię, ukoila go nagle — „lawenda“, w zielonej butli, na półce przy oknie, a wnet „Szejnrot — font dziesięć groszy“ — jakby czemś ordynarnem uraził.

A tuż panowie Perłow, Popow, Kuzniecowa, nagle się przed nim zjawili, z przyjaznym uśmiechem, kiwają życzliwie brodami:

— Nie bój się, nie bój, dasz radę... — i dziwny spokój niemocy ogarnia, aż chłopiec na nogach się ślania...

Zawirowały flaszki i słoje na półkach... Spadła czarna zasłona na myśli...

I chłód zimnej wody, i oczy rozwarte.

— Co?... Co się stało?

— Słaby jesteś, kochanku. Trzeba tego... panie, uważać. Szyba w szafie rozbita... djabli wzięli czterdzieści kopiejek.

— Ja przecie...

— Ty przecie... ty przecie... — z wielkiemżywieniem wtrąciła się ciotka. — Nic się nie robi, ale apetyt, apetyt... i z tego właśnie krew pada na mózg, z tego...

— No, tak!... — zamknął dalsze wywody wuj Nowakowski, przenikliwie spojrzał na chłopca.

— Ho, ho... Sztuczka to jest.

I już — „Sztuczka“ został przy nim przydomek — jakże bliski jedyne go kochania.

\*

\* \* \*

Powiadają ludzie, że człowiek się rodzi pod szczęśliwą lub pod smutną gwiazdą, ale pono i tak się przydarza, że ów, pod pomyślną gwiazdą zrodzony, co już na świat przyniósł, ze sobą, szczęścia zadatki, całe życie trwa w smutku.

I dziwno jest ludziom, bo niby — dlaczego, skoro tak wiele mu dano?

A choćby i Sztuczka, toć przecie — zdumienie. Za ledwie tydzień w sklepie pracuje, a już wszystko zrozumiał. I jakby mu jeszcze za mało, już nie-



jedno własnym rozumem poprawił, odmienił, a choć to dzisiaj i proste się zdaje, jednak na myśl nie przyszło nikomu. Hej, Sztuczka — sztuczka, chłopak w czepku się rodził, wszyscy radzi są z niego, żyć nie umierać, tylko on właśnie, on jeden udręczony i smutny.

— Bo artysta... psiakrew... — żżyma się wuj Nowakowski ze złością. — Jak zmokła kura łązi po świecie, a zdolny, panie, a bystry. Co powie — drukować, co zechce, to wetknie gościowi. Świeże, nieświeże.

I z przekonaniem głębokiem:

— Ma szelma talent... co gadać.

Nie tańł zachwyty, podziwu, a może i zawiści wuj Nowakowski, choć przecie zrównoważony, spokojny, niepośpieszny był w zdaniu. Zaś chłopiec, jakby poznał odrazu jego strony najsłabsze, umiał w nie godzić, dbając szczerze o dobro sklepiku.

— Jak to szelma paczkę zawinie, jak poda... sadyfakcja, panie... — mówił w kółku rodzinnem wuj Nowakowski. — Z komisarzową, wczoraj, kulfon, za pan brat panie, a ona zęby do niego...

— Wprawiane... Ale co prawda, to prawda, że ustatkował się chłopak, niech tylko tak dalej a może i los...

— Ho, ho... daleko może zajść, panie! Chłopak, tego, mięsisty, przystojny, narwie się panna posażna...

— Abo i nie? A młody Kowalszczak, a Lipiński Józek? Za dziesięć tysięcy go dzisiaj nie kupisz.

— Dej-no mu kawy, Bronka, niech się odgryzie... nie żałuj.

— A toć chyba ptasiego mleka mu brak...

I rad wielce wuj Nowakowski, że jeszcze jedna pomyślność zesłała na sklep kolonjalny, i uśmiechnięta małżonka, a jakież to szczęśliwy musi być chłopiec, że trafił na ludzi.

— Bo to dziś, panie, trudno...

I radość dobrego czynu schodzi pogodą na myśli.

Są ludzie wybrani. Boża łaska na dusze ich spływa, w darach rozmaitych.

Toć nie miał, zdawało się, Sztuczka ani głowy, ani serca do handlu, młoda dusza do sztuki się rwała, do czystej, do jasnej, bez cyfr, bez obliczeń, bez jutra, dla siebie, lecz zawsze z marzeniem o wieczności, dla dzieła.

Ale oto, gdy życie w okrucieństwie wymyślne ukazało mu drogę świetlaną, gdzie zakosztował pierwszej radości twórczego natchnienia, a potem twardą garścią zawlokło za lady brudnego sklepiku i padł zrazu chłopiec zbiedzony, osłabły, wstała w nim moc Bożej łaski, jakby rzekła: — nie zginiessz — bo niema na świecie takiej pracy człowieczej, której nie podołałby talent i martwej robocie nie dałby duszy.

Sztuczka usta zacisnął, wszedł w nowe światy.



A gdy pustkę myśli, na bezdusznym porządku oparta, ujrzał wokoło, jakby tchnął nowem życiem i w ponurym, zamartwym sklepiu żywe serce zabiło.

Ani myślał o sobie, nie ustawał w robocie, aż zmalował i przycichł wuj Nowakowski i patrzył z podziwem na rozumne rzędy, jakby jasnym przecuciem wiedzione, nie rozumiał, skąd nagle powiększyły się targi w dwójnásób, skąd w młodym chłopcu taka duszy ludzkiej znajomość.

Aż nagle pierzchnęła z myśli radosna pogoda i czoło zasępiło się troską. Że oto taki przenikliwy jest Sztuczka, czy to jest dobrze? Nic się nie ukryje przed jego bystrym spostrzeganiem darem, bo wszystkiego dopatrzy, wskroś przejrzy człowieka, a tu — przecie... przecie tego... nuż przyjdzie pewnego wieczora... upomni się o schedę po ojcu... i — tego... — aż ział leciał po krzyżu i ścisnęło w dołku.

— Jabym tego ciosu nie przeniósł... — i słabą chwilę przeżywał twardy wuj Nowakowski, tuląc się trwożnie do białej, zażywnej, tchnącej ciepłem małżonki.

I dzielił się troską w nocnej ciszy sypialni, kiedy to najtajniejsze myśli pełzną z duszy człowieczej, niby zmory dręczą, lub pławią się błogo w nikczemności rad, zwierzeń dwojga ludzi, skutych na życie mocą wzajemnego poznania.

Aż minie chwila szeptów gorących, trwogą wezbranych i wyciągną po siebie leniwe, zimne ramiona...

\* \* \*

A tam, za szafą sklepową, na smutnym, jak dola sklepowego chłopca, pawlaczu, gdzie w dzień słońce nie zjawia się nigdy, a nocą na zmęczone trudem mózgi nie schodzą marzenia, tam w mrokach tchnących chłodną wilgocią odżywa myśl Sztuczki promienna, i niech tylko chwila spokoju, wnet jawia mu się jedyne cuda człowiecze na ziemi — obrazy.

I zaledwie gwary sklepowe ucichną, już nad ponuremi kątami, za szafą, nad nędznym posłaniem strop świetlisty się wznosi. Kryształ drży pod nim, w blaskach tęczowych, a spodem szat świetne barwy, ciał złote blaski, ramiona mdlejące i bujne piersi, jakby czary liljowe, krwi gorącej pełne, ustom kochanka oddane.

Rzesza amatorów skrzydlatych wokoło się zwija, a maleńki kusiciel, na lotnych skrzydełkach, do ucha księżniczki przypada, czaruje...

— Nie... nie!... — odpychają go ręce, lecz myśl chłonie, co szepce i główkę pochyla zaduma i biegną oczy, jeszcze smutne, dalekie, czarujące bez woli. Biegną, gdzie w falach barwy gorącej, w szkarłatach ciężkiej materji, wszystkie życia uroki, wszystkie moce upojeń, a z kwiatów krąż winnych, ust rozchylonych, cudnie kobiecych, płyną przyzywania miłosne.

Sztuczka przymknął na mgnienie powieki, o mi-strzu Piotrze zamarzył, co z dumą królewską krew,



ciało sztuki niósł tłumom i jeszcze chwila, a jakby z wielkiej błogości rozekłała się dusza w chłopaku. Barwne zjawy cisną się, tłoczą, myśl podniecona ku nim wybiega.

Szereg apostołów sunie uroczystą procesją. Wyniosłe, dumne postacie, fałdzone togi ciężko po ziemi się wloką, czoła opromienione jasnością, pycha wiary z nich bije.

Miedzy nimi Mistrz z Norymbergi, jakże dostojny, lecz oczów nie odwraca obłudnie od jasności cudów kobiecego ciała, bo choć świętą mu wiara, lecz i sztuka święta.

Przy nich bawiący się król, uciech życia spragniony. Za stołem, zastawionym dzbanami, mięsami, rozparł się szeroko i patrzy radośnie, kędy rudy olbrzym, z kompanji, wpił się ustami w biały kark tęgiej brabantki. Zaś tamci czary w górę podnieśli, śpiewają, a ówdzie w cieniu, jakaś para zapada... nagle mrok spłynął na barwy radosne, śmiejące, mrok dziwnie głęboki, zda się że czarny, a jednak przezroczy. I blask nagle z niego wytrysnął, blask Rembrandtowy — niby duma jasna, czy chwila natchnienia, z cieniów myśli powszedniej — jak żyć?

A tuż suną rzędami w świetnych barwach magnaci, wielkie kryzy jaśnieją, poblask atłasy hiszpańskiej infantki i twarze krwią, życiem kipiące. Przedziwna, w zmysłowym uroku, Helena Fourment, tkliwa Fornarina, płomienista Saskia. Dumny purpurat, królewscy synowie, Salwator zbójceki,

Hals'a śmiejące postacie, ciemny, drwiący pan Velasquez'a i — — Sztuczka z rozwartymi oczyma, w zapatrzeniu, zamarły.

I świt szaro-niebieski, nieubłagany, zimny, przez sine, mętne szyby sklepowe...

Uciekają widzenia, a próżno błądzą oczy pragnące po siwych ścianach, po szczerbach odłupanych przez gwoździe i ciemnych szczelinach, gdzie śpiesznie, po nocnych żerach, chroni się czarne, rude robactwo.

W duszę pełnie zimny, ślizgi wstręt i jakby roztopia się w niemoc bezmyślną, snu tylko pragnącą.

Lecz za ścianą sklepową ruszyło już życie, niby koło zębate bezdusznej maszyny:

— Hej... hej! Złazić tam, z pawlacza, dzień przecie, jak wół.

I jeszcze chwila, a już za ladą sklepową stanął zimny, nieugięty pan Sztuczka. Wspina się ku niemu na ciemnych, wyschłych jak prątki nożynach, czerwono-lachmianiasta dziewczynka, z zaciśniętej, krwawym brudem porosłej garstki składa miedziaki.

— Sody, za sześć.

— Co więcej?

— Kaszki krakowskiej, pół ćwierci... cukru... — Na fajeramt mama zapła...

— Niema.

I nic to, że przez myśl pana Sztuczki przesuwają się stara, roztrzęsiona przez życie praczka, z obżartymi do ran kościstymi rękami i jej mąż, powra-



cający z pracy w sobotę pijany, oszalały nędzarz. Nic, że z rozpaczą głodnego zwierzęcia wpiły się oczy.

— Mama bardzo prosiła, żeby....

— Niema.

Smutny, szary dzień idzie...

\* \* \*

Sklep kolonjalny miał w swem posiadaniu u kresów podwórza, między płoty i drwalnie zaparty, tak zwany — magazyn.

W białych beczkach: kawa i z cukrem wory, skrzynie cytryn, szkło, śledzie...

Niespodzianek tam żadnych, zapisane wszystko, wiadome i nic tam nie żyje, prócz szczurów. Bo duży nie znaleźć, co trwa w każdym starym lamusie, gdzie tysiące przedmiotów, związanych z ludzką myślą, czy pamiątką przeszłości. Nic tu o niej nie mówi, bo wszystko jest nowe, a choć niekiedy mniej, niż więcej świeże — wszystko na sprzedaż, jako że niema tak złego towaru, który nie znalazłby kupca — mówi pan Nowakowski.

Są tacy ludzie, jak owe składy. Chłód od nich wieje i jakiś dziwny gatunek smutku. Bezmyślne, znużone mają oczy, na duszach marki fabryczne.

Są tacy ludzie, którzy nic ci nie mówią, choć słyszysz wyrazy, a ich radości i troski, tak od twoich dalekie, tak zupełnie inne, że nawet ich łzy nie budzą wzruszenia, ale drażni śmiech.

Lecz wzrok mają bystry chwilami, wnet spojrzą

ci w myśli, odnajdą w nich obcość, a wtedy: huzia, zjadliwym wyrazem, gdzie boli, gdzie smutek tajony, gdzie żal.

A pierwsza w samo serce, w ból rozjątrzony, ukąsi rodzina, bo... my cię znamy najlepiej i my przecie dla dobra...

Zato gdyś smutny i głodny, oni też pierwsi nad tobą się użalą i serdecznymi łzami spłyną na twe żale siostrzane, braterskie uczucia. Lecz nakarmi — inny.

Ten, który cię nie zna, ani w duszę nie wgląda, nie myśli za ciebie o jutrze, tylko dziś widzi, że trzeba ci pomóc.

Poznał Sztuczka serce człowiecze, rodzinne uczucia — pasorzytną tkliwość bez czynu, a jednak, gdy przetrwał już wszystkie nędze, zażył wszelkiej goryczy, zrozumiał, jak to bliska dusza życiu potrzebna, bo dola najcięższa, gdy człowiek jest sam.

I począł patrzeć w życie uważnie, czy znajdzie rozumną myśl ludzką, co mu dobrą radą na troskę odpowie, lub serce, choćby niemądre, lecz tkliwe i bliskie.

Aż oczy od ludzi odwrócił, bezdome psy karmił.

I coraz boleśniej, wśród zajęć sklepowych nagle ścisnął go żal i czuł Sztuczka, że też rozgorzałych, jakby siłą tłoczącą wezbranych, zatrzymać nie zdoła — do zimnej szopy w podwórzu uciekał.

I coraz zajadłej ściagały go psy, coraz okrutniej bieгло za nim szyderstwo podwórza.



Aż przyszła chwila najcięższa. Ktoś go dotknął złem słowem, ból przebrał miarę wytrwania. Padł chłopiec między beczki i skrzynie, a cisnąc głowę obrzmiałymi od pracy rękoma, z bólem się zmagając, szalejącą tęsknotę chciał z siebie wytargać. Łzy rzesiste, kojące na nią spłynęły.

I zdało się Sztuczce, jakby ktoś dobry, słodki i bliski, z miękką pieśzczotą, z tklivem pożegnania słowem od niego odchodził, a myśl zwolna tężała, drętwiejąc, w martwej zadumie, co jak głaz ciężki, niebolesny na duszę się kładzie — i człowiek już w żalu zamiera.

A wokoło życiem dygoce i kipi złość ludzka. Szara gromadka podwórza się zeszyła i radzą:

— Ciągłe lata do szopy, i w dzień i we wieczór. Ciekawość, pocóż to lata?

— Wiadomo... wynosi.

— Nie na jego rozum taka robota.

— Ale... e!

I wnet podsadzą chłopaka, gdzie sęk w desce wybito.

— Co robi?

— A pies go ta wi... Płacze, czy co?

— Ale!... płacze ci tam, ty frajerski łbie.

Sztuczka głowę ciężącą jeszcze niżej pochylił i w dłonie ją zaparł. Ból nieoczekiwany, nagły, zwalił się zniszczeniem na uległą duszę, bezlitośnie po-

targał utkane przez tęskniące myśli marzeń przędziwo.

Wtedy z gorzkim uśmiechem myśl przyszła — dlaczego i za co? Dlaczego to życie, niepojęte w swej władzy i mocy, zawisłe nad światem, jak płomień i cud, dlaczego tak znęca się nad nim, za jakie winy targa jego żalostí, z tą okrutną ochotą słabych, złych ludzi.

— Pocóż tyle zachodu, kiedy... kiedy tak łatwo... — i nagle, jakby wytłął w nim żal, jakby zapadł w głębie i rozwiął się w mgły szare, zimne, a zgasło w nich wszystko, co w życiu kochane i drogie. I nagle, tak mu się zdało, że serce strwożone z niego ucieka przed myślą, co skrada się, skrada... jeszcze daleka, ale już poznana... straszna, lecz jakże droga, jak bliska w beznadziejną godzinę,

A tej chwili, gdy już, jakby chybka mara przypada do ucha i szepce: — Chcesz?... — i już się krząta, w wielkim pośpiechu, jakby coś gasi doreszty, przemocą odrywa czepiającą się duszy nadzieję, gorzkim żalem ją poi, a gwarzy przyjaźnie.

— Ja ci to zaraz... Ja ci to zaraz... Poco się męczyć... — tej chwili niezapomnianej, tej przekłetej chwili przyszło serce do niego.

Sztuczka podniósł głowę, powoli, gdy skrzypnęły drzwi. Dziwnie luby, jakby ciepłem tchnieniem głos go otulił.

Bo nie znał Sztuczka jeszcze tej błogiej śpiewności, jaką niesie w sobie kobiece wezwanie, gdy słodko, litośnie dzwoni w niem tklivy niepokój.



I rąk białych nigdy nie widział chłopiec bolesny, gdy wielkiem wzruszeniem przejęte drżą, jak motyle skrzydła, zanim głowę otoczą i zamkną palające skronie w kojącym, niepojętych czarów uścisku.

— Co panu?... Dlaczego?

Podniósł oczy jarzące i patrzył długo, nie wierzył, że widzi nad sobą twarz dziewczęcą, stroskaną, oczy wielkie, bez łez, usta bólem przygięte.

— Co panu?

Ale nie słyszy już Sztuczka, nieznany sen szczęścia przeżywa i uśmiecha się ciepłu, co tak lubo w nim wzbiera. Fala za falą miękko spływa na myśli i tak szemrze, jak wody, a coś błyska chwilami i w słodką niemoc zapada, aż znowu mocniej serce uderzy i prędko pobiegnie. Ręce silniej skronie oplotły.

Nagle targnie się myśl. Ostry ból podejrzenia ją przeszył, że oto w godzinę męki tajemnej przyszedł zły człowiek i kłamię współczucie... za chwilę śmiechem uderzy.

— Nie... nie... nie kłamię te oczy bez łez.

I jeszcze krótka chwila zapatrzenia w siebie, bez słów; chłopcu cicha radość — wiosna Botticellego się marzy w dziewczynie, i już wzbiera sercem wydzierający się krzyk, niby Hosanna mocy radośnej — młode, pierwsze kochanie, a w duszy kobiecej cicho się słania — miłosierny czyn.

Coś szeptem, z czegoś się śmieje zdławionym chichotem podwórze.

Na miękkich skrzydłach, jak złowieszczy ptak, leci szept plotki, w sutereny zapada.

\* \* \*

Zły, bez litości, twardy w pożyciu podwórzowy gmin; blady, drobny, zmorzony, lecz zaciekły lud.

Ze wsi polskiej rody swe wiecie: do dziedzictwa chytręgo rozumu szkoła-fabryka przydała mu nieczemności kulturę, a życie zaszczerpiło w nim strach. Nie przed widmem cmentarnem, co w mgławiej poświacie sunie przez pola, lub pokutującą duszą po chałupnych poddaszach, bo zaś ktoby w to wierzył, lecz ów strach zdziczałego zwierzęcia, zapędzonego przez rozpacz głodu w obce, nieznane światy, gdzie wszędzie czai się zdrada, wszędzie grozi cios.

Ale dawna, rodzima ciętość pyska, zaprawionego do odgryzania się na miedzach chudego poletka, została, tedy niech tylko fala życia ciśnie kogoś w ich światy, spojrz po nim podwórze, oceni i wnet szarpnie zębami. Zrazu nieśmiało, jakby półżartem, a potem do bólu, aż niedługo rozkładają się pyski, rozplomienia oczy i, nad człowiekiem, zapartym przemocą złej doli w mury oficyn brudnego zaułka, wzniesie się drapieżna, obłąkana nienawiść, każdy blask życia zasłoni.

A gdy przejdzie człek obcy, obojętny i spyta:

— Dlaczego? — co zrobił?

— Co zrobił?... Co zrobił? Nie swój człowiek i — już.



— Włec za to, że nie swój?

— A za cóż? Przecie gdyby był taki, jak każdy w podwórzu, komużby wadził... — I człowiek, ręka szeroko ogarnie, od komórek po bramę.

— Przecie miejsca het, ile. Dla każdego tu stanie.

Ludzi innych nie znosi podwórze; cierpiał Sztuczka za — inność. Boża łaska nią znaczy wybranych, zaś boczy się tłum, szuka pychy w tym innym, lub złościwości, która go różni z gromadą.

Lecz przecie ustaje zwierz podwórzowy, gdy obojętnie mija go człowiek, ani patrzy na niego, nie słyży. Przycichła nienawiść, bo konceptu jej zbrakło. I już tylko śmieszny był Sztuczka w swej pelerynce strzępiastej i pogiętym grzybku na głowie. A potem, wzgardzony jak rzecz, nad którą nikt sobie głowy nie łamie, do czego służy, zaś wkońcu już nawet niktby uwagi nie zwrócił, że zginęła rzecz.

Aliści na jego wycieczki do magazynu padła czujna uwaga. Ten i ów spojrział zawistnie, a inny z przyjaznym uśmiechem, że to komuś dzieje się krzywda, gdy jednak nie wydało się nic, i osłabły w dociekaniach przenikliwe rozumy... nagle zawył radośnie podwórzowy zwierz:

— A-ha!

I jakby się zerwał z uwięzi dręczącej niepewności domysłów, rozpląsał się w podskokach, rozdygotał w szeptaniu, co biegło przez komórki, przez drwalnie, kuchnie, poddasza, i drżało w stłumionych pytaniach, w odpowiedziach, z zapartym oddechem:

— Widziałas?

— Jak Boga przy skonaniu...widziałam. Całowały się w szopie.

— I co? i co?

— I... wszystko...

— Bójta Boga się ludzie... bójta się Boga...

Lecz po chwili żałości, nagle pytanie:

— Ale... kto, kto?

— Kto, głupia, toć Nowakoszczanka Wanda, z jeich buchaltrem.

— Widziałas?

— Jak Boga przy skonaniu... całowały się w szopie... na fest.

— I co?... i co?

— I wszystko... wszyściutko... jak Boga pragnę... W biały dzień, przez żadnego wstydu.

— W biały dzień... moi ludzie — powiedzta...

— W biały dzień...

I myśl podwórzowa, zgorszona, na tym dniu białym utyka, co obraża tu zawsze dotkliwiej uczucia, niż sam czyn.

Potem szept leci dalej, w gromadki zapada.

Ale, gdy wysłuchali już wszyscy na całej Furmańskiej, w zadumaniu i grozie, a z cichą w duszy radością, od naocznych świadków, jak było, czegoś jakby im zbrakło... że to przecie niewszystko... czegoś za mało.

Aż, całkiem już niespodziewanie, zakradła się w umysł wątpliwość, a choć stało się to bez wy-



rażnej przyczyny, jednak w skutkach padł wniosek stanowczy:

— Ni może to być... tu coś insze jest.

I nie pomogło, że przecie wszyscy, Boga przy skonaniu pragnący, widzieli, słyszeli, jak Nowakoszczanka z buchaltrem...

I nie pomogło, że pani stróżowa przysięgała „na rany“, jako w magazynie zakopane jest dziecko.

— Ni może to być...

Ma swój rozum podwórze.

\* \* \*

Lecz z niepojętych przyczyn, z falujących kręgów ludzkiego myślenia, co biegną niekiedy daleko, choć zazwyczaj cisną się tylko w swoim obejściu, jakby nowy jakiś powiew poruszył umysły. Prąd cieplej przyjaźni otoczenie przeniknął; zwróciły się oczy życzliwe, przychylne, a trwożnie zdziwiony był Sztuczka, gdy pewnego ranka stróż zdjął przed nim czapę, bez szyderstwa zgoła:

— Szanowanie dla pana.

I już dygały przed nim córeczki maglarki:

— Dzień dobry!... Dzień dobry!... — białe, jasnowłose aniołki, ziejące zazwyczaj w stronę Sztuczki długimi płatami czerwonych języków.

Zaś postrach całego podwórza i dalszych okolic, Franek, syn tapicera, kłapiący w tatulowych buciśkach od świtu do nocy wzdłuż i szerokość całej Furmańskiej, gwizdacz przeraźliwy, już zaprzestał złowieszczo-przenikliwych sygnałów, gdy Sztucz-

ka o zmroku chyłkiem na miasto wymykał. a sy-pała się za nim w radosnych podskokach. chla-szcząc bosemi piętami, brudna zgraja uliczna, zjadli-wa, wyjąca.

— Haj — der — bim — bam!... pan Sztuczka!...

— Mal-jarz, mal-jarz, cynamon!

Jak szary ptak uciekał człowiek inny przed dra-pieżną zgrają i nie było w nim złości ni żalu, tylko zadumanie niezmierne: dlaczego i za co?

Chwilami zaś, nie mógł się oprzeć pokusie i oczy za siebie odwracał, patrzył na łby migające w bla-skach latarni, gęby krzykliwe rozwarte — myślał o obrazie...

I nagle, oto ścichła podwórzowa nienawiść bez śladu, a dzień, po dniu spływały na niego promie-nie ciepłych uczuć, w przyjaznych uśmiechach. Za ludźmi zbliżyły się psy. A człowiek, nie znający pie-szczoty i dobrego słowa, gładził je po łbach z taką tkliwością, tak do nich przemawiał, współczując każdej niedoli, że już po dniach paru przyjaźni rwa-ły się za nim z radosnym skowyttem.

Aż jakby zawstydzony był Sztuczka, nie pojmu-jąc, skąd w psiem sercu tak wiele tkliwości.

— Bo pan chodzi przez kija... — objaśnił go stróż, człek stosujący jednak w życiu przyjaznych uczuć przejawy, z wręcz przeciwnych pobudek.

Wkońcu doszło do tego, mogło się zdawać, że nawet żywszą tkliwością serce podwórza ku niemu



zabiło, bo już i służące, co młodsze, zalotnie się przed nim zwiąły, a inne trwożliwsze, uciekając z łoskotem na ciemne schody, niosły, po oficynach wieść lotną, że Sztuczka — „zaczypio“. Zaś pewnego wieczora Bronka stróżowna zaparła mu soba wejście do bramy.

— A ja tera nie puszczę...

I, wpatrzywszy się w niego blademi, jakby z porcelany oczami, szepnęła miłośnie:

— No, i co będzie z namy, panie blondasku?

Aż wylakł się Sztuczka nieszczęsny, a gdy nie słabła przyjaźń podwórza, lecz jakby się utrwalała w sobie, z dniem każdym, drobną przysługą, czy słowem życzliwym, zadrgał w nim strach i począł go męczyć w nocie bezsenne, wstawał z nim raniem, nie opuszczał w dzień.

— Dlaczego? — dlaczego? — przyczyny zjawiska rozważał, znał przecie ludzi, kawał życia przebolewał, nie dziw, że łatwiej mu było znosić wrogie uczucia, niż się serdeczności obawiać.

A tu jeszcze i oczy jasne, litośnie w niego wpatrzone niósł w myślach, aż do bólu żywe, i bał się tych oczów i tęsknił za niemi.

Gdy się wieść, zrazu tajona, już na dobre po „stancjach“ i po „pomieszkaniach“ rozniosła, że Sztuczka zbiera pieniądze, wnet chuderlawego jakby przyrosło, gdy zaś ustaliła się pewność, że „starego podbiera i zdrowo“, że już ma tysiąc, a może dwa, co

w pewnem miejscu na procencie leża, nabrał i wdzięków duszy.

A gdy lato minęło i podeszła pora, przepojona szarością i smutkiem, kiedy to człowiek mniej zwraca uwagi na świat, głębiej własne sprawy przenika, zaś matki ogarnia cichy, lecz nurtujący niepokój, że oto Józia czy Duchna trzeci rok — „siedzi“, i wodzą bystreimi oczami, czy nie „trafi się ktoś“...

— Chłopak w samo prawie dla mojej Marychny... — rzekła pierwsza „utrzymująca magle“ w podwórzu.

— Phi, ni z pierza, ni z mięsa... — na to jej pani malarka Kowalska. Lecz po chwili z westchnieniem:

— Choć tam, po prawdzie, moja córuchna też mizerotka i słabego zdrowia. Jak tam Bóg zechce...

Ale już w boki się wsparła maglarka, Cerulewicz, z męża:

— Ni z pierza, ni z mięsa! Niech-no kogo głowa nie boli, bo z moją Marychną i pierze i mięso dostanie — nie byle...

— Owa!... Poduszczyny półdarte... A o mięso... jakie tam ono, trzebaby się panów czeladników pytać...

— A pani... świnia!

— A pani... przez wychowania... druga.

— Małpa kudłasta!

— Taka sama — przez włosów, co ci chłopcy wydarły.



— Masz!!

Lecz chybiony był cios, więc dalej szybkim, ciętym gradem lecą wyrazy z ust, jak psie paszcze rozżartych, śliną pryskających.

A tuż śmietnik rozwalony szeroko, ostatnie szczątki spraw ludzkich zabiegów i trosk: pomyje nędzarzy i możnych brudy — zgoda cicha, gnijąca. Kędy świeci puszka blaszana, aż się jarzy pod skośnym słońca promieniem, zaś obok czerwony gałgan, co może kiedyś coś znaczył, może górnice powiewał... I kołuje pies niespokojny, o bokach zapadłych. Grzbiet zjeżony, sękaty świadczy, że smutna to dola co pędza po cudzych śmietniskach.

I tuż dzieciak w zabłoconych strzępach kracastej sukienki spogląda żałośnie, że oto mama się gniewa na panią, a jego to będzie bolało.

A dalej długim pasem biegnie płocisko, od strony pustki przygięte, jakby chore się ślania. Gdzieś za oficyny na chybotliwych nogach ucieka, świecąc wyszarpanymi deskami, kędy blask zielonego poletka w ponurą szarość podwórza radośnie zagląda. Jakby kawał świata innego, choć tej samej ziemi, jakby jasna dusza człowiecza, przepojona gorącym pragnieniem kochania, w ciemne, miejskie opłotki zagnana, gdzie place na łokcie, a chciwość bez miary.

Zaś do parkanu, co sam ledwo się trzyma, tuli się komórki, ciemnymi plamami drzwi wybitych patrzą, i tak się wydaje, że o czymś myślą, coś wiedzą.

Tam, o zmroku, w ciemne ich wnętrze zapada dziewczyna, oddaje na wiórach zbutwiałych młode swe ciało. Zimna, nieczuła, bez tkliwej pieśczoły, bez pożądań miłosnych, nawet bez ciekawości oddaje się komuś, co pierwszy zażądał. Pierwsze terminy przyszłego zawodu. Któżby się od nich spodziewał radości?

A gdy potem życie przez dziewczynę przejedzie, twardymi kopytami podepce, tak jej się zdaje, że owo podwórze, to jedyne, co przeszło, szczęśliwe i jasne.

I w myślach błogo majączy: zimną tchliną wiejąca komórka, i czyjeś usta i matka — matka, jak biła...

Obrazy, obrazy. Z samych trzewi życia wydarte obrazy, krwią nieraz ociekłe, zawsze łzami oblane.

Patrzy w nie Sztuczka na gwarnym podwórzu, gdzie sto ludzkich żywotów, tysiące udręczeń, kłamstw, smutków, podłości, z łachmanami barłogów, z rojem robactwa oficyny w sobie zaparły.

Żaden cień bólu oczów jego nie ujdzie, a blask kipiącej uciechy nie zmyli, bo nie masz na Furmańskiej ulicy takiego wesela, żeby łez w niem nie było. A zawsze, żony, czy matki to łzy.

Choć tam izba huczy pijaną radością, huragan, zda się ściany roznosi, zda się wali obuchem: — chcesz — nie chcesz — musisz z nami się śmiać, zawsze tam jedna para oczów pobladłych w bolesnym osłupieniu zastygła, patrzy przez dymy, przez



wyziewów mgły, a na ustach drży prośba o zmiłowanie.

Od lat, lat, w huczne noce sobotnie, beznadziejnie — ta sama.

Aż dojrzą zawsze zapatrzeni boleśnie drugie rozszalałe, krwią wezbrane oczy i dwa spojrzenia się zewrą, niby ostrze i głąz, a z ust rozśpiewanych buchnie niefrasobliwe, bujne wezwanie:

— Hej, matka — z namy!

Ani drgną oczy, patrzą i patrzą, chłoną ból w myśli, bezwładny, ślaniający się ból, co chwilami mocy wspomnień przybierze, jakby się rozpręży, owija serce, owija...

— Hej, matka — z namy!

I przypadnie już twarz rozploniona, jakiejś krzywdy poczuciem, czy gniewem rozżarta i zionie gorącą falą gorzały:

— Idziesz... psia twoja... — nie idziesz?... — a twarde garście porwą za drgające, skulone ramiona i cisną w środek kompanji...

— Wiwajt!

W rozdygotanych łapach już ku jej ustom ktoś niesie kieliszek — krótka chwila wahania...

Już drugi i trzeci, i — dalej, kolejną, zaś gdzie tylko się wzniesie, a flaszka, ze znakiem czerwonym przechyli, rozwierają się paszcze w przyjaznych uśmiechach:

— Dobrego...

Z pijaną tkliwością ku sobie garną się ludzie w uścisku, po izbie kołują.

— Ja... bracie kochany... uważasz dla ciebie... uważ-aasz!

— I owszem...

— Dla ciebie... względem ostatniej koszuli, przez odmowy, dla ciebie... uważa...

Ale myśl jakoś ucieka, a może coś z dawnych wspomnień przynosi, bo oczy wpatrują się długo, pęcznieją, i nagle:

— Idź do cholery!

— Dla — czego?

— Bo... idź...

Ktoś harmonję nacisnął, a żwawiej poprawił i już się zaniosła:

— A kto nie wy-y-pije...

— A kto nie wy-y-pije... — wsparły ją chrypiące głosy i tejże chwili, jakby pobudzona, nagle łachma-niasta postać do podłogi przysiadła, w dziwacznych podrygach tańczy, przerażająca kukielka: śmiechem wykrzywione ma usta, w bolesnem osłupieniu zastygłe ma oczy.

To do ziemi przypadnie, w kłapiących kaloszach, jakby przysiudy wybija, to drepce, kołuje, rękami biesiadników chwyta ku sobie, aż ciśnie kaloszyśka z impetem o ścianę, piętami o podłogę zatłucze i kolana obnaży... żona i matka.

— Ha, ha!! — jakby coś pękło z chichotem w gardzieli

— Chwat baba!... Chwat baba!... Hajm, panie Bunięcki.

— Siulim, panie Marciniak.



Ale już zbrzydło gościom widowisko taneczne. Odwrócili oczy, kędy trzema tonami rozciągnęła się, zwarła — harmonja.

— Sztandar, panowie... Sztandar... — Chórowo!...

Więc poniesie się nagle muzyka, a w blaskach jedynej lampki, uczeplonej nad półką, gdzie nędzne garnki obok wystygłego komina i zimnym polyskiem sina blacha migoce, w kłębach błakających się dymów, kędy jakby zawieszzone głowy, ogłupiałe oczy, ust wykrzywione czeluście — szarpie się pieśń, pijanych marzeń pieśń. Jakby zwierz głodny, chwilami, po ziemi się czołga, nagle jakby słupem ognia wybuchnie, niesie sen luby pożogi i mordu.

I tańczy, i tańczy, z zaciekłym uporem oszalełego człowieka, straszliwa lalka, z bolesnymi oczami...

Obrazy, obrazy! Z samych trzew życia wydarto obrazy. Patrzy w nie Sztuczka, osłupiała z grozy.

Aż przyjdzie chwila zwątpienia w marzeniach, bo jakże nieszczerze, mdłe, blade arcydzieła ludzkich wysiłków — krew malowana, krzyże ludzkiego żywota zamknięte w ramach złoconych.

Jakże bezsilne i nikłe, w swem nieudolnem naśladowaniu życia i jego zjawisk, co przychodzi tak rozpaczliwie łatwo, codziennie i wszędzie, a tła dla nich, ani układu nikt w bezsenne noce nie szuka.

Nagle chłód po nim pobiegnie i wstrząśnie się Sztuczka, jakby złem przecuciem tknięty, bo to przecie myśli zaraza schodzi powoli, zdradliwie na mózg, a gdy zwątpieniem udreńczy, mocą chłodnych dociekań zgasi porywy — ciśnie wieczną tęsknotą przybrane serce, w gryzący się tłum.

Nie, nie — i już korzy się Sztuczka, bo wielkie jest życie, ale cóż w jego treści, gdy patrzy człowiek zimnemi oczami. Nie zazna radości, bo nigdy smutków nie dojrzy. Idzie ślepy, nieczuły przez bytu koleje, a chytry przewodnik — cel życia, interes, za rękę go wiedzie, ostrzega.

— Tu szczere kochanie, tam ludzie marzą, tu dusza zbłąkana... — omijaj.

— Tam droga świetlana, tam kwiaty i piękna pocucie... — nie tędy.

— Tu, smutki i żale, łązy ludzkie i człowiek z sercem wezbranem miłością — ale sam także głodny, bezradny... — tam schodzić niezdrowo... obiedą — poucza przewodnik.

I dalej przed siebie, krętym manowcem, szlakiem ludzi rozumnych. Przez zapadliska ludzkich podstępów, ostrożnie, bez szkody, przez zwarte gąszcz kłamstwa, wyzysku, bezprawia, kędy świadomi coraz to nowe przeddeptują ścieżyny, a człowiek inny tylko krwią tam ocieknie. I wróci wyśmiany, że patrzył w gwiazdy, jakby to szczęście uskrzydłone było, a ono, przecie tuż, pod stopami: czasem tylko się schylić, czasem głębiej wciśnięte, a czasem dobrze się trzeba unurzać...



A tuż — drugie życie na tej samej ziemi, życie górne i jasne, a choć często patrzy w nie człowiek oczami, przez łyzy przyćmionemi, jakże wiele tam widzi. Jakże wiele zrozumie za sprawą tej wróżki, cudotwornej pani, co, gdy czego dotknie, to muzyką dzwoni, w co się zaślucha, to śpiewa, żywe serce zdaje się budzić w kamieniu, a jeśli w duszę wybranego człowieka tchnie łaską twórczego pocucia, jakby mu oczy otworzy, da widzenia władzę tajemną, ciemnicę życia otworzy, na blask.

A dusza artysty wtedy, jak kwiat, co z zimnej, czarnej ziemi czerpie barwy płomienne, cud kształtu i przezyste łyzy.

. . . . .

Zaś właściciel składu towarów aptecznych naradził się z żoną, jak to czynił zazwyczaj, gdy chodziło o sprawy delikatniejszej natury, niż niewymyślne, codzienne szachrajstwa i Sztuczkę do siebie zaprosił:

— Na herbatkę... w sobotkę, pan drogi, kochany... — bo serdeczny był człowiek.

Zaszczycony honorem zrazu spojrział z podębła, ale pan składnik, pomimo, że klęską kilku córek zgębiony, tak pewny był siebie, tak go lekko, przyjaźnie zapraszał:

— Odwagi, młodzieńcze, odwagi... — z ową uprzejmością całego ubrania, w stosunku do butów dziurawych, a pobjażaniem zawsze sytego czło-

wieka, który duży kawał świata dźwiga na barach, aż wkońcu uśmiechnął się Sztuczka uprzejmie do ludzkiej głupoty.

A składnik pomyślał:

— Niepozorny, bo niepozorny chłopaszek, ale i z takich bywają ludzie.

A chłopaszek ani zastanowił się nad nim, boć to był tylko przedmiot, ów ktoś, mało kolorowy, marne modelowany, bez wyrazu i czucia.

Jak w przedmioty patrzył Sztuczka, przy stole owalnym, kędy zasiadła rodzina.

Pan domu zupełnie nudną miał twarz: rybnie, blade oczy, pływające w tłustości lśniącego błogostanem oblicza, i jakby smutne, na złość. Garść rudawych pakuł pod nosem, zjeżony podbródek, szafirowy krawat, spięty symbolem szczęścia — podkowa, a dalej okapany rosółami brzuch.

Więcej już w mamie, bo ślad myśli na twarzy, wyciosanej w godność uczciwej, ślubnej żony. Jedyna to godność, podniesiona do tej potęgi, jakiej nie zna żadna ludzka zasługa. I dobrze, bo jakąż radość w życiu miałyby mama, gdyby jej odebrano prawo pocucia własnej, niedościgłej wartości w stosunku do różnych... takich... co to żyją na wiarę, bez wstydu.

To też około tej sprawy myśli jej całe życie się błąka, niby pies z podkulonym ogonem, niepewny, czy szczeleć zjadliwie, czy żałośnie wyć. Z całym pocuciem społeczno-moralnych posłannictw spełnia mama obie te powinności, gdy w towarzyskich



przygodach, wytropi lub choćby przeczuje zbrodnię nieślubnego kochania. To jedno, co ją rozplómienia, oburza; to jedno, od czego „gotuje się w niej“...

Poza tem ciche troski codzienne: co będzie na obiad, po czemu mięso i czy starty kurz. Zaś przy gościach rozbiegane żrenice: w czym Wandzi dobrze, a w czym Emilce, a jeżeli chwila zadumania w oczach się zjawi, coś jakby cierpienie w nich się odbija, nie wierz współczuciu, bo zawsze okna są smutne w tym domu, gdzie nie mieszka nikt.

A córeczki? — pięć rzędem, z jednakowo poddartermi noskami, świeże, różowe, tępo zapatrzone wilgotnymi oczami, pobekujące zcicha, leniwe, bezwolne — białe jałowice. Lecz, po ludzku, zaufane w gatunek i obfitość mięsa, rozkładają obnażone ręce, a gładkie karki zdają się prosić o usta, zaś tak zwana „figura“ przeży się, rozpręża, byle tylko oczy na sobie zatrzymać.

Niby zadumane chwilami zdają się panienki, lecz zawsze bezmyślne, a choć zapatrzenia miewają błagalne, lecz myśli złośliwe. Raz po raz krzywią ładne, czerwone usta wzgardliwym uśmiechem, a zawsze zdają się być obrażone, gdy ktoś ku nim się zwróci.

— Także coś... — nowe....

— Nie rozumię tego...

A gdy Sztuczka niemowny zastanowi się chwilę, jak to często natura brzydką pospolitość w powabnej głowie zamyka, i spojrzy smutnie, wnet panna włoskim lazurem żrenic, w górne szlaki pobiegnie,

na lampie wiszącej oczętami zawisnie i tak trwa w anielskości.

Aż wreszcie po chwili zapatrzenia odezwie się Sztuczka nieśmiało:

— Jeżeli pani łaskawie pozwoli, chętniebym jej portret malował.

Wtedy ciśnie się panna, jakby ją grotem w jakieś miejsce boleśnie wstydlive dosięgnął.

— Oh, nie jest tak dobrze, żebym dała z siebie potreta malować...

A mama, w duchu nie bez urazy:

— Po kościele... — mój panie... — i patrzy z zadowoleniem na córkę, że to umie znaleźć się w kropce, a panna już prychnęła czerwonymi ustkami i znowu lazurówem spojrzeniem ponad lampę wybiegła.

A za nią druga i trzecia i wszystkie już zapatrzone górnio, wszystkie pół boleściwe, fałszowane madonny, zaś mama, złożywszy nabożnie rączki na piersiach, piersi na brzuchu, a brzuch na kolanach, zlekka poziewa, posapuje sennie. Coraz ciszej pogrywa smętną melodią — samowar, druh stary.

I już raz, drugi kiwnął się tata.

Nagle sennej mocy się wydarł i napadł na Sztuczkę:

— To pan, tego... maluje landszafta?

— Maluję...

I już ożywił się tata, głębiej zasiadł w fotelu i pełen uczuć przyjaznych:

— A czy, proszę ja pana, trudny to fach, żeby



niby... oddać w całości, portret osoby czy tam wogóle, co stalowane, niby czy trudno malować...

Sztuczka wpatrzył się w niego smutnymi oczami.

— Trudno, panie, malować.

— No tak... — i spoznał z dumą pan skłanik po swojej rodzinie, że oto gościa rozruszał, i już, jako człek bliski, z gotowością do rady, tak łatwą, zawsze płynną w wyrazie, śpieszy z ofiarą cennych życiowych doświadczeń.

Zaczem poucza pan Ogrodowicz z Furmańskiej Sztuczki malarza, jak to, w młodości, wszystko trudnem się zdaje, a przecie garnki lepią nie święci i byle fałdów przysiedzieć, a klienteli trafić do gustu, to, jedno przy drugim, można i z malarstwa coś mieć...

— A grunt, panie, żeby podobieństwo osoby...

I uśmiechnął się przyjaźnie, z zadowolenia odśapnął.

— A jak zwietrzeje z głowy ochota, to znowu, powiadam — nie szkodzi. W młode lata, panie, to wiadomo, że każdy do malowania się garnie, do lekkiego chleba... tego...

— Którego? — jakby pół bólem, pół uśmiechem w Sztuczce rozjękło.

Prychnęły zdławionym chichotem córeczki, tata zdziwionymi oczami zamruzał, rękę żegnającego się gościa uściśnął.

— Dlaczego — dlaczego tak nagle?

— Bo dosyć!...

— Do... dosyć?...

— A dosyć!... — w oczy mocno spojrział mu Sztuczka. Przyjaźnie panienki pożegnał, a za chwilę już człapał po błocie przez czarne podwórze, a myślał może o cudnej księżniczce z willi Borghe-se, może o świetnych malarskich obiadach u Sfor-zów, o królewskiej dumie i władzy ówczesnych artystów, to pewna, że, w swem zadumaniu, dalekim był od szczęścia, jakie niosło mu życie.

A jednak — któż wie, jakie to czary serca ludzkie niewola, bo oto po wyjściu niezwykłego gościa zły, chmurny był tylko pan skłanik, a reszta, co żeńskie, noc długą, niespaną w niejasnych tęsknotach przetrwała.

Zaś rankiem szepnęła najstarsza:

— Ma takie oczy, że — nie wiem.

— Ma — to nie dla ciebie.

— Ach, Boże, dla ciebie — może już kocha się w tobie? Idiotka!

Lecz złość nagle przygasła i spojrzały siostry po sobie przyjaźnie, serdecznie, bodaj że poraz pierwszy, w owej rodzinie.

I, poraz pierwszy łyzy ciche, tajone zbiegły z oczów panienek.

Jakby z nich zmyły bezduszną tępość wyrazu, rozmigotały w światelka myśli i marzeń.

Bo są czary i cuda, zna je serce kobiece. W jedno mgnienie się budzi, odradza — już płonie, w jedno mgnienie zamiera.

A czarodziej odchodzi, ani nie zna swej władzy. Szczęście tęsknoty, całe światy marzeń, sny złote



za sobą zostawia, a sam jakże często, cichy, niepozorny, smutny i ubogi...

Ma tylko — duszę.

— Cembal! — panie łaskawy... jednym słowem określił go tata.

\*  
\*   \*  
\*

Zadumał się Sztuczka, bo oto przeczuł, że rwie się nic jego bytowania na Furmańskiej ulicy. A choć rozumiał dobrze zakusy na swoją wolność — dobro jedyne, nie mógł przeniknąć, jaki cel mogła mieć mama, tata i córka w wiązaniu się z oblubieńcem bez butów.

Zaś aż go dreszcz chłodny przenikał przy myśli o prawach dożywotnich przyszłego teścia na pogadanki o sztuce.

A wreszcie, jak dotąd, nie zastanawiał się nigdy, że mogłaby mu przyjść tak dziwna ochota, żeby mieć żonę.

Zdawało mu się, że łączyć się z kimś tylko z wygodnej potrzeby posiadania na całe, długie życie, skoro człowiek zawsze niepewny, co jutro przyniesie, znaczy okłamywać świadomie i siebie i kogoś, co ufa i bliski. Zaś kochać i godzić się na to, aby świat wiedział i prawie, że widział, prawie że liczył pocałunki małżeńskie, to jakby człowiek sam siebie z radości okradał.

A dusza kobieca? Wypieszczone uczucia, tklive

porywy, z dziewiczych marzeń wysnute, przedziwną subtelnością owiane, płonąca wstydlivość i — pokój sypialny... publiczny.

Gdzie ten, który ma żonę i ci wszyscy, za ścianą, z jarzącymi ślepiami i tanim żartem na ustach.

I nazajutrz... mamy drażące źrenice i tata z jakimś zjeżdżałym uśmiechem i młodsze siostrzyczki z okrągło wystraszonemi oczami, ciekawością dławioną...

I ciotek, kuzynek rozszeptania poufne:

— Bardzo... bardzo — szczęśliwa.

A przed malarskimi jego oczami jawi się to szczęście — nieżywe, jakby pogrzebane w dwóch łóżkach, zesuniętych ze sobą, kędy biały całun się ścięło i z martwą godnością leżą poduszki.

Tyle szeptów miłosnych, tyle westchnień serdecznych zapadło w nie nocą, a dniem chłód od nich wieje. Bezpieczna prawomyślność małżeńska, pewna siebie legalność, bez niespodzianek, bez wzruszeń, spoczywa na geometrycznym kształcie, na chłodnej bieli.

Ludzie tacy bywają: z krwią zimną, bladą, bezduszną, ale z jakąś grobową godnością obnoszą swoją dzienną, niepokalaną białość po świetle. Jakże dumni, że przez ich życie nie przeszła żadna namiętność, grzech żaden krwią ich się nie pożywił.

Zaś trafi się człowiek, który nie ma nawet własnej poduszki, niby pan Sztuczka. Lecz chciałby cieszyć się życiem, chciałby służyć takim uczuciom,



co zakwitają, jak owe ziela, w uroczne chwile. A z tego posłania, w które noc zakłęła czarów miłosnych wspomnienie, chciałby widzieć, o mrocznym świecie, w rojach motyli, uciekające szepty kochania. Każdy świadek chwil bez pamięci, a każdy niemy, skrzydlaty, niechby niósł w przestrzeń bezkresną, gdzie oczy ludzkie nie sięgną — odrobinnę szczęścia dla siebie.

I chciałby Sztuczka niemądry, żeby nie było ludzi, tak zwanych porządných na ziemi, boć to oni przecie z oprawczym spokojem, z zimnym uśmiechem dręczą rwące się dusze i — do ziemi, do ziemi, naszym śladem, za nami, jeśli chcecie wy żyć.

Tak mu się zdaje, że gdyby ludzie cnoty nie znali, lecz w każdym gorąca krew grała i żyła w nim moc szalejących porywów, byle tylko na straży ich czynów stał zawsze artysta, nie ukrzywdziłby silny słabego; nie żarliby się bracia o każdy kęs chleba; inaczej, a piękniej kochaliby ludzie.

A kłamstwa, co w duszy człowieczej najbrzydsze może wtedy nie znałby świat.

Bo to przecie aż dziwno, jak to mogą żyć oni ze sobą; bratać się, kumać, łączyć ślubami, kiedy wszyscy wzajemnie sobie nie wierzą, kiedy ojciec synowi nie ufa, i właśnie dlatego, że w jego dziecku pewno dusza — ta sama, co w nim.

Ani myśli o tem pan Sztuczka, że wtedy cały urok straciłoby życie, gdyby nuda wiary wzajemnej martwemi skrzydłami nad nim zawisła.

Powiadają, że niema tak twardego jarzma na świecie, w które nie wrobiłby się wkońcu kark ludzki. Przygiął się Sztuczka istotnie i dźwigał swą dolę sklepową, choć rzewnie płakała w nim dusza.

I co dnia, jak tęskniąca do szczęścia dziewczyna, drżało w nim niepokojem serdecznym marzenie, czy wyrwie się kiedy z tej paszczy sklepowej, co go już żarła powoli.

W tej jego udreće, niby jasny promień niosła mu pamięć jej ciepłe, serdeczne odczucie. Białe ręce na skroniach...

Raz jeszcze przeżyć tę chwilę, a potem uciekać.

Lecz rok minął, długi, szary rok, jak bez blasku dzień. O wiosnie zakwitła obłupana z kory i cała w ranach, podwórzowa grusza, a w losach Sztuczki nie zmieniło się nic. Po dawnemu ubogi i bez żadnej na przyszłość nadziei, po sklepiu się ślaniał, a dzień w dzień, od świtu do nocy niosło mu życie:

— Octu za sześć.

— Cukru dwa fonty.

— Orzechowa ciemna — czy jest?

I marzył i ważył pan Sztuczka, a smutek za serce go rwał.

Nawet ta radość w życiu jedyna, choć jakby przepojona łzami i żalem — jej oczy jasne, litosne uciekały od niego spłoszone.



Chwilami tak mu się zdawało, że strach się w nich błąka.

To znów jakby z wezwaniem biegły ku niemu, pamiętliwe, lecz inne: jakby o coś błagały — wiśły na nim, z żalosną, rozpaczliwą nadzieją.

Nie patrzył, czuł oczy na sobie i drżały mu ręce.

— Hej, Sztuczka, kawa się sypie, niezdaro!

— Bez papieru ważysz... — syczał nad nim wuj Nowakowski.

— Cóż to dzieje się z nim? — w zapatrzeniu zimno-niebieskiem pani ciotka pytała.

A w ciemnym kącie, gdzie wysoki kantorek przywarł do ściany okiennej i półek zastawionych słojami, wśród szarej czerwieni paczek, pudeł blaszanych, górnem światłem oblana ostro się znaczą papierowo-błada nieszczęsnej Wandzi głowina.

Coś się tu dzieje, coś żalem wre, myśl szuka ucieczki, tłucze się, jak ptak, co się o zimne szyby rozbija, kędy jasne światy płoną.

I jeszcze chwila, jedno mgnienie jeszcze, a wydrze się krzyk, bolesnym jękiem rozniesie po cichym sklepiu, gdzie sennie, bez życia przewijają się ludzie, składają miedziaki, w zamyśleniu odchodzą.

Gdyby nawet z nich wybrać kogoś z sercem najtkliwszem, i kazać mu spojrzeć w oczy dziewczyny, ramionamiby wzruszył.

— No, więc i cóż? Mało-ż to człowiek ma własnej zgryzoty?

\*

\* \*

Aż przyszedł ów dzień: zjawily się przed nim te oczy, jak wtedy, niezapomnianej chwili samotnego żalu.

Lecz tym razem perlistemi łzami przebrane, nad własną dolą płakały.

Na drżących ustach rwało się, w łkaniu, bezzałosną mocą targane wyznanie, jakby z samego dna duszy, słowo po słowie:

— Ja pana... tylko jednego... ja zawsze...

I przypadła jasna głowa dziewczyny do strwożonych, uciekających rąk Sztuczki.

— Pana tylko... kochałam.

Zachwiał się chłopiec. Radość płomieniem przeleciała mózg, uścisnęła serce. W rozdygotane ręce głowę jej utulił, w jedno mgnienie cudny sen przeżył:

— Razem z nią, razem, w świat, w świat... Z głodem i troską — nic... nic...

I z nią wraca — ze sławą. Drżą szczerem życiem jego obrazy, palą się barwy, bo oto już wie, czego chce, już wszystko zrozumiał, gdy cud kochania spełnił się w nim...

Modlić się pragnie, rzewnem roztkliwieniem dziękować. I chyła się pod nim kolana i tak mu się marzy, że oto idzie, idzie ku niemu postać i świetlista i chmurna, otulona w tęczę. Ciemny bór ma nad czołem, a pod nim, w niepojętych łukach sklepienia,



co jak orły nad lazurowymi toniami zawisły, dwie kaplice płoną, w barwistych światłach roztoczy, kiedy modlą się oni, ukochani mistrze.

Tam z sercem miłością wezbranem, z myślą czystą od spraw ludzkich, celów, zabiegów daleką, człowiek się korzy, a czyjeś dłonie świetlane niosą mu ciało, krew sztuki, świętych tajemnic poznanie.

— Za nędze, za głody, za krzywdy od ludzi...

Cisnie Sztuczka głowę dziewczyny drżącymi rękami, śmieje się, łka:

— Prawda to? — Prawda?

A ona jasną głowę jeszcze niżej pochyli, aż falą gorącą ręce jego ociekną.

— Ja panu... całą prawdę w tej chwili... ja panu wszystko...

— Mów!.. Mów...

Drży, łamie się głos. Zwolna, zwolna słabną ręce Sztuczki w uścisku, aż osuną się całkiem i zwiną bezsilnie, a przerażająca cichość zalegnie w myślach, co przed chwilą wrzały.

Coś ze śmierci w tej ciszy.

Cisną się, tłoczą wyrazy bolesnego wyznania, głos jakby w głębie zapada, skąd świeżą mocą żalu się wznosi. Skarży się, skarży, ale myśl już nieczuła, jakby nagłym uderzeniem rozbita w jakieś szczątki rozprysła, gdzie wikłają się słowa słyszane i własne wspomnienia i cudze przeżycia, a tam—

jakby gdzieś daleko, coraz ciszej dzwoni radość świetlana, w chłodnych mgłach się rozplywa, odchodzi.

Nagle w płaczu rzewnym rozjękła dziewczyna:

— Ale ja pana zawsze... zawsze...

— Ha, ha! — zła myśl budzi się nagle, porywa zbójeckimi rękami wymarzone kochanie, trzęsie nim, szmatą zbrukaną.

— Czy i wtedy, gdy z nim?...

Zwolna podniosła się głowa bolesna, jasne oczy spojrzały głęboko.

— I wtedy.

Zdumiał się, zamarł zły śmiech.

Znacie, ludzie, jakie gorące to łzy, gdy po mgnieniu płomiennej radości w samo serce żgnie chłodny ból?

Kto choć raz w życiu kochał i pragnął, a po nocy niespanej przeżył świt beznadziejny, jakże dobrze je zna.

I pamięta ów ból, co to zrazu uderzy, a potem się zwolna zanurza coraz głębiej i głębiej, gdzie już niema łez, lecz skrada się rozpacz z płonącymi oczami.

Lecz zna także człowiek niejeden, jak to po takiej nocy, o szarem świtaniu, jakby czarna zasłona zlekka się z myśli osuwa i jasne — dlaczego — z pieśnią nadziei się budzi?



Dlaczego? Dlaczego człowiek tak często rwie szczęście własnymi rękami, owo szczęście, tak upragnione niedawno. I mówi człowiek, że ktoś mu je zbrukał, a ono przecie — to samo, w jasnych oczach płonie i tylko serce żalem wezbrane skarży się temu, którego kochało, że stała się krzywdą.

Krzywdą... — zadumał się Sztuczka. — Toć on sam nic innego prócz krzywdy nie zaznał od ludzi.

\* \* \*

Noc przyniosła mu radę: bierz szczęście w ramiona, uciekaj... — zaś świt zawstydzienie, że zdrwił złym śmiechem z udręczonej dziewczyny — artysta.

Rada zdała mu się słodką i dobrą, i wnet cała szarość smutnego życia przystroiliła się w blaski. Z blasków dobra nadzieja wykwitła.

I już myślał — nie zwlekać, choćby dziś, jutro, byle stąd dalej a prędzej, bo nagle odeszły go siły, jak bywa, gdy człowiek zapragnie czegoś gorąco; wszystko, co w nim żyje, oddaje pragnieniu.

A gdy zdarzyła się chwila pomyślna, porwał chłodne ręce dziewczyny:

— Uciekać... uciekać!

Błysnęły jej oczy radością:

I — zgasły, spojrzały z wyrzutem. Cichym szep-tem roztuliły się usta:

— A... — a — ślub?

I rozbiegły się ręce z uścisku, a na twarz jego spłynął dziwny półuśmiech i zamarł w skrzywieniu, co już na życie zostało.

O drugim świtaniu złożył Sztuczka ubogie węzelki. Z ponurych ścian nad pawlaczem — zrywał drogie pamiątki, skąd biegły całym tłumem do niego minionej doli wspomnienia.

Drżącymi rękami je zrywał, barwy roześmiane do słońca, włoskie, lazururowe brzegi, Capri, kwiatami płonące, białe chaty z kamienia, ciemnych skał zręby w szmaragdowej fali.

Chwilę posłuchał, jak to budzi się sklep tuż za ścianą, gdzie już padły pierwsze miedziaki na blaszana ladę.

Spojrzał jeszcze po ścianach, jakby sobie w pamięć chciał wrazić, co tu przetrwał, przebolewał, i — jakże to rzewnie drzwi za nim rozjękły.

Aż zdumiał się Sztuczka, skąd w martwej rzeczy taki szczery żal.

I teje chwili, gdy w ciemną sionkę, zapartą scho-dami już wyszedł, a radosną pewnością odetchnął, że nie powróci tu nigdy, ujrzał przed sobą dziewczynę, wielkie jej oczy, przerażeniem rozwarłe.

— Nie... nie... Nie zostawi... tak...

Na duszę znużoną, osłabłą, padły te słowa silne tylko żałością, lecz jakby krwią, łzami wezbrane.



I tejże chwili, z woli przeznaczeń, przyszło owo mgnienie, co tak często o losach ludzkich stanowi, na całe życie ciężkim wyrokiem się kładzie, czasem życie zabiera.

Bezwładnie na poręcz schodową pochylił się Sztuczka, ręce dziewczyny za nim pobiegły, rozpaczliwie drapieżne, tklawie błagające ręce.

— Nie zostawi pan mnie... nie zostawi!...

Z sił ostatkami zebrał się nagle:

— Nie mogę! — ja muszę... — lecz zanim odetchnął, zanim jeszcze usta wyrazami pociechy czy dobrej rady otworzył, już wiedział, że uległ.

I jeszcze ciszej, już prawie z błaganiem:

— Pozwól... odjadę...

Dwa słowa, lecz nie było w nich krwi, ani łez; osunęły się z szeptem liści umarłych, ślanające, pobladłe i drżały w błaganu o łaskę.

Wtedy zabłysły skry złote w jasnych oczach dziewczyny i, padło z mocą:

— Dobrze!... Ja z panem.

Ale dziwne serce ludzi niektórych: z chwilą, gdy ktoś do niego z ofiarą się zbliży, już rozrzewnione oddaje się całe:

— Nie, nie... Niech się stanie, jak chcesz.

I tem jeszcze ludzkie serce jest dziwne, że zgoła nie ceni przemysłanych darów. Droższe mu głupstwo szczerego porywu, niż piękny, mądry czyn miłosierdzia.

Nie było też w nim wcale radości, gdy już słowem niewolnem związany, nad przyszłemi losami, nad szczęściem rozważał...

Bo tak sobie już nazwał ów postanowiony związek z dziewczyną, jak go wolno nazywać, ale próżno to szczęście na myśl przyzywał i śmiał się do niego — uciekało spłoszone, jak dziecko, co w słodcz podarunku nie wierzy.

Skądże jednak ta myśli odmiana, kiedy jeszcze wczoraj, dziś o świtanu, nawet sam wyraz: — małżeństwo — zdawał mu się czemś zimnem, oślizgłem, co serce wierzące owija, niby gad podejrzliwy, nieufny — skądże w kwiaty spełnionych marzeń stroić zapragnął chwilę ślubnej przysięgi i serce przyzywa na gody?

Daremne zabiegi, bo nigdy nie przyjdzie marzenie, wezwane, nigdy serce obowiązków przysięgi nie zechce, a szczęście — jakże często ucieka, gdy je człowiek opieką otoczy, zamyśli mu stworzyć — wygodę...

Zdawałoby się, że jest tylko ubogich udziałem, do niedostatku rade się garnie, a nikt go nie skusi, choćby kwiatami słał drogę i złote wznosił ołtarze; czasem tam się przytuli, gdzie skopią nogami; czasem, ludzką pogardą okryte, trwa czyste.

A czasem w jasne oczy zapadnie, radością zapłonie, rwie się jak ptak, w pieśni splywa na usta.

I — kłamie.



Człek wszystko przewidujący, wuj Nowakowski, niespodzianek nie lubił.

— Wszystko w życiu powinno być pewne — tak mawiał — zaś reszta — to zawsze cegła, spadająca na głowę.

— A los na loterii?

— Nie trzymam... — odpowiadał z godnością i wnet rozczapierzał garść żyłastą, kosmatą.

— Oto, panie, moja loteria; czego tem nie wydrapię, tego nie wygram.

Istotnie drapieżny był pan Cezary, miewał jednak chwile tklivości, gdy, patrząc na sprawy życia, a zawsze tylko ze strony osobistej korzyści, pomyślne skutki rozważał.

Tedy narazie zlekka ogłupiał, gdy mu rozdygotany wzruszeniem Sztuczka prośbę o rękę panny Wandy przedłożył. Wnet jednak zupełną przytomność odzyskał, gdy bystrym umysłem ogarnął, że oto wierny sklepowy wyrobnik bez żadnej dopłaty bierze zły towar — dziewczynę, co zatem, jako człek bliski, już schedy po ojcu nie wydrze z pazurów.

I już wzruszenia nie taił, rękę do uścisku wyciągnął.

— Chwałę ci, chłopcze, wybór bardzo szczęśliwy. Dziecko z gniazda dobrego — prima gatunek...

A teźże chwili na fałdy oblicza osunęła się troska.

— Tylko, że... tego, tylko, że... jakże, bo to panienka uboga... — Wianuszek musi ci starczyć za wiano.

Przez gardło ściśnięte wydarły się chłopcu wyrazy:

— Będę pracował... na dwoje.

— Za dwoje, kochanku, za dwoje... — i wziął go w ramiona.

— Nie zginiesz, bo widzę: jest głowa na karku, a póki tam co, weźże sobie stancję za sklepem, ciotka też bez koszuli dziewczyny ci nie da, więc — tego — na dorobku — szczęść Boże.

Miał serce wuj Nowakowski. Czuł przecie wyraźnie, że coś poruszyło się w nim.

Zaszumiało na Furmańskiej ulicy, gdy pierwsza wieść między oficyny wypadła, zakotłowało w podwórzu, jak ta zawierucha, co to zrazu dołem się niesie.

— Ślub!... Ślub!...

Wnet rozkołysały się myśli, spraw najbliższych odbiegły. Podskoczyły z uciechy, zakręciły się w tańcu, porywając w kolisko starych, młodych i dzieci.

— Ślub! — Ślub!

Zadudniły bosc pięty po schodach: w izby, kuch-



nie i klitki zadyszana wieść biegła; kędy w mózgi zapadnie, z ust się zerwie pytaniem:

— Kto z kim — kto się żyni?...  
— Nowakowska z buchalterem.

— Ha, ha, ha!

I już górą zawierucha się niesie, przewaliła przez płoty, goni śmiecie ulicą.

— Ślub! Ślub!

Zaś wieczorkiem, gdy w sionkach czarne, otłuczone lampki rozpoczną spalanie codziennej ofiary, a na podwórzu, tej chwili bezwietrznej, kiedy to, w zapartej murem ciepłości szerokimi smugami rozpląną się wonie i zejda na myśli dnia minionego wspomnienia — marzy dziewczyna o szczęściu...

O ślubie, o tem jedynem w życiu zdarzeniu, co z ludzkiego śmietniska podniesie. W blaski świateł powiedzie, przed złociste ołtarze, gdzie zatrzymają się na niej, na szczęśliwej wybranej, oczy całego, całego podwórza.

— Patrz, patrz... Panna młoda.

A potem niech sobie życie będzie, jak chce.

O-wa!

Nie zapijesz wódką doli, nie przegryziesz łzami losu.

\*  
\*  
\*

Rok minął i przyszła wiosna. Rozległy się czerwone poduszki, pierzyny na płotach Furmańskiej

ulicy. Zakwitły jabłonie; śmierć szerzej ruszyła przez starców i dzieci. Jak co roku, o wiośnie.

Ktoś tam się żenił z Browarnej; wspomniano ślub Nowakowskiej.

— Jakoś w te czasy...

— Ej, cheba że później.

— Jakże to — później, kiedy przecie o maju obwiesił się w szopie. Jakże to mu było?

— A może... Ale też wiater był, wiater...

I wnet poszła ochotna gawęda, jaką to suknię, ze szczerzej tafty, panna młoda miała. Kto družbował, kto z gości, a jak te aniołki były druchny, z różowej satyny sukieneczki z igły, ubrane gazą — saledyn.

— Nie saledyn a turkus.

— Pani droga — saledyn... jakbym dzisiaj widziała.







U zbiegu Alei i Marszałkowskiej, gdzie na białej  
płaszczyźnie czarna, żałobną mocą—W a r s z a u-  
H a u p t b a h n h o f — uderza w oczy i serca, od  
świtu wczesnego, krętym węzem, zwija się szary  
tłum polski.

Węzły z pościelą, kufry, tłumoki, ubogi ludzki  
dobytek, a górą zrzadka błyskają noże bagnetów.  
Młodzieńczy milicjant kogucim głosikiem, a z wiel-  
ką zachowania powagą, przestrzega publiczność,  
spór ostry gdzie niegdzie jakby nagłym płomieniem  
wybucha, skrami ciętych wyrazów już pryska,  
a tuż głos obcy, przenikliwy dźwięknie jak stal i,  
klótnia zamiera. Jakby sercem do serca mocniej  
zewrze się tłum, w jednym zakołysze westchnie-  
niu...

Każde innym żalem przebrane, w każdej myśli  
dzwoni inny niepokój: matka, dzieci, majątek; tam  
chata niewidziana od roku, tam chwila szczęścia  
ledwo dwa serca w przededniu złączyła, już spło-  
szył ją świt; tam granat pękł w domu, a człowiek  
oszałały ze strachu biegł noca, aż oprzytomniał,  
zrozumiał, że nic mu po życiu, gdy wszystko co  
drogie i bliskie za sobą zostawił.



Ktoś życia całego dorobek porzucił — sklepik w małej mieścinie — świata za nią nie widział i widzieć nie pragnął, inny, w kłębach czarnego dymu w ciżbę ludzką zaparty, ani mógł spojrzeć za siebie, a tuż, obok wyschła, ciemna jak wiór leśny staruszka, w czarnych, pokrzywionych palcach przesuwająca gładkie ziarna różańca.

— Dokądże, matko, jedziecie?

Jakby suchem listowiem zaszumiała drzewina:

— Do dziecków ja, panie. Cały rok nie widziałam, aż się już we mnie serce z tej żalości zapiekło.

— A papier macie, że wolno?

Spojrzała zdziwionemi oczyma, jakby się boczyła od takiego człowieka, co pyta o papier na matczyne kochanie.

Tam druga — na świecie niema nikogo, nie nie winowata nikomu, a jedzie — skonać, kajniebądź w chałupie, bo strach zamrzeć w kamienicy, wysoko.

I coś tam jeszcze prawi o skrzynce zielonej, co u Kwiatkowskich ostała, a było w niej całe obleczenie do trumny i w szmatach różności.

— Szmata szmacie nierówna; dobre były, nie tanie.

Zaś czarna panusia w koronkowym na głowie „ubranku“, czerwonym zdrowiem przebrana, patrzy zwysoka na ubogi, w troskach pobladły, umęczony lud.

— Człowiek jedzie, bo musi, ale poco to-to tłoczy się wszystko?

Nagle głos obcy:

— Zurück! — jakby ostrzem żgnie w tłum.

Kiedy wszystkie rozmyślenia i żale już na samo dno duszy zapadną, w cichości i trwodze.

Zakołysał, cofnął się waz, a od głowy oderwała się mała gromadka, ściskająca w garściach — przepustki.

— Marrsz!

\* \* \*

Są dusze, w których, ponad wszystkie zalety myśli i serca, wyrósł zimny ład maszynowy, a ścisła punktualność nazywa się cnotą; są dusze jeszcze uboższe, które owa tępa bezmyślność, znacząca klucz każdy i ścierkę odpowiednim napisem — ośniewa.

— Bo to, panie, porządek! ład, panie, angielski!

I choć głos w ścisłości zdławiony, niemniej jednak przejęty wzruszeniem, że oto pociąg, co do minuty, o czasie wskazanym odchodzi. Godziny udręczenia już zbiegły z pamięci.

Wnet serca żywiej zatłuka, jakby prąd szczęścia idzie przez natłoczone wagony: już śmieją się oczy radosne do pierwszych za miastem polettek, a myśl wydziera się dalej, do chat własnych i ludzi kochanych.

— Nareszcie!

Z jakąś dziwnie wdzięczną, serdeczną uległością znosi się wszystko co przykre, ów ścisły rozpaczli-



wy, spadające na głowę tłomoki, oddech gorący z przepojonej jarzynowym zapachem brodatej twarzy sąsiada i twarde ludzkie łokcie, tłoczące się w stronę najmniejszego oporu płci słabej, ale obfitej, i jakieś nogi nieczułe na bolesne wzywania. A gdy chwilami wydrze się głos zapartej w beznamietne, choć gorące uściski jejmości:

— Przecież to trzeba do gazet! Zagranica, mój Boże, są inne porządki... — śmiech głośny uderzy w pani tęsknotę...

— A toć zagranica, paniusiu. Już przysła do nas. Ale nie do śmiechu już ludziom, gdy z zielonych poletek, z podmiejskich ogrodów oczy głębiej zanurzają się w przestrzeń, a serca złe przeczucie ogarnie, gdy coraz szerzej przed niknącym pociągiem martwe pustkowia, coraz gęściej okna wydarte i smutek czarnych kominów. Już przed oczami przesunął się Pruszków z długim szeregiem dawnych kolejowych warsztatów, tchnących martwością, przez okna, bez blasku i życia, gdzie tak jeszcze niedawno dzwoniła praca dźwiękiem żelaza, przeżyły się ręce i huczał głos ludzki. Zaś obok, jakby szyderstwo, trwa bez śladu zniszczenia wśród chat rumowiska, dziwnie brzydki budynek biur kolejowych. Nowy, czerwony, fałszowany z gotycka, trwa, silny niepożyty oporem zimnej, bezdusznej pospolitości, jakby drwił ze wszystkiego, co dawne i szare, w czym żywe serce ludzkiego kochania biło przez długie lata, póki nie przyszedł straszny rok wojny. Przyszedł i zniszczył, niby chytry polityk, przede-

wszystkiem drogie polskiej duszy wspomnienia, zaczęł jąć się rabunku ledwie poczętych, ubogich dobrobków, bo tak się przyszłoś narodu zabija...

Ani w nią spojrzeć, ani nad czem zamaryć, bo trudno myśli człowieczej wznieść się jasnym promieniem dobrej nadziei nad czarność zniszczenia, którą Polski obrońca za sobą zostawił, a po nim nowe życie wzięło serce narodu w twarde, bezlitosne ręce.

Lecz oto już pola słoneczne za oknami biegną, ulga schodzi na myśli i już uczy mądra przyroda, że niema zagłady, gdy ziemia została, a w niej źródła żywej mocy zakłete. Oto poczerniałe snopy leżą martwymi zwałami, a pod nimi ziarna już wzeszły i młoda, jasna ruń buja; oto dawny dwór pański rozbity, a przy nim topola — jedno życie. Ostatecznie ze zdartą koroną zostało. Jakże udrećzone, lecz jak Męką górne i już mocą cudowną kipiące — w pędach strzelistych, w świeżem, soczystem liściu.

Przed oknami pociągu przesuwają się Brwinów, zgola bez wyrazu podmiejskie siedlisko, ocalałe bez krzywdy widocznej. Za nim Grudów, Nowawieś, Zalesie: szerokim pasem legło tutaj zniszczenie, strachem złości objęte, a tuż znowu letnisko białe, słoneczne, zawsze jakby z martwym uśmiechem, co przywarł do tych domków świeżych, zalotnych,



i nie schodził z nich nigdy, jak z ust głupiej dziewczyny, w szczęście swoje wierzącej.

Dalej na murach zzartych płomieniem — stare Grodzisko, książąt mazowieckich letnia siedziba. Czarność i pustka — tylko napis na zniszczonym budynku stacyjnym, świeży, dzisiejszy. Obcy dawnym wspomnieniom — Grodzisk żalobnie się znaczy.

Długa chwila postoju, lud krąży ciekawie, do wagonów zagląda, każdy radby się czegoś dopytać — co słyhać, a jeśli nic się nie dowie, to sam jakąś nowinę wymyśli, że ktoś tam już idzie, że dziś, jutro coś się tam stanie, że pańska ziemia pójdzie na działą, a w każdym lesie — „serwietut“. Ale jakoś, jakby coś za plecami, strach — nie strach, ale nieswojo. Zaś któż-to bez grzechu...

— Brali wszyscy, ja brałem.

Lecz to najgroźniejsze, co życie niesie nowego: obwieszczenia, czarno-białe tablice. Przy nich chłop staje stroskany.

— Kiej nie poradzę, kiej nic tutaj nie pojnę, a tu może za słupem śmierć stoi.

— Nie chodźta.

— Kiej do chałupy mi potrza.

— Do czyjej? Małoście jeszcze dobra zebrali?

— Brali wszyscy, ja brałem.

I w zamyśleniu drapieżny chłop krąży, medytuje co wolno, a czego nie wolno i, czy to aby za nim, jak dawniej, prawo ostanie? aż dopiero pod wie-

czór, w poufnej gawędzie, gdy duszę ogarnie wątpliwość, ulży sobie, rznie czapą o ziemię:

— Kumitety — psiekrwie, polskie panowie!

Dawne włości guzowskie, stacja — Shirardow, gdzie rozdarta fabryka, a z niej wywalone wnętrzności. Jakby w męce ogniowej skręcone belki żelazne, strzepy kotłów fabrycznych w lotnem popielisku. Koła zębate, co się z sobą zwarły, jakby dwie bestje na śmierć zmagające, rdzą świeża, czerwoną ociekłe, całe stopy splecionych lin, szmat czarnych i blachy, bale ogniem przeżarte i dziwne jak z bajki, martwe, ciężkie kadłuby, a nad nimi wije się czad, tysiąc okien fabryki — oczów grozą rozwartych.

I dzieci wianuszek, spleciony za ręce:

— Budujemy mosty dla pana starosty....

I długo jeszcze trwają w pamięci, jakby wparły się w mózg, czarne, złowieszcze okna spalonej fabryki, a jakże smutny przez nie widzi się świat.

Lecz oto inna już sława, wczoraj ledwie z krwi męki wyrosła, przysłania wrażenie. Przez szare pola nad Rawką biegną już oczy, myśl je wyprzedza, widzi rzeczy dalekie: plon z krwi ludzkiej zebrany — świetne kwiaty wolności i, jak wody bezkresne, szare ludzkie gromady, wzywające — chleba!

Nie urodzą go pola nad Rawką, gdzie od ziemi wypalanej, zdartej, ciemnymi czeluściami zrytej.



cisza śmierci aż po niebo jasne legła. Gdzie na martwych ugorach nie zakolysze się kępa traw suchych, nie pochyli kiść, bo nie przemyka tu życie, trującym powiewem zduszone. Martwe stoją kępy rokity i naga olszyna, polskich wód straż, z kory odarta, krwawem ciałem świeci, ognistemi biczami pocięta.

Zrzadka ślad chaty; czasem tylko ciemna linja wyżartych opłotków ją znaczy, po rudo-czarnej kępie drzew poznać ją można, gdzie była, a dalej za rzeką las — leży. Za nim niemowny, bolesny — Bolimów i krwawa żalność polskich przeznaczeń — Mogiły.

Nagle z zamyślenia ostry głos budzi:

— Skierniewitz -- wysiadać!

— Dlaczego?

— Niema — dlaczego! Kazano — wysiadać!

— Ale jednak... właściwie... bo przecie... dlaczego?... — Lecz to już tylko z własną duszą rozmowa i wniosek, że punktualność wyjazdu niezawsze jest miarą choćby w przybliżeniu określonej chwili przybycia — jednym słowem noc w Skierniewicach z biletem do Łodzi.

Miasteczko zamarło, nagłym strachem zdjęte. Szare, brudne i smutne. Tylko na węglach starych kamienic kolorowe „obwieszczenia“ się znaczą.

Czerwono, niebiesko: Stanisław Nawrocki, muzykant, Andrzej Szymczak za posiadanie i t. d., a tuż za szpiegostwo — nieszczęsny Lajbuś Cytryner zielono.

— Wus is a szpiegostwo?

— To jest ciężki interes.

Zaczem westchnienie żalności poruszy brodami i rozchodzą się kupcy, a ze świeżej, u węgla, gromadki półradosny, zdziwiony głos leci:

— Patrztla ludzie: popalsia Nawrocki.

Dziwnie przykre wrażenie, gdy, w miarę oddalania się od Warszawy, pociąg jakby się w ciemność zasuwa, a dusza coraz mroczniejsza serdeczną wzbiera tęsknotą za tem, co za nią zostało. Jak bywa w życiu, gdy smutki minione jasną chwilą się zdają.

Przed oczyma ciągle to samo ponure zniszczenie, nawet kształty i barwy zwałonych chat, czarnych samotnych kominów i pól stratowanych jednostajnie bolesne, jednostajnie te same. Lecz myśl już znudzona, już dalekich marzeń nie snuje o białej, świeżej wsi polskiej, o szczodrym plonie ziarna, na przyoranych w ziemię popiołach, o śpiewnej ludzkiej radości, rwącej się, jak wolny potok, przez wydarte przemocy łożysko.

Martwa i głucha leży wieś polska, próżno szukać



w niej życia, próżno nasłuchiwać głosu, gdzie na czarnych opalonych drzewach nie zaszemrze liść, a gdy zjawi się tutaj zabłąkany ptak, coraz szersze kręgi zatacza, szuka życia na ziemi, aż mocniej skrzydłami uderzy, aby stąd prędzej, gdzie taki dziwny, niewidziany świat smutków.

Rzadki człowiek po drodze. Oto idzie chyłkiem, jak zwierz żerujący, spłoszył go łoskot, spojrział ziemi oczyma, już został daleko, a tuż chata przy linii kolei; szara postać wlecze bale zwęglone, znowa układa, widać, chatę sposobi. Dalej bezradna ludzka gromada i, jakby z nieba tu spadły na szczyre pole: szafy i stolki, kłęby pościeli i chuda graniata, a pies w nią zapatrzony, jakby pytał: — co będzie?

Znów mroczne pola, las roztargany, znów gęsciej ludzkie siedziby i głosy, zgrzyt hamowanego pociągu i zgrzyt krótkich, jakby rwanych wyrazów, drażących się w mózg, aż do bólu.

Koluszki! Wysypało się ludzkie mrowisko i biegnie każdy w popłochu, bo tak się wszystkim wydaje, że oto pociąg zaraz odejdzie. Ktoś krzyknął, ktoś nie zrozumiał, ale jeszcze prędzej pośpiesza, a za nim inni, już w trwodze. Już zakłębił się tłum i nagle rozsypał, a przed oczyma w pośpiechu prze-myka: tu żółty kufer, welon rozwiany, tam twarz

pałająca, dwie trzęsące się brody. Niebieskie dziecko, które wrzeszczy: — Ja nie chcę. I czerwona poduszka, i dwie pelargonie nad wszystkie głowy wzniesione, tragarz z trumną na plecach, człek jakiś niby w tańcu, i pan, któremu nie pilno, a nad tłumem zapartym głos rozpaczliwy:

— Pociąg! Gdzie pociąg!

A tuż, cały szereg ludzi spokojnych i patrzą ze wzgardą:

— Europa!... Wiek tu upłynie, zanim stworzy się — ludzi.

Jakaś jejmość, śmielszej natury, do rozmawiających przypadła:

— Panie! pociąg do Łodzi?

— Tak! Będzie pociąg do Łodzi.

— Ale kiedy? O której? — I już ludzie naparli gromadą, pan zaś długą chwilę pomyślał:

— Powiedziano, że będzie.

W cisnącym się tłumie niepokój:

— Co? Co pani powiedział?

— Powiedział, że — będzie.

Za chwilę to samo:

— Panie! pociąg do Łodzi?

— Znowu:

— Co? Co pani powiedział?

Aż dowiedzieli się wszyscy.

Ostupiała, w zadumaniu żalosnem, stoi ludzka gromada. Zwolna w niej wszelka ochota zamiera, na myśli i serca obojętność już schodzi, koi pragnienia, i tuli tęsknotę.



— Powiedziano, że będzie.

Szerokim obozem zaległa publiczność. Ten przysiadł na kufrze, ów ścianę podpiera, a na schodkach rodziny. Zaś gromada leniwie się snuje. Drętwy spokój sączy się w dusze, jak bywa w chwilach wielkiego znużenia.

Zrzadka jakby ocknie się myśl.

— Powiedziano, że — będzie.

Ale, okazuje się oto, po długiej godzinie, że wogóle tutaj czekać — nie wolno.

— A gdzież? Gdzież się podziejemy, my wszyscy.

Na żalosne pytanie gest hojny, szeroki:

— Hej, świat taki wielki. Za Wołgą jest świat.

\* \*

Przed oknami mknącego pociągu, z nieznaną na drodze fabryczno-lódzkiej szybkością przesuwa się Galkow, b. p. Galkówek. Pociąg staje opodal. Bogatą czerwienią lśnią jarzębiny, w ogrodach złoci się owoc, a tam małe poletko chłop już pługiem „obgonił“, pierwsze skiby u miedzy granicznej odwala. Koń biały, osypany tatarką, szary człowiek, wparty z mocą w capigi, a za nim podlatują dwie wrony. Wdali grusza kopiasta, pod nią coś jasna barwą przyległo, a kręgiem wokoło las pola ogarnął.

Pokrzykuje chłop rażno, nasłuchuje chwilami, co niosą mu echa dalekie od lasu i, widno, że radość ma w duszy.

Coś tłucze po borach i dyszy i dudni potężnym parowym oddechem. Het! jak oczy dosięgną pod Kraszew, Zieloną Górę i dalej pod lasy tuszyńskie, laznowskie wre życie, śmierć niesie. A w kniejach czarnych, gaistych, gdzie słońce nie zajrzało od wieku, złoto-jasne płaszczyzny coraz szerzej się kładą między pnie starodrzewu, zgaszone żywoty dawnych rodów leśnego królestwa.

— Czegóż, chłopie, tak ci jasno na duszy?

Gdyby go spytać, radość wnet zbiegnie mu z oczu, twarz się w troskę oblecze i schyli pokornie do ręki.

— A czegóż się ta, proszę łaski pana radować? Tyle oto, że słońce nad głową, tyle oto, że człowiek ziemię pod chlebuś kochany sposobi. Odsie! — a! — siwy!

Kamień pomsty dźwiga chłop w sobie, ale za co — sam nie wie. Każda troska mu luba, która „panów“ dosięgnie.

— Kuniec na was pilno już idzie, chłopska krzywda pogania. Żałowaliście chłopu Boskiej drzewiny, a tera ani się mata na czym obwiesić.

\* \*

Już Widzew i pierwsze Łodzi pikiety — kominy podniebne, i znów szereg ponury okien, zniszczo-



nych warsztatów. Pod niemi robotnicy gromadami się snują, nieradzi, gdy wzrok się na nich zatrzyma. Czapy głęboko na oczy wciśnięte, niemowni i w myślach skupieni.

— Niedobrze.... — ktoś szepnął w wagonie.

Ktoś spojrzał, potwierdził głowy skinieniem, i już wszyscy towarzysze podróży wiedzieli, co w myśli, bo Łódź porozumiewa się często jednym wyrazem.

Dziwno, gdy człowiek obcy, mniej bystry zapyta — dlaczego?

Ramionami ktoś wzruszył.

— Dlaczego? Dlaczego niedobrze, kiedy człowiek jest głodny? Pan jeszcze potrzebuje się spytać: dlaczego?

Lecz po chwili już z uprzejmym uśmiechem:

— Pan nie tutejszy?

— Nie. Jadę z Warszawy.

— Ładne miasto jest też. Potrzebuje pan marki? Dam po pięćdziesiąt i osiem... po pięćdziesiąt i sześć.

— Owszem. Ale jakim sposobem, kiedy...

— Przepraszam — pan chce sposobu, czy pan chciał zmienić?

A tuż sąsiad półgłosem:

— Po pięćdziesiąt i pięć. Ile mam dać?

Pierwszy Łodzi szept, pierwsze jej wezwanie, w którym cała jej dusza. Do wszystkich usług gotowa, daleka od przesądów i wstrętów, wszędzie duszę i ręce zanurzy, każdy towar ci sprzeda dwa ra-

zy, a najchętniej część własną, o ile tylko znaczenie tego wyrazu zrozumie.

I tak się wydaje, że wszystkie jej cele i prace w ludzkiej postaci, która już patrzy ci w oczy, czarna i zmięta, a jeden tylko jej wyraz potrzebny:

— Ile?

Ma Łódź także i serce. Lecz kocha tych tylko, którzy silniejsi. Dziś ci, jutro inni... Bo ma także i rozum.

\*  
\*  
\*

Nieczuły tutaj jest człowiek, lecz rubel bardzo wrażliwy. Byłe pogłoska, byłe plotka zdaleka, czy zbliżona i, już jakby pod ziemię zapada, a wtedy w celach życia człowieka jakby zerwał się pas transmisyjny głównego silnika.

Zaś los, platający figle, bywa czasem i sprawiedliwy. Oto Łódź panosząca się, bez miary zuchwała, a niemniej tchórzliwa, tę Łódź, którą zawsze darzył względami, nagle w radość, tęsknotę i ból, w samo serce ugodził — w pieniądze.

Tak się zdawało, że człowiek zrazu ciosu nie odczuł, lecz odczuł go — rubel. I uciekł strwożony, jak nigdy, za nim pochowały się drobne, a wśród ludności, jako głaz jednolitej, zwartej, nieczulej jak głaz, osłupienie zaległo.

— Co jest?!

Los wtedy cisnął na miasto sto gromów armat-



nich, a człowiek zrozumiał, że przyszedł dzień sądu... Przetrwiał dni straszne, aż wyszedł z ukrycia.

Rubel jeszcze głębiej się zaszył.

Aż oto jakby ustał krwi dopływ i życie ledwo się ślania. Stąd puste ulice i już z miasta zginęły wielkie wozy frachtowe, a z nimi pojazdy i zaparty w poduszki brzuch wyłożony zbogaconego wyrobnika łódzkiego.

Poczęła się zaś niemoc od chwili, gdy za mieszkania, za sklepy, za dzierżawione fabryki nagle płacić przestano. Ustało jedno kółko złożonej maszyny, za niem wnet drugie, ściśle z sobą trybami wspólnych interesów związane — zamarły i oto, bez myśli, bez celu, jakby senna, snuje się łódzka gromada pośredników, agentów, patrzy smętna w burzące się, mętne wody życia ludzkiego.

— Tu jest pewny interes, ale — duży strach.

Tymczasem, zanim się przyszłość wyjaśni, zanim strach minie — cokolwiek, tymczasem w duszy, zawsze skłonnej do filozoficznych rozmyślań, przeszłość żałośnie z dobą dzisiejszą się splata:

— Były złe czasy: człowiek nie był za człowieka liczony, ale — miał rubla. Dziś on się człowiek nazywa, ale on nie ma rubla. Ale bez rubla czy on może być człowiek? — Przyczem się spluwa:

— On jest ten — kurz.

Tam, gdzie stał złoty tron tak zwanego polskiego przemysłu, tam dziś w brudnej szarości i pustce

zamarły ulice, tu i ówdzie bokami już trawą porośnię, a wiatr ze śmieciami coraz szerzej tańcuje.

Zmieniona twarz Łodzi, twarz ciężko chorego człowieka.

Oślupiała, półmartwa, ale niema w niej bólu i smutku, dostojęństwa cierpienia, tylko bladym strachem oczy rozwarte, pytające: kiedy?

— Ano, niedługo... — z zimnym spokojem powiada czarny robotnik, a za nim stutysięczna rzesza:

— Niedługo... niedługo... — jak chóralny śpiew.

A choć śmierć miasta niesie ze sobą dołą bezlitosną dla ludzi pracy, w duszach ich radość płomieniem przemysła, że oto umrze nienawistny kat.

— „Sędziami wówczas będziem — my!“

Ale pieśń już swą „aktualność“ straciła.

Żywy, dzisiejszy jest tylko — głód.

\*  
\*  
\*

Bywa, że padnie pocisk w kałużę; czyści ją wtedy ogniem z zarazy. Nie zamieni jej w źródło kryniczne, to pewna, lecz ją może, na czas pewien, uzdrawia.





83322

## T R E Ś Ć.

|                                        |     |
|----------------------------------------|-----|
| Polityka w lesie . . . . .             | 5   |
| Żywoty . . . . .                       | 19  |
| U zapomnianej strugi . . . . .         | 49  |
| Papuga . . . . .                       | 61  |
| Nudził się pan . . . . .               | 77  |
| Poeta i życie . . . . .                | 93  |
| Droga sztuki . . . . .                 | 103 |
| Trzy listy prababki . . . . .          | 119 |
| Dzień bez słońca . . . . .             | 137 |
| O Kostce Napierskim opowieść . . . . . | 153 |
| Zgrzyt . . . . .                       | 171 |
| Na wiosnę . . . . .                    | 189 |
| U mety . . . . .                       | 207 |
| Z bożej łaski . . . . .                | 217 |
| Za cześć zagrody . . . . .             | 231 |
| Małe kobietki . . . . .                | 261 |
| O świerku . . . . .                    | 273 |
| Na szóstym . . . . .                   | 287 |
| Pobojowisko . . . . .                  | 309 |
| Pierwszy grzech . . . . .              | 319 |
| W siodle . . . . .                     | 333 |
| Nauka . . . . .                        | 343 |
| W starym parku . . . . .               | 313 |
| Sztuczka . . . . .                     | 363 |
| Sierpień — 1915 r. . . . .             | 419 |